

PRZE

Numer 51-52/2948-9 23-30 grudnia 2001 r.

KRÓT

Ciepłego i śnieżnego Bożego Narodzenia

Cena 4 zł 50 gr (w tym 7% VAT)

2 podwyżek
pensji
20 znakomitych
pomysłów
200 śmiesznych
dowcipów
2002 dobrych
wiadomości
w 2002 roku

ISSN 0033-2488

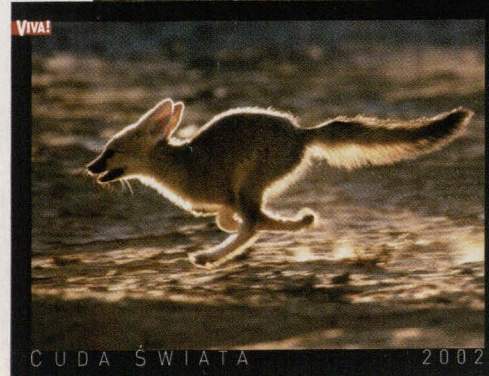
51-52



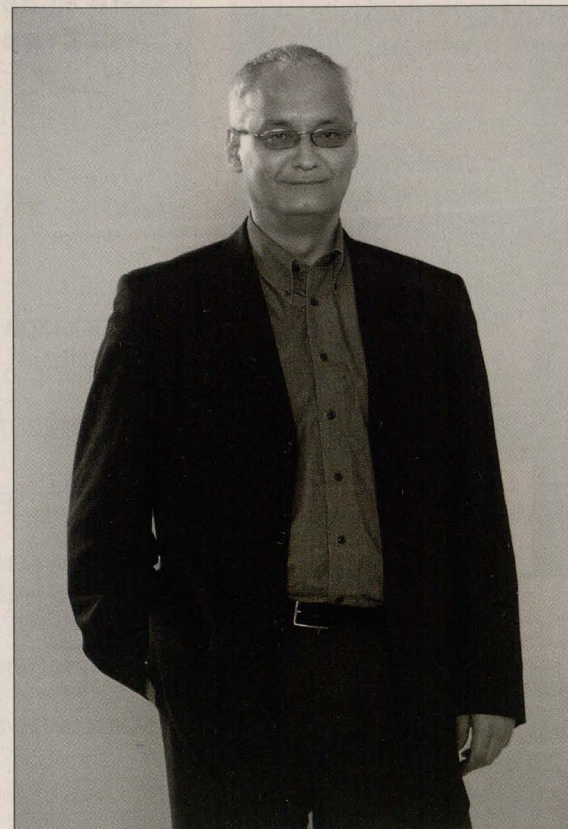
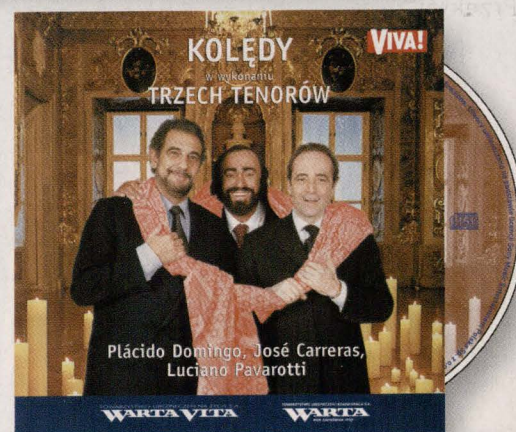
9 770033 248014

Indeks 371424 • Y-9013-C




KALENDARZ na rok 2002

**WYJĄTKOWA
PŁYTA** – kolędy
w wykonaniu
Trzech Tenorów
José Carreras
śpiewa „Lulajże
Jezuniu”
po polsku



55 razy do tej pory „Przekrój” składał świąteczne życzenia bożonarodzeniowe i noworoczne swoim Czytelnikom. Tyle razy nie uczyniło tego żadne polskie pismo w całym XX wieku.

Ja, niżej podpisany, mam zaszczyt czynić to po raz 56., jako szósty dopiero Przekrojowy redaktor naczelny. I jako pierwszy w wieku XXI.

Niebawem – za dwa, trzy miesiące – nastąpi chwila, gdy „Przekrój” wejdzie w fazę wielkiej zmiany. Mam pełną świadomość, jak wielkie budzi emocje przeniesienie redakcji do Warszawy i jak wiele obaw wiąże się ze zmianą wyglądu i zawartości pisma, które przez większą część swej długiej historii było oazą,

przystanią i wytchnieniem dla setek tysięcy, ba, nawet milionów Czytelników.

Uważam jednak, że jest równocześnie możliwe i konieczne stworzenie nowego „Przekroju”, który nawiąże do najlepszych lat swojego istnienia. „Przekroju” nowoczesnego i myślącego. Opiniotwórczego, ale lekkiego. Równocześnie ironicznego i optymistycznego.

Jestem pewien, że potrafimy pokazać żywotność pojęcia „cywilizacja „Przekroju” i znajdziemy drogę do serc i umysłów dziesiątków tysięcy nowych i „nowych-starych” Czytelników.

Wiem jednak również, że i dla mnie, i dla całego zespołu „Przekroju” największym wyzwaniem i najważniejszą

próbą jest nie utracić ani jednego z dzisiejszych Czytelników. Ani Pani... tak, właśnie do Pani mam przyjemność mówić... ani Pana... tak, tak – właśnie Pana! To Państwo bowiem jesteście tymi najważniejszymi, najwierniejszymi z przyjaciół „Przekroju”. Czytelnikami, o których marzą wszyscy dziennikarze i redaktorzy na świecie, ale tylko nie licznym udaje się ich zdobyć.

Jeżeli Państwo zostaniecie z nami, jeśli zostaniecie z nowym „Przekrojem”, „Przekrój” przetrwa. I będzie to ten sam od 56 lat „Przekrój”, który odnalazł się w XXI wieku i oswoił go czy wręcz przerebił na swoją modłę.

JACEK RAKOWIECKI
**PRZE
KRÓJ**

Założył w roku 1945 w Krakowie
Redaktor **MARIAN EILE**

Wydawca: EDIPRESSE POLSKA SA
ul. Wiejska 16, 00-490 Warszawa
tel. (0-prefix-22) 628-05-29, fax: (0-prefix-22) 621-19-76

PREZES WYDAWNICTWA: Zbigniew Napierała
DYREKTOR ZARZĄDZAJĄCY: Ewa Redel
DYREKTOR FINANSÓW: Paweł Satkowski
**DYREKTOR DS. ROZWOJU I KONTAKTÓW
MIĘDZYNARODOWYCH:** Agnieszka Smit
DYREKTOR WYDAWNICZY: Ewa Niebecka
DYREKTOR MARKETINGU: Izabela Bochenek
DYREKTORZY ARTYSTYCZNI:
Elżbieta i Bogdan Zochowscy

REDAKCJA W WARSZAWIE: ul. Wiejska 16,
tel. (0-prefix-22) 627-23-07, fax: (0-prefix-22) 627-23-05

REDAKCJA W KRAKOWIE: 31-012, ul. Reformacka 3
lub 30-960 Kraków I, skrytka pocztowa 533,
e-mail: redakcja@przekroj.pl
Telefony – łączą centrala: (0-prefix-12) 422-18-33,
422-18-72, 422-59-54, 422-18-92, 421-91-37
fax (0-prefix-12) 421-49-29, 422-70-61

REDAKTOR NACZELNY, SZEF NOWEGO PROJEKTU „P”:
Jacek Rakowiecki
ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO: Marcin Baran
SEKRETARIAT ODPWIEDZIALNY: Mirosław Chomko,
Joanna Gromek Ilig, Andrzej Ruchalski (sekretarz),
Anna Rudnicka

DZIAŁY:
Kultura: Włodzimierz Jurasz (kierownik),
Benjamin Lazar, Jacek Ziemek
Krajowy: Łukasz Działkiewicz, Jakub T. Janicki,
Barbara Pajchert, Roman Polesek, Tomasz Wolski
Reportaż: Izabella Bodnar, Dariusz Wojtala
Nauka i zdrowie: Teresa Bętkowska,
Janusz Marjan (kierownik), Lesław Peters
Publicyści: Ludwik Jerzy Kern, Wojtek Kocłowski,
Leszek Mazan, Jerzy Piekarczyk, Kazimierz Targosz,
Dorota Terakowska, Bogna Wernichowska

Pracownia graficzno-komputerowa:
Piotr Gidlewski (kierownik artystyczny), Maria Klich,
Jan Kozak, Joanna Sroka,
Dział fotograficzny: Marek Szczepański (fotoedytor),
Bogdan Krężel, Jan Zych
Korekta: Małgorzata Strakowska-Szczurek,
Barbara Wojtanowicz (kierownik)
Produkcja: Andrzej Laurisz

DZIAŁ DYSTRYBUCJI: tel. (0-prefix-22) 628-05-29
w. 233, Grzegorz Barej – dyrektor

DZIAŁ PROMOCJI: Marcin Fedisz (kierownik), Anna
Korwin, Włodzisław Kaczmarczyk („Złoty Grosz”)

BIURO REKLAMY:
Dyrektor: Agata Eigner
Warszawa – ul. Wiejska 16
tel./fax (0-prefix-22) 627-23-09
tel. (0-prefix-22) 627-23-06 do 08 w. 128, 228
Kraków – ul. Reformacka 3
tel. (0-prefix-12) 422-70-61, Marzena Kiedacz

DRUK: Winkowski Sp. z o.o. ul. Okrzei 5,
64-920 Piła, tel. (0-prefix-67) 210-84-00

Oktładka – Galerie Fine 90 gsm; Producent – Metsa Serla
Kirkniemi Mills.
Srodek – Stellapress 60 gsm; Producent – Stora Enso.

PRENUMERATA: u Wydawcy – Izabela Dębska,
Agnieszka Bogdańska, tel./fax (0-prefix-22) 625-08-20,
tel. (0-prefix-22) 628-05-29 w. 210

Przez pocztę – przedpłaty przyjmują urzędy pocztowe
na terenie całego kraju

Przez RUCH S.A. – informacja tel.: (0-prefix-22)
532-87-31, fax: (0-prefix-22) 532-87-32

Artykułów nie zamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo
do zmian i skrótów w nadesłanych
artykułach i listach.

NAKLAD: 89 000 egz.

Z oksfordzkim akcentem



NORMAN DAVIES
pisze grube książki,
o których mówią, że jest to
„Krótka rozprawa między
panem Normanem
a Polską i Europą”.

KAZIMIERZ TARGOSZ

20

Kto komu to dał?

Tradycyjny Świąteczny Wielki Konkurs.
Piętnaście prezentożagadek i piętnaście
nagród o wyjątkowo atrakcyjnej
atrakcyjności.



RYŚ: STEFAN BERDAK

26



Znowu Rok Księżyca

Horoskop 2002. Wpływ najbliższego
nam satelity będzie ważny dla
Raków, Byków
i Strzelców.
A i inni nie powinni narzekać,
jeżeli pomogą gwiazdom.

MAJA VERNÓ

44

NUMER 51-52
23-30.12.2001
116 STRON!



OKŁADKA:
OLAF CIRUT

JACEK RAKOWIECKI
Od Redaktora 3

Listy; CZECZOT; MLECZKO 6

Ilustrowany „Przekrój” roku 8

BARBARA PAJCHERT
Z rodzinnego albumu 16

Kazimierz Targosz
Z oksfordzkim akcentem.
NORMAN DAVIES 20

Kto komu? Konkurs „P” 26

Mieszanka (rozproszona)
29, 48, 64, 69, 94

KRZYSZTOF JAWORSKI
Opowieść Wigilijna 30

AGATA WASILENKO
Święta na zawsze 32

LESŁAW PETERS
DNA św. Łukasza ewangelisty 34

MARTA SOBOLSKA
Aniołom szkodzi wilgoć 35

Dookoła Nobla 36-40

TOMASZ WOLSKI
Wszystkiego! Marzenia 2002 42

MAJA VERNÓ
Horoskop 2002 44

Jan Strzałka
Rozmowa z JOANNA
OLCZAK-RONIKIEROWĄ 50

Drzewo genealogiczne
- konkurs rozwiązany! 54

Urodziny Kerna Wspaniałego 56

LUCYNA ZIENKIEWICZ-KUREK
Sławni nieznani 58

JOWITA DZIEDZIC
Portret Andrzeja Panufnika 60

PAWEŁ GŁOWACKI
Świąteczny przegląd drewna 62

BOGNA WERNICHOWSKA
Słowa, które niosą dobro 66

JAN STRADOWSKI
Absolutnie pierwsza gwiazdka 68

LUDWIK JERZY KERN
Ślusarska ballada 70

ELLA MAYER Uwaga, falsyfikat! 75

BARBARA KOSECKA
Chaplin znaczy kino 80

IZABELLA BODNAR
Kiedy dorsz udaje karpia 84

ZYGMUNT ROLA
Pan Tadeusz za stodołą 86

LESŁAW PETERS
Od roweru do Gingera 88

OLGA WOŹNIAK Sennik zwierzęcy 90

IBO Zwierzę, a rozum ma 92

AGATA WASILENKO
Zapachy dzieciństwa? 95

WIEDEMANNNA Dziennik „duszy” 96

Instrukcja obsługi TV 97

HOFF Pokolędujemy razem 98

Szatnia potrójna 100

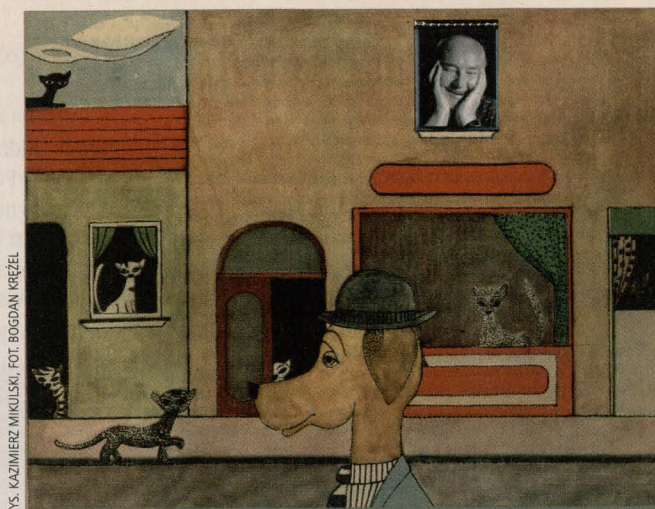
Formy MARKA KRÓLA 102

Kuchnia świąteczna 106-109

Jolka z krzyżówką 110-113

Co Pan na to, Panie LEM? 114

Rozmaitości 116



RYŚ: KAZIMIERZ MIKULSKI, FOT: BOGDAN KRZEL

Ludwik Wspaniały

Jego trzódka jest
sympatyczna, mądra
i ukochana. Jubileusz
LUDWIKA JERZEGO
KERNA.

WŁODZIMIERZ JURASZ,
MICHAŁ JURASZ JR

56

Chaplin znaczy kino

Ukazywał ułomności i tęsknoty.
Dotykał tego, co ludzkie, o wiele
głębiej niż jego rywale.

BARBARA KOSECKA

80



FOT: EAST NEWS

Wśród zwierząt

Obyczaje braci
mniejszych: szacunek
w stadzie, żaloba wśród
słoni, marzenia sennie,
alkoholizm i inne.

OLGA WOŹNIAK I IBO

90 i 92



RYŚ: OLAF CIRUT



DWIE KOBIETY

Nawiązuję do dwóch artykułów o dwóch kobietach w „P” 2943.

Pięćdziesiąt lat temu zaczynało się mówić o Marii Callas. Poszedłem ją zobaczyć i usłyszeć w londyńskim Covent Garden. Jeszcze dziś, gdy słyszę słynną arię z „Normy” Belliniego, wraca tamto wspomnienie. Callas była po prostu boska – „La Divina”, jak ją nazwano. Rok później, w koronacyjnym sezonie, widziałem ją znowu w „Aidzie”, która nie była jej najlepszą rolą, a kostium uwidaczniał nadwagę. Ale w „Trubadurze” znów niezapomniana, choć miała bardzo przeciwnego partnera.

Później, zwłaszcza po występach w Metropolitan i La Scali, już tylko się czytało o awanturach, skandalach, wybuchach typowego temperamentu primadonny – „tygrysy”. Myślę, że wpływ na jej zachowanie miało odchudzenie

się, co pozwoliło jej zabłysnąć jeszcze w roli suchotniczki Wiolety w „Trawiacie”, ale to był już zmierzch. Także zmierzch opery.

O Polsce mówi się, że ma największą liczbę powołań duchownych. Powołanie siostry Małgorzaty Chmielewskiej (artykuł „Głos z nieba” w tymże numerze „P”) jest najwyższej jakości. Nieżyjącemu ks. prof. Józefowi Tischnerowi przypisuje się powiedzenie, że nie spotkał jeszcze nikogo, kto by stracił wiarę pod wpływem lektury Marksa, ale spotkał takich, co stracili wiarę przez księdza proboszcza. Oczywiście, nie wierzy się w księży, ale w naukę Chrystusa: jedynie kochając bliźniego można kochać Boga. Spotkałem księży bez powołań, ale też spotykam księży cichych, skromnych, pokornych i serce mi łgnie do nich, bo wiem, że naprawdę reprezentują Boga.

Do tej – jak licznej w kraju o największej liczbie powołań? – grupy sług bożych, niosących pomoc biednym, potrzebującym również wsparcia duchowego, należy zakonnicą Małgorzata Chmielewska.

Dwie tak różne kobiety! Cztery lata temu zmarły w krótkim odstępie czasu też dwie bardzo różne, słynne kobiety: święta za życia Matka Teresa z Kalkuty i Diana – księżna Walii...

TADEUSZ STACHOWSKI,
Londyn

ZAPOMNIANY XAWERY

Jako pracownik Oddziału Rękopisów Książnicy Pomorskiej w Szczecinie od pewnego czasu zajmuję się archiwum Xawerego Dunikowskiego. Zawiera ono artykuły, zapiski, korespondencje, dokumenty i inne materiały starannie gromadzone i przechowywane przez powojenną asystentkę rzeźbiarza – Marię Flukowską, żonę nieco zapomnianego poety, prozaika, dramaturga i tłumacza Stefana Flukowskiego (1902–1972). Jej córka, Halina Leszczyńska, stała się osobistym lekarzem Dunikowskiego. W artykule zamieszczonym w „Przekroju” nr 2933, jak i w wielu innych publikacjach, nie ma śladu obecności Flukowskiej w życiu Xawerego Dunikowskiego.

Autorka, p. Ewa Kozakiewicz, wspomina o niewielkim wroście Mistrza („trochę ponad 1,5 m”). Mogę dodać, że zachowała się miara jego buta – 26,5 cm. Ten niewielki człowiek, o ogromnym dorobku artystycznym, faktycznie staje się nieznany, ale nie tylko za granicą, lecz i w ojczystym kraju. Kiedy podczas oprowadzania grup młodzieży szkolnej po sali muzealnej w Książnicy Pomorskiej (Sala Stefana Flukowskiego), gdzie znajdują się również prace Dunikowskiego, pada pytanie, czy ktokolwiek wie, czym on się zajmował, niemal nigdy nie słychać odpowiedzi. Trudno się temu dziwić. Jedyne szersze opracowanie monograficzne ukazało się w języku rosyjskim w Moskwie (1986 rok), pióra Ludmiły Urazowej (autorka kilku innych prac poświęconych sztuce polskiej) i do dziś nie doczekało się tłumaczenia na język polski. Autorka w egzemplarzu ofiarowanym Halinie Leszczyńskiej (w zbiorach Książnicy Pomorskiej) wpisała – po polsku – następującą dedykację: „Kochana moja Halineczko. Ta książka to 30 lat mojego życia. Może dzięki temu, że droga do niej była taka długa, że brali w tym udział Marysia, Sten i Ty, utrwali ona dla następnych pokoleń życie i twórczość Xawerego Dunikowskiego”.

Nieznamość tej wybitnej dla polskiej sztuki postaci może dziwić, gdyż w Warszawie, w Królikarni, istnieje przecież muzeum, w którym

zgrupowane są jego prace. Otwarto je w rok po śmierci Dunikowskiego, w wyniku jego osobistych starań, którym towarzyszyło wiele przykrych dla niego momentów. Podobnie było w sprawie obywatelskiego mu domu w Warszawie (otrzymał mieszkanie nie odpowiadające jego zdrowotnym potrzebom) czy rezygnacji z umieszczenia pierwszej serii „Głów wawelskich” w stropie Sali Poselskiej na Wawelu.

Sztuka stanowiła sens życia Dunikowskiego. Może dlatego w stosunku do swoich uczniów był tak bardzo wymagający, czasem nawet bezwzględny. Ale to tylko pół prawdy. Zachowane listy świadczą o zaangażowaniu w próbę przekazania uczniom swojego krakowskiego mieszkania, w rozwiązywanie ich problemów finansowych (zapomogi, stypendia) czy trosce o rozwój artystyczny (wspólna wystawa w 1955 roku). Być może działania te były inicjowane przez Flukowską, ale Profesor nie oponował. Potwierdza to m.in. przejmujący list Xawerego Dunikowskiego, skierowany do Związku Polskich Artystów Plastyków, w sprawie Antoinette’a Słazaka, członka kandydata ZPAP, po jego próbie zamachu samobójczego.

Potrafił również (przy niemałym udziale Flukowskiej) zadbać o własne sprawy. Dowodem na to było choćby zamówienie państwowe z lat 50., na II cykl „Głów wawelskich”. Nie należy demonizować tego pomysłu, mówiąc, że związany był z projektem umieszczenia w Sali Poselskiej na Wawelu „głów” najwybitniejszych działaczy partyjnych polskich i sąsiadujących z Polską państw. W stropie miały znaleźć się „portrety naszych wszystkich twórców w zakresie postępu i kultury, poczynając od epoki odrodzenia”. Wykonał co prawda podobizny Feliksa Dzierżyńskiego, Ludwika Waryńskiego, ale także: Elizy Orzeszkowej, Marii Skłodowskiej-Curie, Heleny Modrzejewskiej, Olgi Boznańskiej, Mikołaja Reja, Jana Śniadeckiego, Stanisława Staszica, Hugona Kołłątaja i wielu innych.

Sensacyjnym wątkiem w biografii Dunikowskiego był „pojedynek” w 1905 roku. W wyniku tego zdarzenia zginął, zastrzelony

przez rzeźbiarza, Wacław Franciszek Pawliszak – artysta malarz. Sąd wydał wyrok uniewinniający, jednakże nie rozwiązał wszystkich wątpliwości. W archiwum zachował się anonimowy list z 1960/! roku. Oto fragment: „Zostało może jeszcze kilkaset osób ze starszego pokolenia w Polsce, którym bardzo zależy na tym, by czcigodny Pan wyjaśnił wreszcie jak najszybciej i jak najdokładniej owo tragiczne i bezdennie smutne zajście z tym nieszczęsnym Pawliszakiem. Po 55 latach sprawa ta nie odeszła w zapomnienie i nie wszyscy w pełni byli przekonani, że strzał był oddany w obronie koniecznej!”.

BOGNA TOKARSKA,
Książnica Pomorska w Szczecinie

LIMERYKI

Kilka miesięcy temu ogłosiliście konkurs na limeryki o „Przekroju”. Wtedy je napisałem, ale nie wysłałem. Może się przydadzą?

Gdzieś w głębi puszczy,
przy wodopoju,
Siedzą dwie małpy
z nosem w „Przekroju”.
I robią jolkę, a oprócz tego
Chcą raz zrozumieć
Macedońskiego.
I tak się męczą w moskitów
roju.

W drodze na Sybir, gdzieś
na postoju,
Mój dziadek czytał
Kerna w „Przekroju”.
Siedząc rechotał
na suym kamieniu,
Co było całkiem
wbrew zarządzeniu.
Więc żołdat wrzasnął:
„Jedziem, playboyu!”



Kiedyś w podróży po Izraelu
Napotykałem znajomych wielu.
A oni zawsze: „Ach, drogi goju!
Nie masz przypadkiem
z sobą »Przekroju«?
Dałbyś poczytać nam,
przyjacielu!”

Żona już dwa dni,
w trudzie i znoju,
Próbuje „zrobić”
jolkę w „Przekroju”.
Potem jest pranie, mycie,
sprzątanie

Aż przyjdzie nowe
pisma wydanie;
I znowu będą dwa dni spokoju.

JERZY KULCZYCKI,
Warszawa

Dziękujemy! Do tych „między-narodowych” limeryków dołączamy zdjęcie jako dowód, że „P” czytany jest także w Lijiang (Junan w Chinach) przez skośnookie piękności. (Red.)

ZWIERZĘTA W MIEŚCIE

List Agnieszki Urbanowicz i Dariusza Żukowskiego („P” 2943, „Sznuj inwentarz, gospodarzu!”) to jeszcze jeden przyczynek do mitu o okrucieństwie ludzi ze wsi w stosunku do zwierząt. Ludzie okrutni są wszędzie, zarówno na wsi, jak i w mieście. Macie wiele racji w tym, co napisaliście, jednak dlaczego skierowaliście ten list do mieszkańców wsi?

To, co opisujecie – te biedne zwierzęta katowane, głodzone, okaleczane przez dzieci, można również spotkać w mieście. Nawet psy na łańcuchach czy w małych boksach spotykamy w mieście przy domkach jednorodzinnych, a i świnek czy kurek hodowanych na działkach miejskich nie brakuje.

Czy nie jest okrucieństwem więzienie kilkudziesięciokilogramowe-

go np. rottweilera w małym pokoiku ciasnego M, dla którego jedyną wolnością jest krótki spacer, często na smyczy i w kagańcu po osiedlu czy parku?

Jeżeli ktoś zabije psa na wsi, tak jak to wspomnieliście, to przeważnie związane jest to z jakimś tragicznym wydarzeniem typu napaść czy pogryzienie, najczęściej dziecka. Na wsi nie pozbywa się, tak jak w mieście, psa czy kota tylko dlatego, że się znużył i już dziecku albo tatusiowi zaczyna przeszkadzać. Gospodarz nie otworzy po prostu drzwi, nie pojedzie hen przed siebie, by zostawić zwierzątko-maskotkę przy drodze lub w lesie. Takie porzucone, brudne, zapchłone, zarobaczone, bite przez przygodne dzieci z miasta (którym również często zapracowani rodzice nie wytłumaczają, że pies czy kot to też istota) zwierzę czuje się tragicznie i często tak też kończy swój żywot gdzieś w rowie, pod parkanem czy w piwnicy.

Nie chcę pisać o torturach zadawanych psom i kotom przez miejskie dzieci. Nie zamierzam licytować się, kto jest lepszy – gospodarz czy panisko z miasta. I tu, i tam żyją ludzie źli i dobrzy. Adresujcie zatem list po prostu do człowieka, niech będzie przyjacielem zwierzęcia, bo przecież jesteśmy sobie nawzajem potrzebni.

BARBARA JÓZEFOWICZ,
Gronice, poczta Węgierka



„REDAKTOR WSZĘDOBYLSKI” — ANDRZEJ MLECZKO.





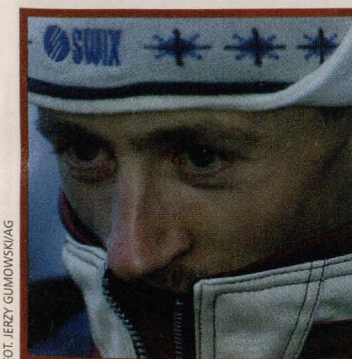
Wystawienie w warszawskiej „Zachęcie” rzeźby Catellana, przedstawiającej papieża przygniecionego meteorytem, doprowadziło do akcji protestacyjnej posłów katolickich, a następnie do – przyjętej z ulgą przez ministra kultury – dymisji dyrektorki galerii, Andy Rottenberg.



Do tej pory nie wyjaśniono sensu podskoków pośła Gabriela Janowskiego, który swoim zachowaniem wzbudził zainteresowanie polityków i lekarzy. Pół roku później niekonwencjonalny obrońca Polskiego Cukru przymierzany będzie przez Ligę Polskich Rodzin do funkcji wicemarszałka Sejmu.



Po raz pierwszy Puchar Świata w skokach narciarskich zdobył Polak, Adam Małysz. Miejscowość Wisła, z której pochodzi, stała się od tej pory miejscem pielgrzymek rodaków, wdzięcznych, że znowu znalazł się ktoś, kto zdobył uznanie świata, a nie musiał skakać w stoczni przez płot.



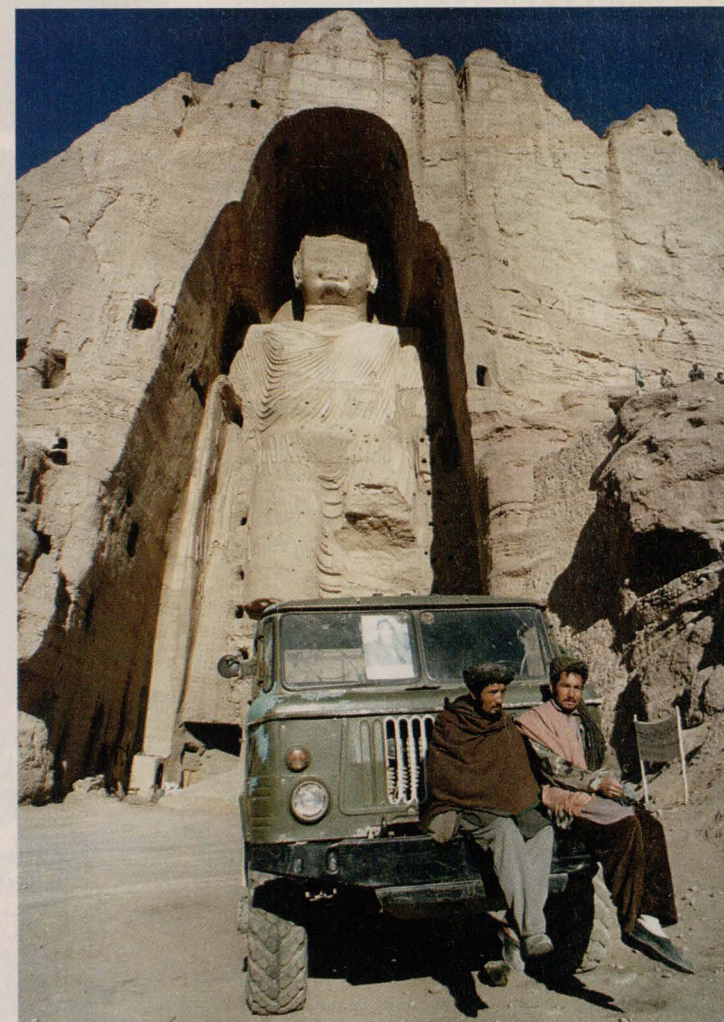
Z MYŚLI TYGODNIA

Odbijam się, a później już jakoś lecę.

Adam Małysz,
odpowiadając na pytanie:
Jak pan to robi?



W krajach Unii Europejskiej spadł popyt na wołowinę. Mosowe wybijanie bydła zarażonego pryszczycą nazwano w lutym eufemistycznie „wyliminowaniem z rynku 530 tys. ton mięsa”. Europa zaczęła wierzyć, że z Wielkiej Brytanii przychodzi każda groźna choroba zwierząt.



Rządzący Afganistanem talibowie uznali, że Allah jest jeden, a grzeszy ten, kto wznosi posągi, by się do nich modlić. Decyzja o zburzeniu gigantycznych posągów Buddy wywołała protesty na całym świecie. Jednak zabytki kultury, które przetrwały 1700 lat, zburzono.

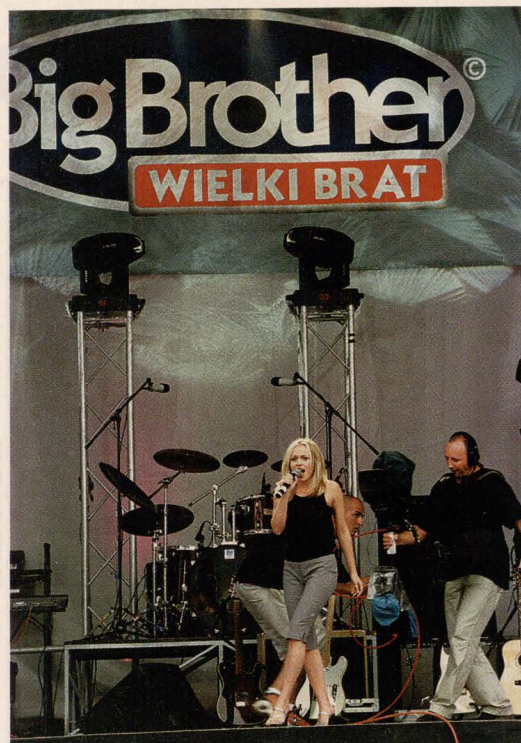
FOT. GERRY PENN/VEPAP

FOT. AP/IFORUM

FOT. MUZANIMIL PASHA/REUTERS/IFORUM

FOT. JERZY GUMOWSKI/AG

FOT. AG



Inauguracja programu „Wielki Brat” dała okazję do rozważań, co może jeszcze spenetrować kamera TV. Zaprotestował nawet Związek Podhalan, oświadczając, że Monika Sewiło, jedna z uczestniczek „BB”, nie ma prawa powoływać się na swój góralski rodowód.



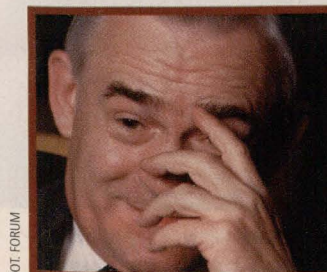
Kilka miesięcy trwał „spór o Jedwabne”, gdzie tuż po wojnie z rąk polskich mieszkańców wsi zginęli ich żydowscy sąsiedzi. Na tym tle pojawiły się rozbieżności między postem Antonim Macierewiczem a prezesem Kongresu Polonii Amerykańskiej, Edwardem Moskałem. Pierwszy twierdził, że zbrodni dokonali Niemcy, drugi uważał, że wszystkiemu winni są Żydzi, którzy chcą, aby „Polska wyglądała jak przedmieście Izraela”. Jedni tworzyli komitety „obrony dobrego imienia”, inni dokładali starań, aby pamięć o tamtych tragicznych wydarzeniach uczcić pomnikiem, który ma służyć polsko-żydowskiemu pojednaniu.



Podróż na Ukrainę była spełnieniem jednego z największych marzeń Jana Pawła II. Jego obecność w Kijowie i Lwowie miała zaświadczyć, że Europa nie kończy się tam, gdzie sięga chrześcijaństwo obrządku rzymskiego. „Chciałbym, aby wasz kraj został pełnoprawnym członkiem Europy od Atlantyku po Ural” – mówił papież.



Holandia jako pierwsza zalegalizowała związki homoseksualne. Z tej możliwości skorzystały od razu cztery pary w Amsterdamie. Przeciwnie ustawie zaprotestowały jedynie skrajne partie religijne. Chcąc dopasować prawo rodzinne do ustawy, wykreślono z przepisów o małżeństwie słowa „kobieta” i „mężczyzna”.



Z MYŚLI TYGODNIA

Pan poseł
oszczędnie gospodaruje prawdą.

Leszek Miller o Janie Marii Rokicie



Nowojorski fotograf, Spencer Tunick, specjalizuje się w „nagich tłumach”. Tym razem do wspólnego zdjęcia zaprosił dwa tysiące mieszkańców Montrealu. Swoje „tłumy” fotografuje Tunick od lat. Serię, którą przygotowuje obecnie, zamierza wykonać na różnych kontynentach, nie wyłączając Antarktydy.



FOT. LUKASZ GLOWALAK

Najpierw pod wodą znalazło się Trójmiasto. Potem można było już tylko porównywać skalę nieszczęścia spowodowanego przez deszcze, nawałnice i huragany w różnych częściach kraju z tym, co przeżyli mieszkańcy Polski południowej cztery lata wcześniej.



FOT. REUTERS/FORUM

Pierwszym w świecie turystą, który spełnił swe marzenie o wyprawie w kosmos, był 60-letni Dennis Tito, który za 20 mln dolarów znalazł się na międzynarodowej stacji orbitalnej.



FOT. REINHARD KRAUSE/REUTERS

Na Bliskim Wschodzie przemoc rodzi odwet, następstwem odwetu jest eskalacja przemocy. Odpowiedzią Izraela na akcje terrorystyczne jest ostrzał osiedli Palestyńczyków. Końca tego konfliktu nie widać.



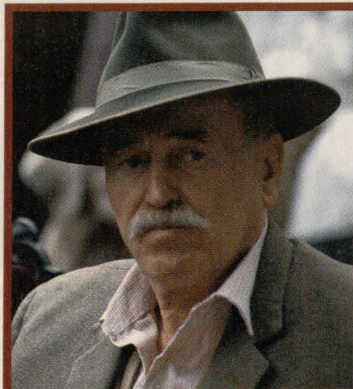
FOT. WITOLD ROZBICKI/REPORTER

Zwycięstwo SLD w wyborach przewidywano. Największym zaskoczeniem było to, że poza parlamentem znalazły się partie, które tworzyły rząd w poprzedniej kadencji – AWS i Unia Wolności.



FOT. HUBERT MICHAEL BOESJER/PAP

Dwa wieżowce nowojorskiego World Trade Center, symbol ekonomicznej potęgi Stanów Zjednoczonych, legły w gruzach 11 września po uderzeniu w nie samolotów uprowadzonych przez terrorystów. Następstwem było proklamowanie „wojny z terroryzmem”, która miała osiągnąć ukrywającego się w Afganistanie Osamy bin Ladena.

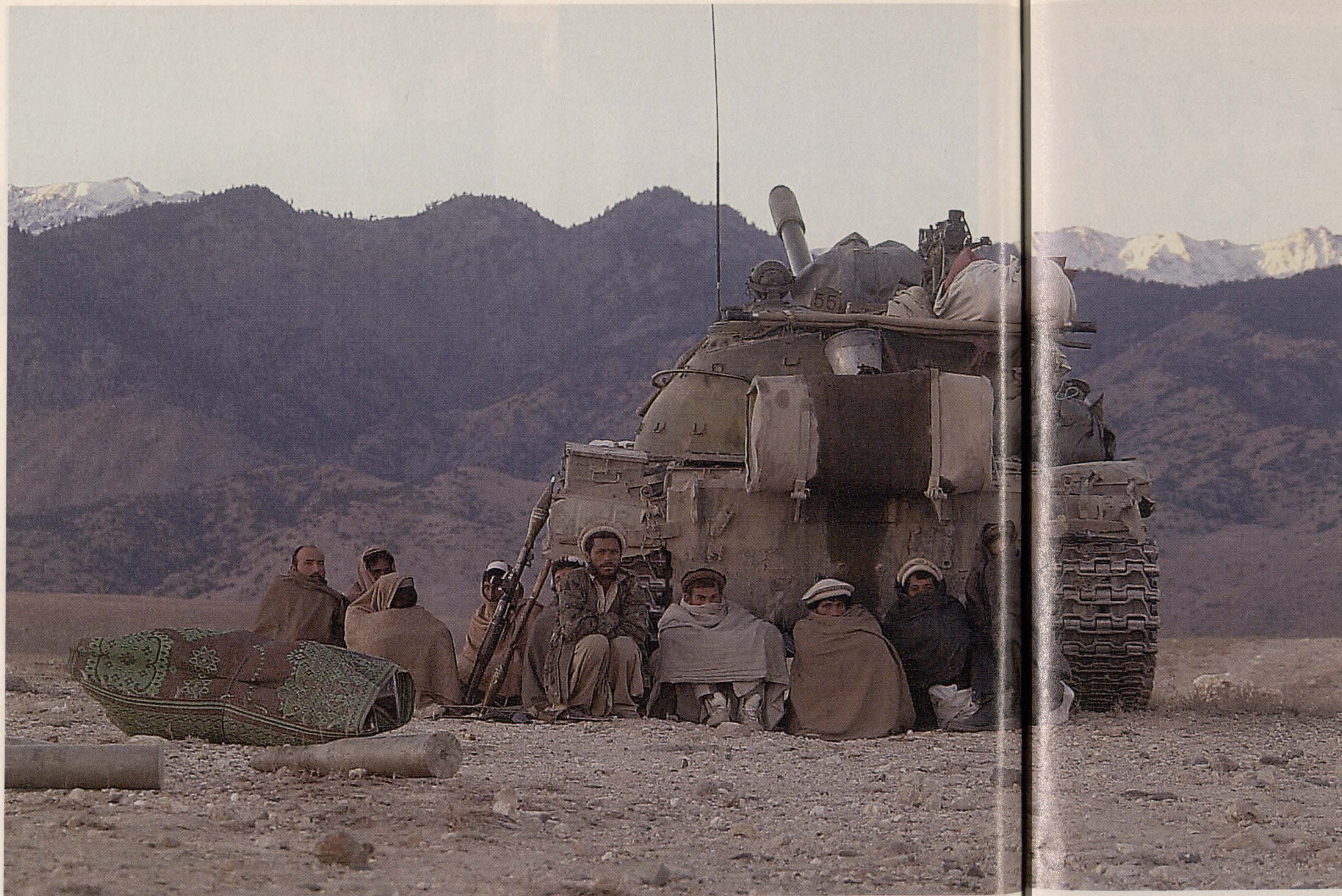


FOT. MICHAŁ MROWIEC/FORUM

Z MYŚLI TYGODNIA

Minister Ujazdowski kojarzy mi się bardziej z alejami niż z kulturą.

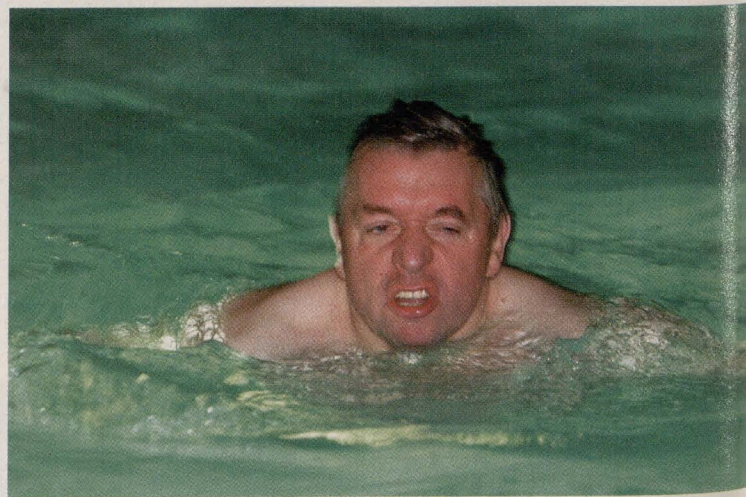
Jan Nowicki



FOT. ROMEO GACAD/EPAPAP



FOT. EPA/PAP



FOT. KATARZYNA WISLA/AGFOTO/EPAPAP

Zdjęcie strażaków wynoszących z biura Herald Sun w Melbourne pojemnik z podejrzaną zawartością. Strach przed wąglikiem rozprzestrzenił się na cały świat, ale do końca nie wiadomo, czy toksyczna bakteria, która wywołała psychozę, ma związek z terrorystyczną organizacją Osamy bin Ladena.

Andrzej Lepper nie pływał długo jako wicemarszałek Sejmu, ale swoimi wypowiedziami narobił większego zamieszania niż przed laty Stan Tymiński i jego czarna teczka. Weryfikacja dowodów zadecyduje, czy prokurator zajmie się posłami, których szef Samoobrony podejrzewa o korupcję, czy też zajmie się Lepperem.



FOT. DITA ALANKARAW/PAP

Muzułmanie skandują: „Dżihad”, podczas antyamerykańskiej demonstracji przed ambasadą USA w Dżakarcie. Nie powstrzymało to ani akcji USA przeciwko islamskiemu Afganistanowi, ani nie wywołało zapowiadanej „świętej wojny” przeciwko Zachodowi.



FOT. NTV/EPAPAP

W rok po katastrofie na Morzu Barentsa wydobyto wrak rosyjskiego podwodnego okrętu atomowego „Kursk”. Przyczyny tragedii nadal nie są znane.

W trzy miesiące po ataku na World Trade Center mudżahedini z Sojuszu Północnego, wspomagani przez amerykańskie lotnictwo i komandosów, dotarli do ostatniej twierdzy talibów Tora Bora. Zakończenie akcji odwetowej w Afganistanie nie oznacza końca „wojny z terroryzmem”.

Z MYŚLI TYGODNIA

Jedynym gatunkiem chronionym, jaki mamy w Polsce, są niekompetentni politycy.

Senator Janusz Ogrzesik

FOT. WOJCIECH SURDZIEL/AG



FOT. LUDMIŁA MITREGA/EPAPAP

Wielka nadzieja białoczerwonych. Polska reprezentacja zakwalifikowała się do mistrzostw świata w piłce nożnej. Za pół roku dowiemy się, czy powtórzy swą formę sprzed lat.

Z rodzinnego

albumu

BARBARA PAJCHERT



Linoryt wykonany przez 12-letnią Kasię.

Krótką modlitwa. Opłatek.
Życzenia. Barszczyk z uszkami.
Karp. Kolędy i prezenty
pod choinką. Prawdziwą
i pachnącą. Zawsze tak samo
– przed tą cudowną nocą i ciszą,
gdy Bóg się rodzi.

Pierwszy wierszyk napisał i dołączył do świątecznego prezentu dziadek Stanisław. Było to podczas okupacji.

Żeby jakoś dowartościować miżerne wtedy podarki, dziadek opatrzył je zabawnymi rymowanymi komentarzami. Ten miły obyczaj, podobnie zresztą jak wspólne śpiewanie kolęd, przetrwał w rodzinie Basi Poźniakowej do dziś.

– Niektóre z tych wierszy i wierszyków się zachowały, inne zaginęły bezpowrotnie. Wszak to

twórczość ulotna – śmieje się Barbara.

Te, które udało się jednak ocalić, trafiły do rodzinnego albumu. Przywołują wspomnienia i bawią, jak na przykład ten z 1979 roku, dołączony przez wujka Krzysztofa z Wrocławia do wielkiego garnka:

*„Niech ma wielkość Cię nie zdziwi,
Ze mnie wreszcie się pożywi,
Cała dzieci Twoich trzódka,
Wtorek, Środa i Sobótka.
Wrocławianie bardzo żerni,*

*Przyjaciele domu wierni,
Z „Znaku”, z kraju, z zagranicy,
A któż ich tam zresztą zliczy.
Ze mnie kasza czy kapusta
Tak smakuje jak langusta”.*

– Ciężkie to były czasy. A wuj zdobył gdzieś ten garnek. Emalowany. Wspaniały. To był wtedy prawdziwy rarytas – wspomina Barbara. – Świąteczne podarki bywały różne. Czasem bogatsze, czasem biedniejsze. Praktyczne i niepraktyczne. Ale obowiązywała zasada – im skromniejszy prezent, tym dłuższy i bardziej wyrafinowany wierszyk. Żeby podarek jakoś dowartościować. W ubiegłym roku moja siostra dostała szcztokę do klozetu, ale dołączony był do niej cały poemat... Czasem panowie dostawali majtki, bo „na Jaworowej w dębnickiej połaci, nie liczą się święta, kiedy nie ma gaci”, albo nieśmiertelne skarpetki.

Sen dziadka

– Zdarzało się, że prezenty robiliśmy sami – opowiada Barbara. – Któregoś roku mój ojciec, „złota rączka”, postanowił zbudować wnuczkom dom dla lalek. Pracował nad nim od rana do wieczora przez kilkanaście dni. Boże Narodzenie się zbliżało, a on już prawie nie wychodził z warsztatu. Donosiłam mu tam posiłki, żeby nie tracił czasu na chodzenie. Potem w ogóle przestał wychodzić. Siedział tam bez przerwy ponad 70 godzin. Przez dwie kolejne noce nie kładł się spać. Ale domek skończył. Był wspaniały. Wielki, z otwieranymi drzwiami i oknami. Wewnątrz tapety, dywany, balustradki, balko-

ny, żyrandole, oczywiście świeczce. Gdy przyszła Wigilia, dziadek zdążył się z nami podzielić opłatkiem, a potem usiadł na kanapie i zapadł w głęboki sen. Nie widział szał radości swoich wnuczek, gdy rozpakowały prezent.

Wśród bliskich

Barbara wyciąga ze starej komody kilka albumów. Każda fotografia dokładnie opisana. Kto z kim i kiedy... Kolejne święta, kolejne wzruszenia...

– Nie najlepsze są, bo robione byle jakimi aparatami. Tylko na pamiątkę, dla rodziny.

Oto Wigilia 1980 roku. Wielka choinka. Prawdziwa, oczywiście.

– Powiedziałam, że po moim trupie będzie sztuczna. Już odstąpiłam od prawdziwych świeczek. Tylko do śpiewania kolęd je zapalamy, a na choince są lampki, żeby mogła świecić się przez cały wieczór. Świeczki za szybko się spalały.

Na czarno-białej fotografii kilkanaście osób przy wigilijnym stole. Na innej gromadka roześmianych dzieci rozpakowuje prezenty.

– Zawsze przyjeżdżali do nas bracia mamy z rodzinami, ciotki, wujowie, kuzynostwo. Do stołu siadaliśmy gromadnie. Ten wieczór nas niesłychanie łączył. Myślałam, że udało mi się żyć w dobrych czasach, bo chociaż urodziłam się w czasie wojny, nie pamiętam Wigilii, którą spędziłabym inaczej niż w domu z bliskimi.

Przez lata zmieniał się ten nasz wigilijny zespół. Jedni powyjeżdżali, inni odeszli na zawsze... Nadal jednak siadamy do wieczery



Dziadek Stanisław z malutką Basią.



Wigilia 1980 r. Kasia i Zuzanna.

w liczonym gronie. Często jest też z nami jakiś wyjątkowy gość. Kilka lat temu był wraz z wnuczką Polak z Kazachstanu, którego Jan-ka Ochojska sprowadziła do kraju.

Święta Bożego Narodzenia obchodzi się w naszej rodzinie bardzo uroczyście i zawsze tak samo. Najpierw krótka modlitwa. Opłatek. Życzenia. Kolacja. Te same potrawy. Żadnych kulinar-

nych eksperymentów. Potem śpiewanie kolęd. To jeden z nielicznych dni w roku, kiedy bez pośpiechu i codziennego zabiegania możemy być ze sobą, wspominać, porozmawiać.

Bols z Peweksu

Wigilia 1980 roku. Dziadek Ziutek (ojciec Barbary) znalazł

pod choinką poduszkę, a wraz z nią taką oto zgrabną rymowankę:

*„Po dniu troski i mozołu, kiedy kładziesz się do łóżka,
Z wszystkich przedmiotów na świecie – najlepsza dobra poduszka.
Gdy więc zmiłkną w telewizji hymny państwowego tony,
Niech Ci przedmiot ten umili odpoczynek zasłużony”.*

Kasia, dziś już dorosła córka Barbary, dostała wówczas dziwny prezent – paczkę z malutkimi karteczkami i przyklejonym do niej wierszykiem:

*„Jest zwyczajem do tej pory
eleganckie księgozbiory,
zamiast babrać swym podpisem
opatrywać ex-librisem.
Więc Ty Twoje też książeczki
Zaopatrz w takie karteczki,
By ułatwić Ci zajęcie,
dziadek daje to w prezencie”.*

W latach 80. dobrą wódkę kupowało się w Peweksie za dolary. Był więc to prezent godny każdego Anioła. Do butelki przyklejona była „instrukcja obsługi”:

*„Na film w telewizji nudny,
Zlewozmywak w kuchni brudny,
Na harmider, ruch i krzyk,
Pomóc może Bolsa tyk.
Na znajome wszystkie panie
Pełne wdzięku niesłychanie,
Stodkie, że uchowaj Boże!
Bolsa spory tyk pomoże.
(Wykorzystywanie powyższego tekstu w celach reklamowych bez zgody autora surowo zabronione).*

„Teno” prosto z nieba

– Mojemu mężowi obowiązkowo kupuje się pod choinkę kalendarz. Ma taki swój ulubiony – „Teno” do postawienia na biurku. Wszyscy w rodzinie o tym wiedzą, więc bywało, że dostawał kilka identycznych. Był taki rok, kiedy kalendarza nie można było nigdzie dostać. O trudach poszukiwania informował wierszyk:

*„Wpadł zdyszany aniołek do nieba:
– Kalendarza TENO mi potrzeba!
– Nie ma bracie aniele, TENO.
Na rachunki sprzedajemy jeno.
Wpadł do nieba aniołek zdyszany:
– Toż to ziemskie zgoła szykany!
I wymyślił je jakiś matolek! –
denerwuje się strasznie aniołek...
A już inni w kolejce szemrają:
– Nie rozrabiaj, bierz, bracie, co dają!
– Wszak to TENO – choć w miniaturze...
– Skargę złożysz po Świętach – na górze!”*

Wśród fotografii z Wigilii 1982 roku zachowało się jeszcze jedno wspomnienie kryzysowych czasów:

„Co zaciśniesz – gdyś bez pasa?
Garderobę stracisz snadnie,
A bez spodni spacerować
Nawet w kryzys – niezbyt ładnie!”

W ubiegłym roku Aniołek sprawił dziadkowi Ziutkowi geravit. Taki sobie był to prezent, ale za to jakim zgrabnym osłodzony wierszem:

„Gdy się człowiek robi starszy,
Wszystko w nim powoli parszywieje.

Lecz przemiana się dokona,
Gdy się odpowiednio go na-
dzieje.

Wprost rozpiera go energia,
Gdy spożyje trochę Geri-
vitu.

Już nie męczy życia proza,
Wszystko w koło skłania do za-
chwyty”.

Piastun sakralnej tradycji

Z pożółkłej fotografii spogląda starszy, elegancki pan. To dziadek Barbary, Stanisław Pigoń.

Był historykiem literatury, profesorem i rektorem Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, znawcą romantyzmu, a w szczególności Mickiewicza.

Nigdy nie wyrzekł się swoich chłopskich korzeni. Wychował się w domu bardzo religijnym. W wigilijny wieczór jego ojciec, a mój pradziadek, jako głowa rodziny i gospodarz inicjował modlitwę, dzielił opłatek i posiłek. To była uświęcona tradycja.

U nas w domu on był stróżem i piastunem tradycji sakralnej – pisał Stanisław Pigoń o swoim ojcu w książce „Z Komborni w świat”. „W wieczór wigilijny, umywszy się po pracy i przebrawszy odświętnie, klękał z nami przed obrazem i odmawiał głośno modlitwę. Przy wili pierwszej łyżkę każdej stawy odbierał do skopca, a potem – dołożywszy do tego osobny opłatek z zapieką wewnątrz gałązką ruty – niósł sam bydło do stajni ten jego udział w świętej wieczerzy. Siedział tam długo, a myśmy myśleli, że nasłuchiwał, czy rzeczywiście bydło – jak się to utrzymuje w wierzeniu ludowym – nie zaczął w tę godnią noc przemawiać do gospodarza językiem ludzkim. Potem wносił wiązki słomy, rozścielał ją

Niech ma wielkości Chrę, nie dwoi,
Ze mnie wrenie sie pojni,
Cate dzieci Twoje trodka,
Wtorek, Środa i Sobótka,
Wroctawienie bardzo zemi,
Przyjaciele domu mierni,
Z rżnaku, z kraju, z zagranicy,
A kłoi ich tam zwrota zliży.
Ze mnie kasa czy kapusta
Tak smakuje jak langusta.

w części izby, gdzieśmy też przez resztę wieczoru swawolili do syta. Drugą wiązkę ustawiał w kącie. Słomy tej nie usuwało się z izby aż po świętach”.

W naszym domu dziadek Stanisław był osobą najważniejszą – mówi Barbara. – Zawsze było wiadomo, że gdy zamyka się w swoim gabinecie i pracuje, dzieci nie mogą mu przeszkadzać. Nigdy też nie zaczynało się żadnego posiłku, dopóki on nie przyszedł do stołu – wspomina Barbara. – Ale to babcia żelazną ręką trzymała dom w ryzach. Była osobą surową i wymagającą.

Życie musi się toczyć

Dziadek Stanisław zmarł tuż przed świętami Bożego Narodzenia w 1968 roku.



Ex-libris zrobiony przez dziadka Ziutka dla Kasi.

To był dla nas straszny cios. Moja mama, która uwielbiała swojego ojca, była kompletnie wytrącona z równowagi. Wszyscy byliśmy pogrążeni w głębokiej żalobie. Nikt nie myślał o jakichkolwiek przygotowaniach do świąt. Ale moja babcia – jako się rzekło osoba żelaznego charakteru – zdecydowała, że święta będą.

Nie ma być Bożego Narodzenia? Ojcu by się to bardzo nie podobało. Święta będą jak zawsze! No i moja mama i jej bratowa z Wrocławia zakasały rękawy i zabrały się do przygotowań. Zebrałyśmy się przy wigilijnym stole i połamaliśmy opłatkiem ze ściśniętym gardłem, w absolutnym milczeniu. Po wieczerzy babcia zapytała:

– A kolęd nie będziemy śpiewać? Życie ma się toczyć, ma trwać i to jest ważne, to nas łączy. Ciężko nam szło to śpiewanie, ale śpiewaliśmy...

Podobną wigilię przeżyliśmy 30 lat później, po tragicznej śmierci mojego syna Marcina. Wigilia bez niego była najsmutniejsza w moim życiu...

Inne były zazwyczaj radosne i pogodne. Zawsze jest ta cudowna chwila, kiedy kolejne w rodzinie małe dzieci wchodzi do pokoju, w którym stoi rozjarzona choinka, a pod nią góra prezentów.

Hej kolęda! Kolęda!

Pierwsze Wigilie, które Barbara pamięta, odbywały się w miesz-

kaniu dziadków przy ulicy Garbarskiej. Dziś jest tam hotel uniwersytecki, kiedyś była bursa akademicka znana wśród studentów jako „Pigoniówka”.

Dziadek był seniorem bursy, czyli opiekunem studentów i miał tam służbowe mieszkanie. Potem przez pewien czas mieszkaliśmy przy alejach Słowackiego, a w 1956 roku przeprowadziliśmy się z rodzicami tutaj, na Dębinki, na Jaworową. I tu przeniosło się centrum rodzinnego życia.

W 1962 roku Barbara wyszła za mąż. Przyszły na świat dzieci. Najpierw Marcin, potem Kasia, a na końcu Zuzanna.

Każdego roku po wigilijnej wieczerzy zapala się świeczki i zaczyna się wspólne śpiewanie kolęd.

Wszyscy to lubią. Nawet dzieci zawsze bardzo cierpliwie znosiły to śpiewanie, choć typały okiem pod choinkę. Podobny obyczaj panował w domu mego męża.

Moja teściowa była pianistką, teść kompozytorem, a mój mąż jest muzykologiem. W jego rodzinie, podobnie jak w mojej, śpiewanie kolęd było głównym punktem wieczoru. Z rodzinnego domu męża pochodzi pierwszy drukowany śpiewnik kolęd i pastorałek (z 1843 roku), który czasem służy nam jako pomoc naukowa. Choć rzadko z niego korzystamy, bo wszyscy słowa znają na pamięć i to nie tylko pierwsze zwrotki i refren, ale cały tekst.

Czasem, gdy chcemy się zabawić, śpiewamy kolędę do samego końca, a niektóre mają i po 18 zwrotek. Zawsze zaczynamy od „Wśród nocnej ciszy”, a kończymy na „Bóg się rodzi”. I gdy już zaśpiewamy wszystkie, które pamiętamy, następuje ta upragniona chwila, kiedy można otworzyć prezenty. Wszyscy na głos czytają swoje wierszyki. Trwa to zwykle tak długo, że ledwo zdążymy na pasterkę.

Takie śpiewane spotkania odbywają się w domu Barbary w całym świątecznym okresie.

BARBARA PAJCHERT

ZDJEĆIA Z ARCHIWUM RODZINNEGO

Barbara Pożniakowa, wspominająca rodzinne święta, jest filologiem-polonistą, od 1982 roku pracuje w wydawnictwie „Znak”.

PREVENTION®

NAJPOPULARNIEJSZY MAGAZYN O ZDROWIU

ISSN 1505-9294
INDEKS 345 989

NR 1 (40) STYCZEŃ 2002

Cena 3.99 zł
(w tym 7% VAT)

VITA MASZERUJ i chudnij!

Zimą szybciej
spalasz kalorie

ZACZNIJ
OD DZIS!

W prosty sposób pokonasz
CHOLESTEROL
Wybierz program dla siebie!

12 odpowiedzi
CO JEŚĆ, BY MIEĆ
SPRAWNIEJSZY
UMYSŁ

NIE DAJ SIĘ ZASKOCZYĆ!

REUMATYZM MOŻE SIĘ OBJAWIAĆ
BÓLAMI MIĘŚNI!

JUŻ W KIOSKACH!





KAZIMIERZ TARGOSZ
z NORMANEM DAVIESEM w OKSFORDZIE

ZDJĘCIA JAN ZYCH

Zbiera materiały i pisze opasłe książki, o których jego przyjaciele mówią, że jest to „Krótka rozprawa między panem Normanem a Polską i Europą”. Stara się nas przekonać, że bez historii nie da się niczego zrozumieć, mimo że jej ciągłość jest złudzeniem.

Umówiliśmy się z Normanem Daviesem w Oksfordzie, bo wydawało mi się, że właśnie tam najlepiej uda się rozwikłać fenomen tego angielskiego Walijczyka, który od pewnego czasu uczy historii Polaków, Brytyjczyków i Europejczyków. Polaków uczy rozróżniać fakty od mitów, z czym wciąż mamy problemy, Brytyjczyków, że Anglia to nie to samo co Wielka Brytania, a Europejczyków, że historia tego kontynentu to nie jest tylko historia Zachodu.

W historii według Daviesa liczą się fakty, ale też rzeczy ulotne, a także wrażliwość na atmosferę i nastrój. Jest błyskotliwym stylistą i zarazem – nie wstydzi się tego określenia – le grand simplificateur, co wielu kolegów po fachu ma mu za złe. Gdzie się tego nauczył? Skąd czerpał wzory? Jakich miał mistrzów? Czy można mówić o wpływie oksfordzkiego akcentu na jego sposób myślenia i siłę argumentacji, której ulegają nie tylko historycy (z wyjątkiem tych nazbyt solennych i nudnych), politycy (Tony Blair czyta do poduszki jego „Europę”), ale przede wszystkim zwykli czytelnicy. Po ukazaniu się historii Polski zatytułowanej „Boże igrzysko” napisał do Daviesa pewien młody małżonek, skarżąc się, że jako jeden ze ślubnych prezentów подарowano

Z oksfordzkim akcentem

młodej parze egzemplarz tej książki i że jego nowo poślubiona żona uparła się, by wszystko inne odłożyć na bok, dopóki nie przeczyta obu tomów, a jest tego 1600 stron!

Zamknij oczy i myśl o Anglii

Kiedy zaproponowałem profesorowi spacer sentymentalny po Oksfordzie, nie tylko chętnie przystał, ale ustalił dokładny plan naszego pobytu. Pierwszy dzień, 5 października, a właściwie wieczór, bo zjawiliśmy się u profesora o godzinie 20.00, upłynął pod znakiem piłki nożnej. Właśnie w tym dniu Anglia, po remisie z Grecją, awansowała do finałów przyszłorocznych mistrzostw świata. Bohaterem meczu był piłkarz Manchester United, David Beckham, który strzelił pięknego gola z wolnego. Profesor Davies, który sam grał w piłkę nożną, nawet w reprezentacji Uniwersytetu Oksfordzkiego (jego stryj grał w reprezentacji Anglii i był także w Krakowie) jest zapalonym kibicem i świetnie rozumie, jak bardzo piłka nożna, z jej masową popularnością, jest ważna dla samopoczucia Brytyjczyków.

Poczucie brytyjskości byłoby zdecydowanie silniejsze, gdyby Walijczyk Ryan Giggs, który razem z Beckhamem gra w Manchester United, mógł zagrać w reprezentacji Anglii, albo gdyby Rangersi i Celtic Glasgow występowali w tej samej lidze, co Manchester i Arsenal. Anglia, grając w Mistrzostwach Świata 2002, spotka się z zespołami, które dobrały sobie zawodników

z całego kraju. Polacy, jak wiemy, mają nawet w swoim zespole „rodowitego” Polaka Olisadebe z Nigerii, natomiast ekipa angielska będzie grała bez Szkotów i Walijczyków.

Następnego dnia rano państwo Daviesowie, to znaczy profesor, jego żona Maria z Korzeniewiczów, czyli Myszką, kiedyś gwiazda polonistyki krakowskiej, i syn Christian udają się na mszę świętą do kościoła Dominikanów.

W południe zaś wszyscy razem oglądamy mecz piłki nożnej z udziałem Christiana, który z wyglądu zupełnie przypomina Bońka. Myszką opowiada, że przed laty zdarzało się często, iż podczas spacerów z synem po Oksfordzie błędnie rozpoznawano w niej Polkę, argumentując to tym, że jej syn to „istny Boniek”. Kiedy Christian miał 5 lat, był też bohaterem rozmowy, jaką prowadził w oksfordzkim autobusie z dwiema starszymi paniami, które zadały mu pytanie, czy będzie studiował w Oksfordzie, czy w Cambridge? Odpalił bez namysłu: w Przegorzałach!

Niewtajemniczonym wyjaśniam, że mieści się tam Letnia Szkoła Kultury i Języka Polskiego Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Kolejny punkt programu tego dnia obejmuje spacer po obrzeżach Oksfordu, nad Tamizą, wśród ruin klasztoru, jednego z tych, które zburzył Henryk VIII. Wspinamy się nawet na niewielkie wznieślenie, z którego rozciąga się piękny widok na Oksford. Profesor przypomina mi, że – jak powszechnie wiadomo – Anglicy są najlepszymi wspinaczami na świecie z tego prostego powodu,

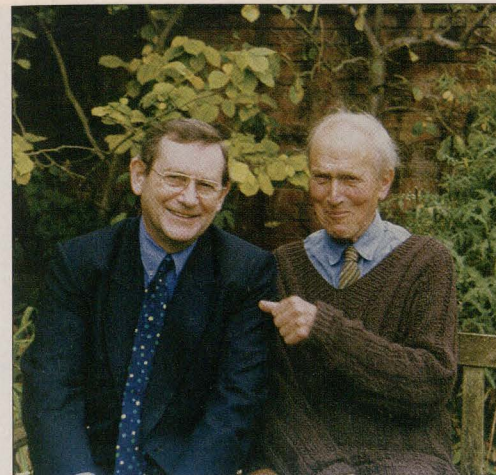
że sami nie mają poważnych gór. Najwyższy szczyt ma 3210 stóp, czyli 988 metrów i może go zdobyć każdy sportowiec-dżentelmen między zupą a daniem rybnym. Toteż głodni gór musieli wyruszyć w świat i zdobywać cudze szczyty.

Trafiamy oczywiście do pubu, ten nazywa się „Victorias Arm's”. Pijemy guinnessa, profesor poświęca się dla nas, bo woli wino, i częstuje nas świetnym dowcipem o królowej Wiktorii. Kiedy jej córka poprosiła o radę na noc poślubną, usłyszała od matki: „Zamknij oczy i myśl o Anglii”.

Cherches la Polonaise

Wieczorem pierwsze zetknięcie z Oksfordem, o którym profesor mówi, że jest jednym z nielicznych już tradycyjnych fundamentów „brytyjskości”. Inne, takie jak marynarka, imperium, monarchia, protestanckość albo zniknęły, albo straciły na znaczeniu. Objeżdżamy Oksford jego sportowym subaru, w którym znajduje się specjalne urządzenie wykrywające radar i reagujące na udrękę dla kierowców, czyli kamery rejestrujące szybkość, z jaką porusza się samochód. Profesor miewa z tym kłopoty, bo lubi naciskać pedał gazu.

Z radia w samochodzie słyszymy, że oto Amerykanie rozpoczęli atak na Afganistan. Nie mogą nie skorzystać z okazji i nie zapytać profesora o komentarz do wydarzeń związanych z 11 września. Zdaniem profesora Daviesa każdy konflikt ożywia religie. Tak było w czasie



– Patrz na wszystko ze świadomością zmienności losów i tolerancją – uczył tutor, John Stoye.



Christian Davies z wyglądu przypomina Bońka.



Oksford to legenda, marka, stare mury, dużo zieleni, trochę prowincjonalnego uroku – to wszystko przyciąga młodych ludzi z całego świata.

I i II wojny światowej. Chrześcijanie i muzułmanie modlą się do jednego Boga. W czasie pokoju zapomniano o Bogu. Teraz religia dotyka tajemnicy śmierci, spraw ostatecznych. Ale nie jest to konflikt między światem Zachodu a światem islamu. To jest aberracja religijna terrorystów. Islamski terrorysta jest tak samo daleko od islamu, jak irlandzki terrorysta-katolik zabijający swego sąsiada protestanta. „Wściekły politycznie” terrorysta islamski zawsze znajdzie w Koranie wygodne dla siebie frazy.

Nienawiść terrorystów nie wzięła się znikąd. Wielka demokratyczna Ameryka nie popierała demokracji w świecie islamskim, działała według starej imperialnej zasady Anglików: dziel i rządź. Trzeba zbadać źródła nienawiści, ale i rozpaczę świata islamskiego, a nie tylko myśleć o złapaniu szaleńca. Lepiej zbudować solidarność z krajami islamskimi. Lepiej, żeby Ameryka była lekarzem, nie żołnierzem.

Kiedy następnego dnia odwiedziliśmy doktora Johna Stoye'a, opiekuna profesora Daviesa w czasie jego studiów w Oksfordzie, zapytałem, czego starał się nauczyć swojego ucznia, i usłyszałem: żeby patrzył na wszystko ze świadomością zmienności losów i z tolerancją. Zrozumiałem, że profesor Davies był pojętnym uczniem.

Na zakończenie dnia w gościnnym domu, w spokojnej profesorskiej dzielnicy (sąsiadem jest Leszek Kołakowski) profesor przypomina z uśmiechem, że przed laty założył tu NSZZ – Niezależny Samorządny Związek Zrzeszonych (w Anglii polonofilów) oraz, dla równowagi, ZMP – Zrzeszenie Małżonków Polek. Jak mówią Francuzi: cherches la Polonaise.

Gotyk w czystej postaci

Następnego dnia profesor zabrał nas do najpiękniejszego miejsca w Oksfordzie, czyli Magda-

len College, gdzie studiował. Weszliśmy na niebywałą urody wirydarz, czworoboczny, cudownie zielony dziedziniec – gotyk w czystej postaci, zachowany w nie zmienionym stanie od XV wieku – i w tym momencie zrozumieliśmy, dlaczego Oksford jest jednym z symboli starej Anglii. I dlaczego młodzi z całego świata przyjeżdżają tu tak chętnie na studia, wolą takie kolegia niż kampusy.

Podobnych kolegiów, z wirydarzami, kaplicami, wieżami, parkami, owym niezwykłym klimatem jest w Oksfordzie w sumie 35, choć nie wszystkie są tak stare i tak piękne jak Magdalen College. Profesor Davies zwraca mi uwagę, że również bycie profesorem w takim miejscu to duża przyjemność. Uposażenie nie jest wprawdzie zbyt wysokie, ale mieszka się w starych murach, z pięknymi widokami z okien, ma się służbę, fantastyczną kuchnię, pięćsetletnie piwnice z najlepszymi winami, wszystko za darmo.

Warunki są tak dobre, że nie chce się pracować. I wielu to praktykuje. Jadalnia Magdalen College przypomina aulę w Collegium Novum. Wieczorem pozwolono nam zrobić zdjęcia z uroczystej wspólnej kolacji profesorów i studentów. Była to bardzo pouczająca lekcja niedemokratycznych stosunków panujących w Oksfordzie. Profesorzy siedzieli przy wielkim stole w pewnym oddaleniu od studentów. Serwowano im luksusowe posiłki, kilka rodzajów win (porto, madera). Studenci zaś, stłoczeni przy stole w bezpiecznej odległości od profesorów, jedli banalne szybkie dania, popijane winem przyniesionym przez siebie.

Mistrzowie

W jednej z pięknych sal Kolegium Magdaleny wisi portret A. J. P. Taylora – promotora profesora Daviesa w Oksfordzie, jednego z jego mistrzów, najwybitniejszego historyka swojego pokolenia, kontynuatora owej starej tradycji brytyjskiej pisania historii jako literatury, do której należeli też Edward Gibbon czy M. G. Trevelyan.

Taylor był synem milionera. Jako student jeździł rolls-royce'em, ale – jak mówi profesor – był skąpy jak cholera, żył skromnie w małym domku, miał za to kilka żon. Żył dla historii. To on namówił Daviesa, by zajął się historią Polski, bo nikt się tu tym nie zajmował. Taylor był na tak zwanym Kongresie Intelktualistów we Wrocławiu w 1948 roku, gdzie zażądano od niego tekstu jego wystąpienia. Odmówił, a potem wygłosił wspaniały speech potępiający Związek Radziecki. Potrafił mówić bez żadnych notatek.

– To był teatr – mówi profesor Davies – on stał jak kamień i mówił żywo, fascynująco przez 59 minut, i kończył bez spoglądania na zegarek. Świetnie i dużo pisał. Był znienawidzony przez kolegów, bo przecież nie wypada profesorowi Oksfordu występować w TV, dla pospólstwa, a on to robił. Pisał też dla prasy bulwarowej, bo uważał, że historyk ma obowiązek dzielić swoją wiedzę z jak największą liczbą ludzi.



Profesor Davies ze swoimi asystentami. Pierwsza z lewej Wanda Wyporska, której dziadek był Polakiem.

Historia była właśnie dla Taylora twórczością literacką, także nauką, ale i medium – sposobem przekazywania pewnej filozofii życia. Taylor był ostry dla kolegów, ale dobry dla studentów, choć czasem dość perfidny.

– Na pierwszym spotkaniu – wspomina profesor – zapytał nas, czy mamy coś do pisania, a kiedy potwierdziliśmy, podyktował nam listę profesorów, na których wykłady nie warto chodzić!

Innym mistrzem był McFarland, który na pierwszym spotkaniu zadał jakiś temat i podał całą listę książek. Za tydzień trzeba było przynieść esej na ten temat. Student Davies wygłosił referat przyjęty przez McFarlanda z dezaprobatą. Zdziwiony, bo solidnie odrobił zadanie, przeczytał wszystkie polecone lektury, usłyszał: nie trzeba wierzyć we wszystko, co się czyta w książkach. Okazało się bowiem, że McFarland wybrał książki, z którymi się nie zgadza. Może było to niezbyt przyjemne, ale jakieś pocudzające i jaka potem rozwinęła się dyskusja.

Jako absolwent UJ, wychowany w kulcie dla tytułu profesorskiego, ze zdumieniem dowiedziałem się, że A. J. P. Taylor nigdy nie był profesorem! – Raz się starał – mówi profesor Davies – była z tego ogromna awantura, więc zrezygnował i patrzył na tę całą hierarchię z obrzydzeniem.

Jak rząd i partia

Pora w tym miejscu wyjaśnić to, co jest bardzo trudne do wyjaśnienia – strukturę nauczania w Oksfordzie. Dla nas to bardzo stary, XIII-wieczny uniwersytet, z wielką tradycją, z katedrami, z wydziałami, instytutami, hierarchią naukową. Ale równolegle istnieje system college'ów, jakby miniuniwersytetów, w których studenci mieszkają, stołują się, mają swoich opiekunów, czyli tutorów, spotykają się z nimi, ale równocześnie należą do fakultetu uniwersyteckiego, gdzie spotykają się na wykładach ze studentami z innych college'ów. Każdy pracownik naukowy jest w hierarchii uniwersyteckiej – na przykład profesorem i jest również socius, czyli fellow, w jednym z college'ów. – To jest – mówi profesor – jak w PRL rząd i partia.

Każdy student ma swojego tutora, czyli opiekuna, z którym spotyka się jeden, dwa razy w tygodniu sam na sam, często w jego domu. Tutor pyta: co robisz, co czytasz, jest mentorem naukowym, zadaje owo fundamentalne pytanie: What do you mean? – co masz na myśli, co o tym sądzisz?

Z tutorem profesora Daviesa, doktorem Stoye'em, spotkaliśmy się w jego pięknym ogrodzie, gdzie wręczył nam kwiaty lawendy. Profesor Davies bywa tu częstym gościem, mimo że upłynęło już wiele lat od jego studiów. Uważa, że takie

bliskie, bezpośrednie kontakty profesora ze studentem to najlepsza strona Oksfordu. Ale ma jedną wadę: jest kosztowna, bo w Oksfordzie studiuje 15 tysięcy studentów. Pojawiają się więc propozycje, by Oksford i Cambridge wyłączyć z systemu wyższej edukacji i sprywatyzować tak, jak na przykład Harvard, bo bez dodatkowych środków ten system padnie.

Na Uniwersytecie Stanforda w Stanach Zjednoczonych, gdzie profesor Davies pracował, największym wydziałem, zatrudniającym 50 osób na etatach, jest „wydział zbierania pieniędzy”. Takie rynkowe myślenie nie jest w Oksfordzie popularne. Anglicy nie płacą za same studia, dla obcokrajowca jest to 25 tysięcy dolarów rocznie, dla członka Unii jedna trzecia tej kwoty. Margaret Thatcher wprowadziła system kredytów dla studentów, co nie bardzo się spodobało, bo absolwent jest dłużnikiem. Być może dlatego uniwersytet w Oksfordzie, który ma opinię konserwatywnego, choć taki nie jest, nie przyznał pani premier, swojej byłej studentce, tytułu doktora honoris causa. Za to przyznał – jak pamiętamy – Lechowi Wałęsie.

Nienagannie ubrany ogrodnik

Inną dobrą stroną Oksfordu jest – zdaniem profesora Daviesa – tradycja ekscentryczności. Kiedy obcokrajowiec pójdzie do college'u i zobaczy nienagannie ubranego faceta, to jest to ogrodnik (absolutnie to potwierdzam po wizycie w Magdalen College i poznaniu tamtejszego ogrodnika), a jeśli facet wygląda jak ogrodnik, z brudnymi butami, to jest profesorem.

Oksford to legenda, to marka, jak Giorgio Armani – żartuje profesor. Legendy powstają przez lata i nie zawsze pasują do aktualnej rzeczywistości. Stare mury, ogromna liczba parków, zieleni, trochę charakterystycznego dla Anglii prowincjonalnego uroku – wszystko to niezmiennie przyciąga młodych ludzi z całego świata. Studiuje tu aktualnie córka Clintonów, Chelsea, jest wielu studentów z Rosji.

W Oksfordzie – jak głoszą wszystkie folde-ry – „mówią wieki”. Szczyci się wieloma noblistami i wybitnymi wychowankami. Jest wciąż magnesem dla ludzi, którzy przywiązują wagę do etykiety, i trudno się temu dziwić, bo dyplom Oksfordu ma swoją wagę, także dla dzieci polskich nobelobogackich.

Dla profesora Daviesa siłą Oksfordu jest owych 35 college'ów, ze swoją tradycją, autorytetami, świetnym zapleczem naukowym, bibliotekami. Ci, którzy chcą coś opublikować, mają na miejscu słynne wydawnictwo Oxford University Press, które wydało także wszystkie książki profesora Daviesa. Styl życia w Oksfordzie: snobizm i ekskluzywność, przestrzeganie sztyw-

nego rytuału, bywanie na przyjęciach, pokazywanie się – nie bardzo profesorowi odpowiada. Ma swoje wąskie grono przyjaciół i znajomych, rodzinę, no i przede wszystkim całymi godzinami pisze. Jak już wiemy, bardzo grube i bardzo ciekawe książki.

– W tym tygodniu pisałem o Rokossowskim. Kiedy nie piszę, czytam. Lubię nawet czytywać moje książki po polsku, także dlatego, by sprawdzić, czy rozumiem własne dowcipy. Nie jest to możliwe w przypadku japońskiego czy ukraińskiego wydania „Europy”.

Niedawno napisał książkę „The Isles” – „Wyspy”, w której stara się wyjaśnić, co to jest historia Anglii i co to jest historia Wielkiej Brytanii, bo tu się tej różnicy nie dostrzega. Równie dużo miejsca poświęcił Irlandii, Szkocji i Walii, co Anglii. Pomogło mu doświadczenie zdobyte w Polsce przy pisaniu „Bożego igrzyska”, w którym podkreślał wielonarodowość i wielokulturowość dawnej Polski. „Wyspy” przesłał do swojej dawnej biblioteki Magdalen College i po kilku dniach otrzymał podziękowanie za: „Piękną książkę dotyczącą historii angielskiej!”.



Magdalen College.

– Ale bywało gorzej – mówi z uśmiechem profesor – moja książka o wojnie polsko-bolszewickiej w 1920 roku, zatytułowana „Biały orzeł, czerwona gwiazda”, w bibliotece jednego z amerykańskich uniwersytetów została umieszczona w dziale: ornitologia.

Wanda, czyli w polskiej krainie czarów

Ostatnio pod adresem Daviesa padają pytania, czy pracuje już nad historią świata lub zgoła wszechświata. Postanowił jednak iść w innym kierunku. W latach 90. zainteresował się odrodzeniem idei Europy Środkowej. Europa zawsze była rozdarta między Wschód i Zachód. Wszelkie inne podziały czy związki regionalne pozostawały w cieniu.

Już w latach 80. niektórzy, np. Milan Kundera, lansowali pojęcie Europy Środkowej, żeby przeciwstawić się tworom ideologii sowieckiej. Ale Europa Środkowa wydawała się profesorowi ciałem zbyt złożonym, by mógł opisać ją w całości. Wpadł więc na pomysł przedstawienia szerszego kontekstu poprzez

mikrokosmos doświadczeń jednego miasta. Wybrał Wrocław, z jego bogatym wielonarodowym dziedzictwem – czeskim, polskim, niemieckim, żydowskim i gorzkim losem w XX wieku.

Profesor zaprosił nas na seminarium do Woltson College, na temat historii Wrocławia. Przyszło mnóstwo ludzi i oto w samym sercu Oksfordu słuchaliśmy wykładu o stolicy Dolnego Śląska, co stało się znakomitą okazją do przedstawienia w pigułce burzliwych dziejów Europy Środkowej.

Na pożegnanie spotkaliśmy się w domu państwa Daviesów z asystentami profesora, wśród których jest młoda, piękna dziewczyna, czarna jak heban, z rozbijającym uśmiechem i zupełnie fantastycznym biustem. Nazywa się Wanda Wyporska. Mówi biegle po polsku. Jej dziadek był Polakiem, pilotem w czasie II wojny światowej, babcia Angielką. Zanim się po- brali, pisał do niej piękne listy miłosne, które przechowuje i chciałaby je kiedyś wydać. Zna świetnie Polskę, zwłaszcza Kraków, pracowała jakiś czas w Radiu RMF. Skończyła poloni-

stykę na uniwersytecie londyńskim. Kocha Kochanowskiego i Gombrowicza. Píše pracę doktorską na temat polskich czarownic!

Pijemy wino, profesor gra na akordeonie, przypominając – jak to historyk – że reputację akordeonistów zepsuła Armia Czerwona, więc przed nim stoi wielkie, ale wdzięczne wyzwanie.

Przez ostatnie 30 lat zbiera materiały i pisze opasłe książki, o których jego przyjaciele mówią, że jest to „Krótka rozprawa między panem Normanem a Polską i Europą”. Stara się nas przekonać, że bez historii nie da się niczego zrozumieć, mimo że jej ciągłość jest złudzeniem.

Swoją historię Polski zatytułował „Boże igrzysko”, nawiązując do fraszki Kochanowskiego:

*Nie rzekł jako żyw żaden większej prawdy
z wieka,*

Jako kto nazwał bożym igrzyskiem człowieka.

Fraszka Kochanowskiego kończy się w ten sposób:

*[Człowiek] miłością samego siebie zaslepiony
Rozumie, że dla niego świat jest postawiony;
On pierwszej był niżli był; On, chociaż nie będzie,
Przedsię będzie; próżno to, błaznów pełno
wszędzie.*

Ostatnią linijkę lubi traktować jako motto zawodu historyka. Przypomina mu ona opinię Szekspira o historii jako o bajce opowiedanej przez idiotów, pełnej fanfaronady i hałasu, nic nie znaczącej.

Sięgnął do fraszki Kochanowskiego, bo chciał podkreślić centralną rolę religii chrześcijańskiej w historii Polski i kapryśne, nieracjonalne działanie Opatrzności. Polska to kraj, któremu los płała złosiwe sztuczki i w którym żywe poczucie humoru było zawsze jednym z podstawowych elementów podręcznego wyposażenia w walce o przetrwanie.

– Czy ta metafora jest aktualna dla dzisiejszej Polski? – pytam profesora.

– W dużej mierze tak. „Boże igrzysko”, czyli Alicja w polskiej krainie czarów, duchów, w której nie chce się widzieć tego, co jest, a widać się to, czego nie ma.

Zdaniem profesora wolność jest w Polsce wolnością od czegoś, a nie do czegoś. Nie jesteśmy jeszcze w pełni rozwiniętym „społeczeństwem obywatelskim”, w którym grupy interesów i ludzie z inicjatywą dysponują systemem prawnym, instytucjami, pieniędzmi i wolą działania pozwalającą wcielać w życie najrozmaitsze plany.

Ale profesor nie ma poczucia zagrożenia Polski, mimo dziury budżetowej i egzotycznych polityków. Kiedy Polska wejdzie do Unii, będzie krajem europejskim, nie zaściankowym, zmieni się scena polityczna. I na końcu dodaje: na temat Polski można wygłaszać dowolne stwierdzenia, poza jednym: że jest albo była krajem nudnym.

KAZIMIERZ TARGOSZ



PREZENTY * PREZENTY * PREZENTY

TRADYCYJNY ŚWIĄTECZNY WIELKI KONKURS „PRZEKROJU”

Prezenty istnieją od początku świata. Najbardziej prezentowym miesiącem roku jest obecnie grudzień. Stąd nasz konkurs. Dziecinnie łatwy. Na naszej świątecznej choince i pod nią rozmieściliśmy dość sławne na ogół prezenty i „prezenty”, znane z Biblii, historii, mitologii, literatury i prasy.

Należy po prostu stwierdzić KTO i KOMU dał dany prezent i wpisać to w odpowiedniej rubryce KUPONU KONKURSOWEGO. Prawdłowo wypełnione kupony (wyłącznie oryginalne) wezmą udział w losowaniu wysoce prezentowo prezentujących się nagród. Prosimy tylko spojrzeć na ich wyjątkowo atrakcyjną atrakcyjność.

Rozwiązania należy nadsyłać do dnia 11 stycznia 2002 roku (decyduje data stempla pocztowego) pod adresem: PRZEKRÓJ, 30-960 Kraków, skr. poczt. 533, pamiętając o zaznaczeniu na kopercie: KTO? KOMU? Wesołej zabawy!

	KTO?	KOMU?
1.		
2.		
3.		
4.		
5.		
6.		
7.		
8.		
9.		
10.		
11.		
12.		
13.		
14.		
15.		

IMIĘ I NAZWISKO

DOKŁADNY ADRES



kawiarka z czajnikiem elektrycznym



2 ekspresy do kawy



2 roboty kuchenne



4 odkurzacze



2 kombiuary

Dla zwycięzców – wyjątkowo prezentowo atrakcyjne nagrody:

- cztery odkurzacze
- dwa roboty kuchenne,
- dwa ekspresy ciśnieniowe,
- dwa kombiuary,
- kawiarka z czajnikiem elektrycznym,
- cztery albumy („Gauguin”, „Matisse”, „Cézanne”, „Renoir”);
- razem 15 (słownie: piętnaście) sztuk, to jest tyle, ile na naszej prezentowej choince.
- A także płyty CD z nagraniami Lenny Valentino, Waldka Goszcza (8 szt.) i Ewy Bem (2 szt.).



ILUSTRACJA STEFAN BERDAK

*Powązki są jak majestatyczna fuga,
w której pokolenia
– na podobieństwo głosów
– nakładają się jedne na drugie,
powtarzając ten sam, odwieczny
temat życia i śmierci.*

Jerzy Waldorff

*Jeśli zamkniesz drzwi przed
błędami, zamkniesz je też przed
prawdą.*

Rabindranath Tagore

*Szerokie horyzonty zdarzają
się w bardzo wąskim gronie.*

Jakub Werbiński

*W głębi serca każda kobieta,
podobnie jak poeta, lubi hazard.*

Joseph Conrad

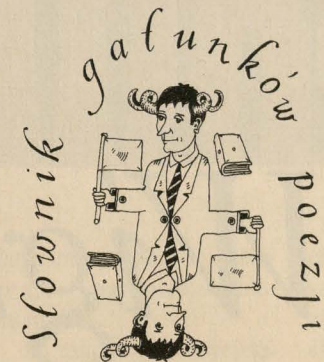
*Przy liczeniu najłatwiej
się przeliczyć.*

Krecia P.

*Nędzny grosz to jednak kuzyn
fortuny.*

Sławian Trocki

Mysli zebrała Stella Varcaby.



nonsensu
STANISŁAW BARAŃCZAK

AGITPROPPALINDROM

Utwór pozostający w służbie agitacji i propagandy, a zarazem będący w niezgodzie z głoszoną przez nie ideologią –



ILUSTRACJA REZYSTOF KOKORYN

STANISŁAW JERZY LEC

Na też otarcie

*Nie każdy wódz jest nieśmiertelny,
nie wszystkich karier dopną szelmy,
nie musisz posiąść wszystkich Wener,
nie każda z obór to już plener,
nie każdy cham to troglodyta,
nie każdy wieszcz ma inedita,
nie każdy Bóg jest klerykałem.
I to jest pocieszeniem całem.*

Fraszka pochodzi z tomu S.J. Lec, „Utwory wybrane” t. 2, pod red. J. Łukasiewicza, Kraków 1997.

TU ŻYJĘ I TU JEST MI DOBRZE



© MARCIN MACIEJOWSKI

jest bowiem palindromem, tj. utworem wyglądającym identycznie i znaczącym to samo, jeśli go czytamy w przód i wspak. Czyż bowiem w jakiegokolwiek agitacji i propagandzie może się pomieścić twór językowy, który nie tyle maszeruje naprzód, ile cyklicznie powraca do punktu wyjścia? Wątpliwe. Ponieważ jednak palindromowi często się zarzuca, że właśnie przez tę cykliczność nie uznaje pojęcia postępu i zamyka oczy na sprawy otaczającego nas świata – oto kilka krótszych i dłuższych palindromów i palindromaderów, z których każdy mógłby się okazać niezwykle efektywny, gdyby go skandować na jakimś wiecu mizoginistów (przykład 1),

użyć jako nagłówek w gazecie (2) lub fragmentu wywiadu ze szwajcarskim politykiem (3), i wreszcie (4), wznieść klasyczny okrzyk piętnującego korupcję antydemokraty, zdanie, które świetnie by się również nadawało do wymalowania na transparencie. Wystarczyłaby nawet połówka tegoż, bo przecież po wydukaniu pierwszej połowy tekstu możemy dukać wstecz i wyjdzie na to samo.

Moc mas – samcom!

Albania: Kain – Abła.

M.A. Mokry: Co tai demokracja w ZSRR? Szwajcar: – Komedia to, cyrk, omam!

Uknota ruleta wyborów to potwór, obywatelu! Ratunku!

OPOWIEŚĆ

Wigilijna

Pewnego dnia, a był to najpiękniejszy ze wszystkich dni roku, Wigilia Bożego Narodzenia, pewien smutny chłopiec o nietutejszych rysach siedział pod murem kamienicy i chuchał w ręce zgrabiące z zimna od trzymania kartki z napisem w niezrozumiałym dla siebie języku.

Mróz był dotkliwy i przenikający, czas mglisty. Z perspektywy ulicy smutny chłopiec o nietutejszych rysach mógł oglądać jedynie buty miejscowych przechodniów tupiące o bruk. Przez wszystkie szpary i dziurki od klucza, zamki pojazdów czterokołowych, nieszczelne okna domostw, zabite deskami dziury w ścianach, krzywe podłogi, nie domykające się okna przedziałów kolejowych klasy I, jak i wszelkie inne miejsca, jakie tylko można sobie wyobrazić, wciskało się zimno i spłoszone buty szurały to tu, to tam, to w lewo, to w prawo, aby się cokolwiek rozgrzać w przygotowaniach do mającej nastąpić uroczystej wieczery.

Tymczasem mały właściciel zsiniałego noska, którego kataru nie wyleczyłyby żaden nowoczesny antybiotyk ani tym bardziej inne wytwory umysłów najdoskonalszej ze znanych nam cywilizacji, siedział po tej stronie ulicy, po której było najmniej ciekawie. O wiele ciekawiej było na przykład po drugiej stronie ulicy, gdzie błyszczała witryna sklepu, potwierdzająca miejscowy sukces ekonomiczny.

Wiele szurających butów gromadziło się przed szybą witryny, małe buty ciągnęły duże buty, duże strofowały



małe, żeńskie pilnowały męskich, ocieplane buty sportowe kopały się nawzajem. W odpowiedzi błyszczące wesoło światła okien magazynu rzucały niebieskawy odblask na blade twarze właścicieli.

Mróz wzrastał, mróz trzaskający, srogi. Smutny chłopiec o nietutejszych rysach zaszczekał zębami i pociągnął aż do pasa kołnierza wełnianego szalika z dziurami wielkości zaciśniętej pięści, skurczył się w sobie w nadziei, że zdoła zatrzymać trochę ciepła. Powiał wiatr. Kartka z napisem w niezrozumiałym języku sfrunęła na zmarznięty chodnik i pogardliwie odwróciła się do niego nie zapisanym miejscem. Wielka szyba wystawowa miejscowego sukcesu ekonomicznego wciąż mrugała cwaniacko zza ulicy. Za szybą przeżyły się dumnie 29-calowe odbiorniki telewizyjne w niespotykanej dotychczas promocji.

Smutny chłopiec o nietutejszych rysach też zamrugał oczami, żeby mu nie zamarzły. Miejscowe buty sprzed wystawy skakały w trupiej poświacie telewizyjnej, wyrażając radość, bo pewien dziwny pan ukazał się na ekranie 29-calowego odbiornika telewizyjnego i wskazywał strzałką śniegowe gwiazdki, mnóstwo gwiazdek, które pokryły sporą część ekranu, jakieś 18-19 cali. Miejscowe buty tupiały coraz radośniej, a niektóre z nich już ciągnęły po chodnikach wysłużony sprzęt narciarski, zakupiony po atrakcyjnych cenach z wyprzedaży na giełdach u bogatszych sąsiadów. Bo-

gatszym sąsiadom wysłużony sprzęt narciarski szybko się nudził.

Na zakończenie swojego przemówienia pan ze strzałką zadał wszystkim widzom pytanie konkursowe: „co to

chłopców o nietutejszych rysach mogłoby wyżywić się za to przez rok. Ale smutny chłopiec o nietutejszych rysach nie wiedział, co mówi ładnie uczesana pani, która mówiła coś bardzo ostroż-



jest śnieg?”, które tylko wzmogło radość i powszechne podniecenie. Do wyboru były trzy odpowiedzi, można było zadzwonić na koszt własny i wygrać trochę śniegu. Smutny chłopiec o nietutejszych rysach nie mógł zadzwonić, bo nie rozumiał pytania. Ale gdyby jakimś niepojętym zrządzeniem losu (była Wigilia, cuda się zdarzały) wygrał, to i co z tego? Nagrodę i tak musiałby przecież odebrać za okazaniem dowodu osobistego i książeczki wojskowej.

Po wystąpieniu pana ze strzałką 29-calowy odbiornik telewizyjny w niespotykanej dotąd promocji zaprezentował ładnie ubraną i uczesaną panią o miejscowych rysach, która namawiała wszystkich ludzi dobrej, miejscowej woli do pomagania biednym, miejscowym dzieciom. Ładna i uczesana pani wydała na fryzjera tyle, że 100

nie, żeby puder nie poodpadał jej z miejscowych rysów, bo miejscowe rysy bez pudru były widocznie mało pociągające.

Mgła gęstniała i chłód stawał się namacalny, tak że można go było jeść.

- - pomyślał smutny chłopiec o nietutejszych rysach, niestety, w języku, którego nikt z miejscowych nie rozumiał.

Rzęsy zaczęły mu przyomarzać jedna do drugiej. No to spuścił wzrok i począł dłużyć w dziurawym bucie, sprawdzając, czy jeszcze czuje swoje nietutejsze stopy. Ale od kolan w dół niczego nie czuł. Może to i dobrze?

Miejscowi chłopcy o wesołych rysach przechodzili właśnie obok i kopnęli go parę razy dla rozgrzewki, ale ponieważ nie reagował, znużyło im się i pobiegli dalej. Gromadka gnała po ulicy,

pokrzykując wesoło, obrzucając się w ten radosny czas petami niedopalonych papierosów, które bywają podobno przyczyną różnych groźnych chorób i dziur w ortalionowych kurtkach z kapturami. Młodzieńcy przystanęli dopiero obok budki z miejscowym przysmakiem – gotowaną kiełbasą na patyku. Kiełbasę chłopcy dostali darmo, bo oto okazało się, że potrafią przesuwac budkę w miejscu, wraz ze sprzedawcą, wykazując się przez to godnym pozazdroszczenia sprytem, jak i siłą fizyczną.

Smutny chłopiec o nietutejszych rysach chciał westchnąć, bo tak mu było smutno, ale nie zdążył, bo zamarzył na śmierć.

Zimne lusterka oczu po raz ostatni odbiły wystawową szybę miejscowego sukcesu ekonomicznego, telewizor 29-calowy w niewiarygodnej promocji i budkę z kiełbasami na patyku. Ostatnie tchnienie opuściło płuca i jako para wodna skropliło się na brudnej szybie.

Była zima. Anioły zaczęły krążyć nad zwłokami jak muchy.

Drogi czytelniku, jeśli spotkasz kiedykolwiek na swojej drodze trzęsącego się z zimna chłopca o nietutejszych rysach, a będzie akurat czas Wigilii, chwyci mróz i spadnie śnieg tak obfity jak nigdy dotąd, wyślij mu sms-a, niech wie, że o nim pamiętasz.

Koszt sms-a 11 zł z VAT (w promocji).

KRZYSZTOF JAWORSKI
Rys. OLAF CIRUT

Święta na zawsze



Polacy przed Wigilią – jak Włosi, Francuzi czy Anglicy – myślą o zakupach, nie o świętowaniu. A potem – wypoczywają.

Kilkadziesiąt lat temu pierwsze o świętach Bożego Narodzenia zaczęły myśleć angielskie gospodynie. Już pod koniec sierpnia przygotowywały słynny pudding bożonarodzeniowy, który jest najsmaczniejszy, jeśli dojrzewa w spiżarni cztery miesiące. Nie wiele ustępowali im polscy wytwórcy pierników – rozpoczynali pracę w październiku. Boże Narodzenie przestało być tylko świętem religijnym i rodzinnym, a stało się świętem handlu. Przygotowania do niego rozpoczynają się już... kilka lat wcześniej.

Awangarda

Kilku bowiem lat trzeba, aby na plantacjach choinek wyrosły

drzewka. Z dużym wyprzedzeniem myślą także o Wigilii właściele stawów hodowlanych, które muszą zarybić karpem na dwa, trzy lata przed połowami, odbywającymi się zwykle w listopadzie (w grudniu karpie tłoczą się w wielkich kadziach, czekając na swój finał).

Przez cały rok pracują wytwórcie ozdób choinkowych i świątecznych gadżetów, i to nie tylko przygotowując zapasy bombek czy anielskich włosów. Cały czas wre tam praca koncepcyjna, której efektem ma być zwiększenie sprzedaży atrakcyjnych i modnych wzorów. Można więc dzisiaj kupić wiszące jaja Faberge, ogromną świnię w kapeluszu, halloweenową dynię lub Mikołaja-mutanta z ogromną głową i mikroscopijnym tułowiem.

Producenci oferują nawet śnieg w aerozolu w różnych kolorach za jedyne sześć złotych. Dla miłośników horrorów są czarne włosy anielskie, a dla psów piszczące Mikołaje do gryzienia i ciasteczka w kształcie gwiazdki. Przecież trzeba zająć czymś zwierzę w dniu, kiedy będzie mogło przemówić ludzkim głosem. Niech lepiej nie skorzysta z tej okazji...

Wykorzystać Mikołaja

Przed Bożym Narodzeniem wzrasta także sprzedaż wszelkich innych, zbędnych do życia, dóbr. W agencjach reklamowych burze

mózgów na temat „przygotowania psychicznego klientów do wydawania pieniędzy przed świętami” rozpoczynają się wiosną. Zdarza się, że dla stworzenia odpowiedniego nastroju copywriterzy i art-directorzy już w maju otaczają się choinkami, bombkami, noszą charakterystyczne czapki św. Mikołaja i słuchają kołęd, czego owocem są pojawiające się w reklamówkach telefonów komórkowych, sieci sklepów, kawy czy majonezu migające gwiazdy betlejemskie, choinki, renifery.

W wakacje akcja „Gwiazdka” rozpoczyna się również w wydawnictwach, które uważają, że jedyne przewidywalną motywacją zakupu książek jest świąteczno-prezentowy obowiązek. Aby drogie

Już w listopadzie

Robert Gietko z sieci centrów handlowych Steen&Strom:

Grudzień to najlepszy miesiąc handlowy w roku. Ponieważ w listopadzie zaczyna się właściwie zima – pada śnieg, szybko robi się ciemno – wykorzystujemy skojarzenie warunków pogodowych z przyjazną atmosferą świąt. Zawsze wieszamy dekoracje w drugim tygodniu listopada. Mamy stały plan, ale podejrzewam, że konkurencja nas obserwuje. Tydzień po nas dekoracje wywiesiła Galeria Mokotów, choć na zewnątrz wciąż nie było widać zimy.

Małgorzata Łozińska z centrum handlowego Ikea:

Czy Ikea obserwuje konkurencję? Myślę, że to raczej my jesteśmy obserwowani. Rozpoczynamy sprzedaż kolekcji świątecznych jednocześnie na całym świecie. Zaczynamy w drugim tygodniu listopada od „świątecznych porządków”; potem przychodzi kolej na „przygotowania do Wigilii”, „prezenty” i „dekoracje świąteczne”. (Te identyczne stanowiska wydawały się zabawnym zbiegiem okoliczności aż do chwili, gdy ktoś nie zwrócił mi uwagi, że Ikea i Steen & Strom to sieci skandynawskie. Kto jak kto, ale Skandynawowie najlepiej wiedzą, kiedy zaczyna się zima, i nic dziwnego, że inni biorą z nich przykład.)



Jakub Bierzyński z domu mediowego Optimum Media Direction:

Okres wzrostu sprzedaży przed świętami – związany ze wzrostem konsumpcji, prezentami itd. – reklamodawcy chcą wydłużyć, ile tylko się da. I oczywiście chcą być pierwsi. W Miami na Florydzie widziałem pierwszą choinkę już w połowie października. To jest wyścig. Decyzje o momencie rozpoczęcia świąt podejmują producenci i handlowcy, obserwujący rynek.

MAX SUSKI

albumy, ciężkie jak cegły powieści i rozjaśniające umysł poradniki trafiły pod choinkę, muszą pojawić się w sprzedaży już w październiku.

Pod koniec wakacji święta rozpoczynają również agencje turystyczne. – Rezerwacja terminów na wczasy świąteczno-sylwestrowe odbywa się już w sierpniu, czyli zaraz po ukazaniu się nowego katalogu – mówi Krzysztof Piątek z firmy Neckerman. W materiałach reklamowych można znaleźć prawdziwe perełki – ulotkę ze zdjęciem palmy obwieszanej bombkami i lampionami, ogłoszenia typu: „Prawdziwa domowa Wigilia, na którą nie trzeba zapraszać gości, a później zmywać talerzy”.

W tym roku jednak, ze względu na kryzys ekonomiczny i polityczny, chętnych do spędzania świąt w ośrodkach wczasowych w kraju i za granicą jest mniej niż zwykle. Samodzielne przygotowanie dwunastu potraw w domu

wyrastają nagle wielkie choinki, falują anielskie włosy, wrotkarki przywdziewają spiczaste, mikołajowe czapki, a z głośników sączy się okolicznościowa muzyka: dzwoneczki reniferów ciągnących sanie z ogromnym workiem podarunków. Nie słychać refleksyjnych kołód o samotności, odrzuceniu i cierpieniu – przecież do centrów handlowych nie przychodzi się, by medytować nad marnością świata.

Tuż przy wejściu – przemy zabawek, ogromne kosze czekoladek w kształcie Mikołaja i regały z ozdobami choinkowymi. Stoiska z drogim sprzętem AGD i RTV kuszą specjalnymi świątecznymi kredytami – pierwsza rata dopiero w styczniu!

Mikołaj na opakowaniach napojów chłodzących, kawy, kosmetyków, choinki i gwiazdy betlejemskiej, sugeruje, że bez tych produktów święta obejść się nie mogą. Indywidualni sprzedawcy kładą na stroiku ze sztucznych gałązek świerkowych na przykład ząbkowany nóż przypominający białą broń Rambo czy gaz pieprzowy. Może ta broń posłuży do ochrony przed natrętnym Mikołajem, a może będzie przydatna w drugim dniu świąt do odstraszania kołędników?

Na krakowskim Rynku już pod koniec listopada otwarto Targi Bożonarodzeniowe. Potrwać mają aż do 6 stycznia. Zgodnie z polską tradycją świąteczny nastrój obowiązuje właśnie do święta Trzech Króli.

Boże Narodzenie to święto radości. Kolacji wigilijnej towarzyszyła niegdyś refleksja, że istnieją również ludzie samotni, cierpiący i zagubieni – czekało na nich miejsce przy stole.

Ostatnio adwentowe rozważania zastępuje studiowanie kuszących ofert i zapowiedzi promocji w supermarketach. Wzmrożona konsumpcja powoli staje się obywatelskim obowiązkiem, wszak im więcej będziemy kupować, tym szybciej będzie się rozwijać gospodarka, bezrobotni łatwiej znajdą pracę i będą czerpać radość z kupowania towarów reklamowanych przez Mikołaja, renifery lub choinkę. I nastanie powszechna szczęśliwość.

AGATA WASILENKO
Fot. JAN ZYCH

Genetycy potwierdzili autentyczność relikwii św. Łukasza. Może kiedyś dowiemy się też, jak wyglądał i jakim był człowiekiem.

trumny, która do obecnego miejsca pochówku odbyła długą i złożoną podróż.

Według starożytnych źródeł Łukasz urodził się ok. 65 r. po Chrystusie w Antiochii (na terenie Syrii) i dożył bardzo sędziwego na owe czasy wieku 84 lat. Był człowiekiem wykształconym, lekarzem. Zmarł ok. 150 r. w Tebach, w Grecji. Mniej więcej w 140 lat po śmierci jego szczątki przewieziono do stolicy Bizancjum – Konstantynopola. Znacznie później, nie dalej jednak niż w 1177 r., trumna trafiła do Włoch, do Padwy, gdzie spoczywa do dziś w marmurowym sarkofagu w bazylice Santa Giustina. Świętego niepokoiono jeszcze raz w 1562 r., kiedy otwarto trumnę, aby sprawdzić jej zawartość.

Byłoby tak zapewne do dziś, gdyby nie list metropolity Teb, Hieronimusa, do

wszelkie wątpliwości. Niestety, o takiej możliwości nie było co marzyć. Należało sięgnąć po inną metodę.

Barbujani jest ekspertem w dziedzinie genetyki społeczeństw europejskich. Spróbował więc poszukać podobieństw między DNA z trumny w bazylice Santa Giustina a materiałem genetycznym potomków ludzi, którzy zamieszkiwali starożytną Antiochię i Konstantynopol. Gdyby podobieństwa przemawiały za Antiochią, wskazywałoby to, że mamy do czynienia z autentycznymi szczątkami Łukasza. W przeciwnym razie należałoby przyjąć, że zwłoki zostały zamienione.

Ze względu na burze dziejowe, które powodowały migracje potomków dawnych mieszkańców Antiochii i Konstantynopola, Barbujani musiał gdzieś indziej szukać materiału genetycznego do porównań. Antiochię zastąpiło po-

Ewangelista według DNA

biskupa Padwy – Antonio Mattiazzo, przesłany w 1992 r. Tebański hierarcha prosił w nim o udostępnienie fragmentu relikwii świętego w celu umieszczenia w jego pierwotnym grobowcu w Grecji. W rezultacie w 1998 r. zdjęto pieczęcie z ołowianej trumny spoczywającej

no wieko i oczom zgromadzonych ukazał się szkielet.

Lecz czy na pewno były to kości sławnego świętego? Niektórzy historycy powątpiewali. Wysuwali przypuszczenie, że w czasie, gdy trumna znajdowała się w Konstantynopolu, mogła zostać wykorzystana do pochowania kogoś innego. Zbadanie szczątków za pomocą metody radiowęglowej C14 wykazało, że kości należały do kogoś, kto zmarł między 72 a 416 rokiem po Chrystusie. Mógł to więc być równie dobrze człowiek o kilkaset lat starszy od ewangelisty.

Sprawę wziął w swoje ręce włoski genetyk Guido Barbujani. Wraz z zespołem specjalistów z uniwersytetu w Ferrarze wyprzełował z zęba znalezionej w trumnie kod genetyczny. Sprawa byłaby całkiem prosta, gdyby badacze dysponowali DNA osoby spokrewnionej ze świętym. Porównanie próbek materiału genetycznego rozwiązałoby od razu

bliskie Aleppo (dziś syryjska miejscowość Halab), a zamiast ludności Konstantynopola, czyli obecnego Stambułu, włoski badacz wybrał Greków z Attyki i Krety.

Co jeszcze powie DNA

Wyniki przeprowadzonych analiz potwierdziły, że szczątki w padewskiej bazylice prawdopodobnie należą do św. Łukasza. DNA z zęba wyjętego z trumny dokładnie odpowiada wzorcowi syryjskiemu, natomiast nie pasuje do materiału genetycznego Greków.

Guido Barbujani opublikował rezultaty badań w prestiżowym periodyku amerykańskim „Proceedings of the National Academy of Sciences”. Zastrzega się tam, że uzyskany wynik nie rozstrzyga ostatecznie sprawy. Barbujani ma świadomość wad użytej przez siebie metody i nie kryje tego. Lecz większość genetyków populacyjnych zgadza się, że współczesne społeczności mogą w badaniach zastępować ludzi żyjących przed wiekami.

Tradycyjna analiza szkieletu z bazyliki Santa Giustina pozwoliła stwierdzić, że św. Łukasz cierpiał pod koniec życia na osteoporozę, a jego kości uległy deformacjom typowym dla ludzi po 70. roku życia. Być może kiedyś, dzięki bardziej szczegółowym analizom jego DNA, przekonamy się również, jakiego koloru miał oczy i włosy, a nawet jak mógł wyglądać. Studia prowadzone nad genomem w ostatnich latach sugerują też, że może dowiemy się czegoś o cechach charakteru, jakimi był obdarzony święty.

LESŁAW PETERS



Aniołom szkodzi wilgoć

Jakiej są płci?

Raczej są kobietami. Ale nie płeć jest u nich najważniejsza, tylko to, że emanują ciepłem, działają uspokajająco. Z moimi aniołkami jest trochę jak z psem i kotem – wnoszą do domu ciepło. Są czymś w rodzaju domowych skrzatów. W wakacje wymyślałam dziwną parę – trochę złośliwego aniołka i sympatycznego diabełka. Diabełek jest trochę podszyty aniołkiem, a aniołek diabełem.

Z jakiej gliny są ulepione?

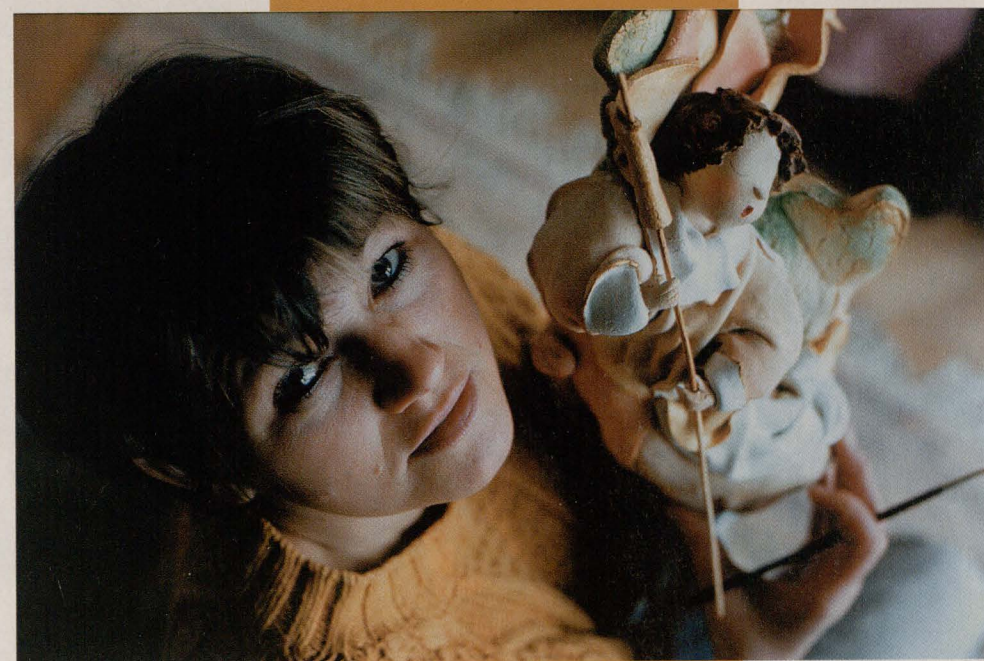
Nie z gliny, ale z solnego ciasta. Anioł ma w sobie pół na pół mąkę i sól. I tyle wody, ile wchłonie. Z kilograma mąki i kilograma soli rodzą się dwa anioły. Ciasto trzeba zagniatć przynajmniej pół godziny – to straszny wysiłek, wysiadają ręce. Lekarz powiedział, że anioły pośrednio wywołują reumatyzm. Ciasto na twardo zagniat Piotruś, a miękkie to i sama robię. Miękkie jest na szaty, a z twardego układa się kształt anioła. Trzeba go uchwycić w różnych pozycjach. Ciasto musi być naprawdę twarde, miękkie po włożeniu do piekarnika odkształciłoby się.

Dlaczego mają głowy osobno?

Są ciasta „pośrednie” do instrumentów, do skrzydeł, do główek. Główki robię osobno, bo muszą być ładne. Nawet jak zrobię całą taczkę i wszystkie wydają mi się ładne, to potem dokładam główkę do anioła. Jeśli mi nie leży jeden, drugi, trzeci raz, to ją odrzucam. Czasem temperatura jest za wysoka albo ciut za niska i główka pęknie, zapadnie się albo nie wypieczę równo. Odpadów jest mnóstwo, a główka jest najważniejsza.

Jak podróżują?

Rzadziej latają, są na to zbyt wrażliwe. Gdy któryś spadnie, to się rozbije. Każdy, jak



jest wypieczony i wymalowany, to ma jeszcze ręcznik, na miarę skrzydeł zrobione pudełko. Na dodatek obkładam anioła papierem. Bo anioł nie może się ruszać w pudełku. Tak przygotowany do transportu ma szansę przewędrować koleją czy samochodem bardzo daleko.

Dokąd zawędrowały?

Daleko – do Australii, Stanów Zjednoczonych, Anglii. Jakiś pan mi powiedział, że zawiózł jednego papieżowi, ale czy to prawda? Jeden poszedł do pani Szymborskiej. Jak dostała Nobla, to jej przyjaciele zamówili anioła z proporcem, na którym były napisane różne słowa: zaczynały się od „Nobel”, „wróbel”, a kończyły na „kibel”. Sprawia mi dużą przyjemność, jak ktoś mi mówi, że widział w domu mojego anioła.

Co im szkodzi?

Jedynie wilgoć. Jak zaczyna być wilgoć w domu, to trzeba anioła ściągnąć albo podsuszyć w piekarniku, żeby odparował. Kiedyś przywędrował do mnie do renowacji aniołek sprzed wielu, wielu lat. Wisiał na wilgotnej ścianie, zamókł trochę i skrzydełko mu się odgięło.

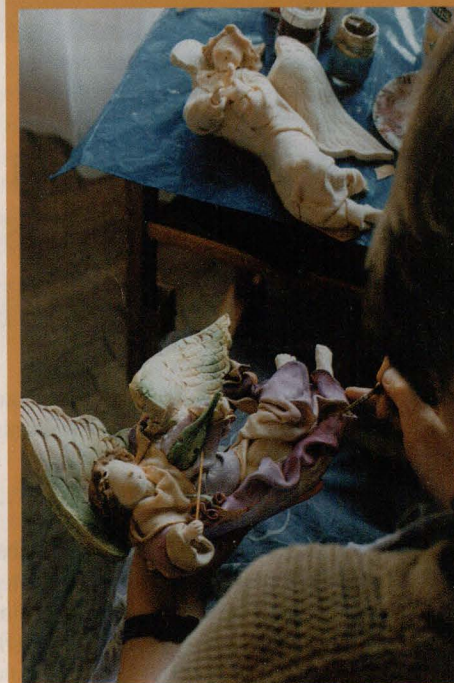
Ile kosztuje?

Nigdy nie przeliczałam jego kosztu, ale w sklepie kosztuje około 80-90 złotych. Płacę od nich podatki, a stawka VAT od jednej sztuki wynosi 3 proc., ale boję się, że podniosą na 22 proc. Dziennie potrafię zrobić dwa, może trzy anioły. Czasem nawet pięć, ale następnego dnia tylko maluję i robię im pudełka.



Wysłuchała i spisała
MARTA SOBOLSKA
Fot. BOGDAN KRĘŻEL

MAŁGORZATA PIWOWARCZYK,
„Mama od Aniołów”,
z kilograma mąki
i kilograma soli
tworzy dwa anioły.



100-lecie Nagrody Nobla

JERZY ILLG



10 grudnia każdego roku oczy całego świata kierują się na Sztokholm, a Szwecja przeżywa swoje wielkie chwile. W dniu tym na tonącej w świetle i kwiatach scenie sztokholmskiej filharmonii wręczone są Nagrody Nobla. Tegoroczne uroczystości miały być szczególnie okazałe, jako że nagrody wręczano po raz setny.

W zgiełku dyskusji i kontrowersji, wśród ciekawostek zza kulis i ulubionych przez dziennikarzy pytań, na co laureaci przeznaczyć zamierzają towarzyszące nagrodzie pieniądze (każdy z nich otrzymał w tym roku równiutkie 10 milionów koron, czyli ponad milion dolarów), z pola widzenia znika nieco postać fun-

datora najsłynniejszej nagrody świata i jej ciekawa historia.

Sławny fundator...

Kim był Alfred Nobel? Dynamit był jednym z licznych jego wynalazków – miał na swoim koncie rekordową liczbę 355 (!) patentów, z zakresu systemów alarmowych,

telekomunikacji, różnych materiałów syntetycznych i lekarstw.

Zainteresowanie materiałami wybuchowymi i skłonność do wynalazków odziedziczył po ojcu, Immanuelu, który po pierw-

szych sukcesach, a następnie serii katastrof i niepowodzeń (Alfred przyszedł na świat w październiku roku 1833, dokładnie

w dniu, kiedy jego ojciec ogłosił kolejne bankructwo) zrobił błyskotliwą karierę i majątek w Rosji. Wykorzystując koniunkturę przed zbliżającą się wojną krymską, opracował wiele urządzeń służących armii, m.in. miny lądowe i morskie, silniki parowe, koła pasowe i piasty, obrabiarki, maszyny i różne narzędzia produkowane w zatrudniającym ponad tysiąc osób przedsiębiorstwie „Huta i Warsztaty Mechaniczne Nobel & Synowie” w Petersburgu.

Alfred zdobył gruntowne wykształcenie dzięki prywatnym nauczycielom. Władał biegle francuskim, niemieckim, rosyjskim i angielskim, w którym

układał nawet poematy. Przede wszystkim jednak interesował się chemią – uczył się jej w laboratoriach profesorów uniwersytetu petersburskiego, a następnie w Paryżu, gdzie studiował także organizację produkcji.

We własnych laboratoriach i fabrykach (które zakładał i po kolejnych eksplozjach zmuszony był likwidować) w Szwecji, Francji, Niemczech, Szkocji i Włoszech prowadził badania nad opanowaniem nitrogliceryny, „wybuchowego oleju”, odkrywając nie tylko dynamit (i detonator), ale także balistyt czy kordyt – materiały, które zrewolucjonizowały przemysł zbrojeniowy i wydobywczy. Stąpając mocno po ziemi, był jednocześnie fantasta – niepokonana inwencja połączona z odwagą pozwoliła mu porywać się na rzeczy uważane za niewykonalne.

...z głową do interesu

Dlaczego na jego wynalazkach mają bogacić się inni? Przecież on sam może je produkować na masową skalę. Ogromne zapotrzebowanie na dynamit, którego używano zarówno w kalifornijskich kopalniach złota, jak i przy budowie linii kolejowych w Indiach, Afryce, Australii, a także w Europie, np. przy drążeniu tunelu św. Gotarda pod Alpami, pozwoliło Noblowi stworzyć „dynamitowe imperium”, składające się z blisko dziewięćdziesięciu fabryk w dwudziestu krajach na pięciu kontynentach.

Przy całej swej przedsiębiorczości, niezliczonych podróży i pracach, wszechstronności zainteresowań i skłonnościach filozoficznych Alfred Nobel był osobowością złożoną i człowiekiem w gruncie rzeczy nieszczyśliwym. Miłość jego życia, zubożała arystokratka austriacka, Bertha von Kinsky, przez jakiś czas będąca jego prywatną sekretarką w Paryżu, pozostawiła go, uciekając na Kaukaz i wychodząc potajemnie za mąż za potomka zamożnej rodziny von Suttnerów. Później, aż 18-letni związek ze znacznie młodszą wiedeńską kwiaciarką, Sophie Hess, która – mimo wysiłków Nobla podniesienia jej na wyższy poziom intelektualny

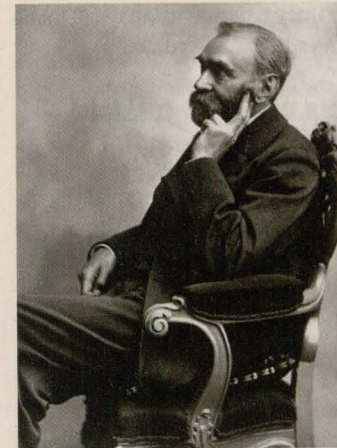
– pozostała próżną gąską lubującą się w biżuterii i wielkoświatowym blichtrze, wtrącił go w głęboki sceptycyzm i zgorzknienie.

Melancholiczny introwertyk, nieufny wobec ludzi, nie założył nigdy rodziny, poczucie osobistej przegranej równoważąc humorem i autoironią. Bezustannie zmieniający miejsca pobytu, został przez kogoś nazwany „najzamożniejszym wagarundą w Europie”. Napisał o sobie, że lepiej byłoby, gdyby „w chwili urodzenia, cherlawy i na wpół żywy, został wraz z pierwszym krzykiem uduszony przez miłosiernego lekarza”.

Pacyfista?

Jego związek z Berthą von Suttner, osobą wrażliwą i inteligentną, która stała się z czasem jedną z pierwszych wybitnych działaczek pacyfistycznych, przekształcił się z biegiem lat w głęboką przyjaźń. Dla obojga największym złem była wojna, jednak starali się jej przeciwdziałać na krańcowo odmienne sposoby. Ona była autorką cieszących się światowym rozgłosem książek domagających się rozbrojenia i organizatorką międzynarodowych kongresów pacyfistycznych. On uważał, że jedynie stworzenie potężnych, prawdziwie przerażających środków zagłady odstraszy ludzkość od wojny. Paradoksalnie – produkował materiały służące zniszczeniu na masową skalę, ale i finansował pacyfistyczną działalność swej przyjaciółki, która w przyszłości została jedną z pierwszych laureatek pokojowej nagrody jego imienia (w 1905).

Przeczuwając rychłą śmierć, sporządził w listopadzie roku 1895 w Paryżu słynny testament. Cały swój majątek przeznaczył na utworzenie funduszu, od którego odsetki wypłacane miały być osobom, których działalność, twórczość bądź odkrycia naukowe przyniosły największą korzyść ludzkości. W chwili śmierci, 10 grudnia 1896 r. w San Remo, fortuna Nobla, ulokowana w ośmiu krajach, wynosiła ponad 33 miliony koron (ponad 9 milionów dolarów), co było na owe czasy kwotą astronomiczną. Nic dziwnego, że wypełnienie woli fundatora zajęło



Alfred Nobel

ładnych kilka lat, tym bardziej że po otwarciu testamentu w styczniu 1897 r. został on oprostowany przez członków dalszej rodziny, pozbawionych majątku. Wzbudził również zastrzeżenia instytucji, które Nobel obarczył odpowiedzialnością za realizację jego idei – nie uprzedzając ich o tym. Spory trwały cztery lata, ale dzięki oddanym egzekutorom w końcu wątpliwości zostały rozstrzygnięte zgodnie z jego wolą.

Kłopotliwy legat

W tym celu powołana została Fundacja Noblowska, na której spoczęła odpowiedzialność zarządzania olbrzymim kapitałem i pomnażania go dzięki odpowiednim lokatom, operacjom giełdowym itp. Przez pierwszych 45 lat istnienia Fundacja Noblowska płaciła podatki i z tego tytułu przekazała państwu przeszło 15 milionów koron. Dopiero od roku 1946 została z tego obowiązku zwolniona. Podobnie wolne od podatku są pieniądze uzyskiwane przez laureatów w ramach nagrody.

Zgodnie z życzeniem fundatora, w dziedzinie fizyki i chemii przyznawać je miała Królewska Akademia Nauk w Sztokholmie, w dziedzinie medycyny i fizjologii – tamtejszy Instytut Karolinska, nagrodę za działalność na rzecz braterstwa narodów, czyli tzw. nagrodę pokojową – parlament norweski (Storting) w Oslo (Norwegia była jeszcze wówczas połączona unią ze Szwecją), wreszcie w – najbardziej nas tutaj interesującej – dziedzinie lite-

FOT. EAST NEWS

ratury nagrodę ustanawiać miała Akademia Szwedzka.

Na wzór Francuskiej

Akademii Szwedzką, wzorowaną na Francuskiej, założył w roku 1786 król Gustaw III. Liczyli (i liczy współcześnie) osiemnastu członków, piastujących swą godność dożywotnio i całkowicie w swoich decyzjach suwerennych. Pierwszych trzynastu akademików mianował sam król, oni zaś dookreślali pozostałych. Dziś sami członkowie wybierają następców zmarłych kolegów spośród pisarzy, poetów, historyków, literaturologów i językoznawców. Publicznie nie mówi się głośno o konfliktach toczących się w Akademii w ciągu ostatnich dekad. Były sekretarz, prof. Lars Gyllensten, opisał historię tych animozji w wydanej w ubiegłym roku książce. W roku 1989, gdy Akademia Szwedzka odmówiła przyłączenia się do sygnowanego przez szwedzki PEN-Club i Związek Pisarzy protestu przeciwko „fatwie” wydanej na Salmana Rushdiego, udziału w dalszych jej pracach odmówiło, poza Gyllenstenem, jeszcze dwóch wybitnych członków: Werner Aspenstrom i Kerstin Ekman, do których dołączył później Knut Ahnlund. Po śmierci Aspenstroma w roku 1997 wybrano nowego członka, ale miejsca pozostałych „dysydentów” są zablokowane – póki żyją, uznawani są za „nieczynnnych” członków. Akademia w związku z tym pracuje w uszczuplonym, 15-osobowym gronie.

Od początku akademicy spotykają się w każdy czwartek. Po obradach tradycyjnie udają się na obiad do pobliskiej restauracji „Den Gyldene Freden” („Złoty Pokój”). Ażby zdyscyplinować akademików, król wprowadził zwyczaj, że w porze rozpoczęcia obrad, punktualnie o 17.30, obecni na posiedzeniu otrzymywali po srebrnym żetonie – którego pozbawieni byli spóźnialscy. Powołując akademię do życia, Gustaw III liczył na hojność jej członków jako jedno ze źródeł jej finansowania, ale rachuby te zawiodły.

Siedziba Akademii Szwedzkiej i Biblioteki Noblowskiej mieści się w budynku sztokholmskiej

giełdy na Starym Mieście. Tutaj w połowie października urzędujący sekretarz akademii obwieszcza światu nazwisko kolejnego laureata, tutaj w grudniu laureat wygłasza wykład noblowski, tutaj laureaci spotykają się z zaproszonymi przez Fundację Noblowską gośćmi i międzynarodową śmietanką kulturalną.

Procedura gwarantująca prestiż

Akademia wylania ze swego grona 5-osobowy Komitet Noblowski, który przeprowadza wszystkie czynności „operacyjne”, przygotowuje listę kandydatów, gromadzi materiały o nich, zamawia stosowne ekspertyzy etc. Prace te trwają właściwie cały rok, gdyż już z końcem roku poprzedzającego wręczenie kolejnej nagrody komitet rozsyła około 1500–2000 listów z prośbą o zgłaszanie kandydatur. Listy adresowane są do osób i instytucji mających prawo nominowania kandydatów, a więc do członków „bliźniaczych” akademii, profesorów wybranych uniwersytetów i college’ów, przewodniczących związków pisarzy i PEN-Clubów, wreszcie do poprzednich laureatów. Swoich kandydatów mogą także zgłaszać sami akademicy.

1 lutego sporządzona zostaje wstępna lista, licząca ok. 150–200 nazwisk. Nie zdarzyło się jeszcze, ażeby nagrodę otrzymał twórca nominowany w danym roku po raz pierwszy. Nie można nadysłać kandydatów własnych, choć zdarzały się nawet takie propozycje, którym towarzyszyły fotooferty.

Biblioteka Noblowska gromadzi dzieła wskazanych kandy-

datów i członkowie akademii zapoznają się z ich dorobkiem, o ile to możliwe w języku oryginału bądź w tłumaczeniach na szwedzki, angielski, francuski i niemiecki. Gromadzone są także wszelkie

materiały pomocnicze, recenzje, monografie, artykuły. W marcu lista kandydatów liczy już zazwyczaj 10–20 nazwisk, pod koniec maja zredukowana zostaje do 5–7. Wakacje to czas intensywnej lektury, w wyniku której na początku października na placu boju pozostaje już dwóch faworytów. Głosowanie jest, oczywiście, tajne (jak wszystkie prace i procedury akademii), wymagana jest kwalifikowana większość, czyli przy wszystkich głosujących co najmniej 12 głosów, a dyskusje i boje toczą się często do ostatniej chwili.

W „polskiej legendzie” towarzyszącej Nagrodzie Nobla mówi się o minimalnej przegranej Marii Dąbrowskiej z Ivo Andrićem w 1961 r. czy Witolda Gombrowicza, któremu w roku 1968 zabrakło ponoć jednego głosu do pokonania Yasunari Kawabaty.

Po wyłonieniu laureata, przeważnie w drugi lub trzeci czwartek października, jego nazwisko podane zostaje do wiadomości publicznej. Punktualnie z wybi-

ciem godziny 13.00 na pięknym rokokowym zegarze, podarowanym Akademii przez króla Gustawa III, jej sekretarz w sali wypełnionej gąszczem kamer, obiektów i mikrofonów obwieszcza werdykt akademików wraz z krótkim uzasadnieniem. Zaczynają się komentarze i dyskusje dziennikarzy i specjalistów, a wydawcy i drukarze rzucają się do pracy, ażeby nie przegapić

okazji i w ciągu kilku dni zaspokoić ciekawość czytającej publiczności.

Sam laureat powiadomiony zostaje niezwłocznie o wyróżnieniu telefonicznie bądź telegraficznie – z czym często wiąże się zabawne anegdoty.

Czesław Miłosz telefon szwedzkiego dziennikarza, który obudził go w nocy, obwieszcza-
jąc „dobrą nowinę”, wziął początkowo za żart. Gdy wyszedł rano po gazety do skrzynki, przed drzwiami zastał skłębiony tłum dziennikarzy. Do Josifa Brodskiego wiadomość o Noblu dotarła, kiedy wraz z przyjacielem Johnem Le Carré jadł lunch w chińskiej restauracji w Londynie. Po wykonaniu telefonu do BBC i upewnieniu się, że to prawda, Brodski gołnął podwójną whisky i – przygotowany na wszystko – stawił czoła przedstawicielom mediów. Z kolei Seamus Heaney, wędrujący w tym czasie po zakamarkach Peloponezu, nie mający kontaktu nawet z rodziną i gorączkowo poszukiwany przez wszystkich, przez dwa dni nie wiedział, że został noblistą.

Wielcy pominięci

Dzieje Nagrody Nobla to historia niekończących się dysput, spekulacji, plotek, zarzutów i nieporozumień. Jednym z ulubionych zajęć dziennikarzy jest konstruowanie noblowskiej kontrlisty, czyli spisu wybitnych pisarzy, którzy nie zostali przez Akademię Szwedzką docenieni. Niektórzy posuwają się nawet do stwierdzenia, że historia literatury oparta na nazwiskach „wielkich pominiętych” byłaby znacznie ciekawsza niż tworzona na podstawie laureatów nagrody. To, oczywiście, przesada, choć „salon odrzuconych” przedstawia się imponująco: Anna Achmatowa, W. H. Auden, Izaak Babel, Bertolt Brecht, Michaił Bułhakow, Truman Capote, Paul Celan, Blaise Cendrars, Paul Claudel, Maryna Cwietajewa, Joseph Conrad, Julio Cortazar, Antoni Czechow, Antoine de Saint-Exupéry, Graham Greene, Bohumil Hrabal, Henryk Ibsen, Henry James, James Joyce, Franz Kafka, Konstandinos Kawafis, Ar-

thur Koestler, Osip Mandelsztam, Alberto Moravia, Vladimir Nabokov, George Orwell, Rainer M. Rilke, Dylan Thomas, Virginia Woolf i wielu innych.

Tajemnicza klauzula

Alfred Nobel zastrzegł w testamencie, że na polu literatury nagradzani mają być twórcy „najwybitniejszego dzieła o tendencji idealnej”. O sformułowanie to od samego początku toczyły się spory (np. o to, czy „idealnej” znaczy to samo, co „idealistycznej”), wszelako akademia, niejako „wysłuchując się” w ducha filozofii życiowej i ideałów wyznawanych przez fundatora nagrody, interpretuje te słowa po swojemu, unikając nagradzania pisarzy, by tak rzec, „dekadenckich”, prezentujących mroczną, skrajnie pesymistyczną czy wręcz nihilistyczną wizję świata. Sądzę, że z tego powodu uznania akademii nie zyskali twórcy tacy jak Louis F. Céline, Émile Cioran, Jean Genet, Eugène Ionesco, Henry Miller, Malcolm Lowry czy August Strindberg – choć trudno przecież kwestionować ich arcydzielność.

Niektórym z „wielkich nieobecnych” zaszkodziły niefortunne uwikłania polityczne: kolaboracja z nazizmem Ezry Pounda, sympatie dla reżimu Pinocheta wyrażane publicznie przez J. L. Borgesa; naszemu Jarosławowi Iwaszkiewiczowi nie wyszło ponoć na zdrowie przyjęcie Nagrody Leninowskiej.

„Polityczna poprawność” to wielki problem Akademii Szwedzkiej; polityka niemal od początku stanowiła kontekst, w który Nagroda Nobla była wpisywana, czasami zaś wmanipulowana. Doświadczyli tego także Polacy: wybór Reymonta kosztował Żeromskiego tłumaczyć się zwykło tym, iż przeciwko temu wpływów użyli Niemcy, nie mogący mu zapomnieć „Wiatru od morza”. Propaganda PRL-u, a zwłaszcza bratnich państw socjalistycznych, usiłowała tłumaczyć Nobla dla Czesława Miłosza poparciem dla ideałów „Solidarności” i opozycji w Polsce, mimo że – jak zmuszeni byli w końcu

nieoficjalnie przyznać członkowie Akademii Szwedzkiej – kandydatura ta od kilku już lat plasowała się w noblowskiej hierarchii bardzo wysoko.

To samo było z Aleksandrem Solżenicynem, Jaroslavem Sefertem, Josifem Brodskim... Tradycyjnie najwięcej kłopotów Nagroda Nobla sprawiała Rosjanom, dla których zawsze była instrumentem „ingerencji w wewnętrzne sprawy” Związku Radzieckiego. Szczytem obrazy była Pokojowa Nagroda Nobla dla Andrieja Sacharowa w roku 1975. Z kolei Borys Pasternak w wyniku zaszczucia i zmasowanej kampanii propagandowej zmuszony został do odmówienia przyjęcia nagro-

co brzmi wypowiedź jednego z członków akademii podczas tegorocznych uroczystości, iż nie wyklucza się w najbliższej przyszłości przyznawania nagród także za – pomijaną dotychczas – literaturę faktu.

Zaciekawienie kulisy przyznawania nagrody podsyca jest dyskrecją, jaka otacza prace akademii – protokoły z jej posiedzeń mogą być odtajnione i udostępnione najwcześniej po 50 latach.

Jubileusz niezbyt udany

Z okazji setnej rocznicy wręczenia Nagrody Nobla spodziewano się wspaniałych jubileuszowych obchodów. Być może oba-

laureatów z lat ubiegłych, ale spotkania z ich udziałem nie odbiły się poważniejszym echem.

Wśród literackich noblistów do Szwecji przybyli m.in. Seamus Heaney, Derek Walcott, Kenzaburo Oe, Guenter Grass, Jose Saramago, Nadine Gordimer, Gao Xingjian. W dniach 4–5 grudnia wzięli oni udział w zorganizowanym w siedzibie Akademii Szwedzkiej Jubileuszowym Sympozjum Noblowskim pt. „Świadectwo literatury”. Pierwszy dzień obrad nie wiadomo dlaczego był niedostępny dla publiczności, która nazajutrz odwdzięczyła się skromną frekwencją, choć wtedy wystąpili Nadine Gordimer, Kenzaburo Oe i Gao Xingjian.



Tegoroczny laureat w dziedzinie literatury, V.S. Naipaul, po odebraniu nagrody z rąk króla szwedzkiego.

dy przyznanej mu w roku 1958. Inna rzecz, że za tę „wpadkę” akademicy zrehabilitowali się wyjątkowo niefortunnie, rekompensując przykrość wyrządzoną władcom Kremla nagrodą dla Michaiła Szołochowa za „Cichy Don”, którego, jak się później okazało, sam nie napisał.

Wyjątkiem był Nobel za piarstwo historyczne i biograficzne dla Winstona Churchilla, którego nagrodzono także za „wspaniałą sztukę oratorską w obronie podniosłych wartości ogólnoludzkich”. Na tym tle intrygują-

wy przed aktami terroru czy atmosfera panująca po 11 września odebrała organizatorom ochotę do szczególnie wystawnych uroczystości, w każdym razie wydarzeń tym zabrakło rozmachu, rozgłosu w mediach, atmosfery czegoś prawdziwie odświętnego.

Zorganizowano wprawdzie jubileuszowe wystawy i sympozja, koncerty i bankiety, pocztą szwedzka i amerykańska wydały serie okolicznościowych znaczków (autorstwa naszego słynnego rodaka, Czesława Słani), do Sztokholmu i Oslo zaproszono

Tegoroczny laureat Literackiej Nagrody Nobla, V. S. Naipaul, wzbudził wprawdzie sympatię, ale swoim wykładem noblowskim nie ołśnił zgromadzonych.

Pozostałe ceremonie „tygodnia noblowskiego”, z uroczystością wręczania nagród i bankietem dla 1400 „celebrities” w sztokholmskim ratuszu, odbyły się zgodnie z nieodmiennym, corocznym rytuałem, jednak jak na tak wspaniałą i okrągłą rocznicę całość wypadła stosunkowo skromnie.

JERZY ILLG



Nagrody Nobla to dziś trzy P: prestiż, popularność i pieniądze. Ale także czwarte P: pomyłki.

Gdyby szwedzki chemik nie wymyślił i nie ufundował tej nagrody, zrobiłby to ktoś inny. Jakiś nieco ekscentryczny biznesmen pokroju Howarda Hughesa, Akio Mority czy Billa Gatesa. Po jej odbiór jeżdżono by wówczas nie do Sztokholmu, ale do Nowego Jorku lub Tokio. Inaczej przedstawiałby się też zestaw dyscyplin honorowanych nagrodami. Obok fizyki i chemii zapewne znalazłoby się miejsce dla królowej nauk – matematyki.

Szkoda, że nie grał na skrzypcach

Dlaczego Nobel nie wziął pod uwagę matematyki? Według anegdoty sławny wynalazca zemścił się za to, że jego ukochana wolała matematyka. Wypytowane przez niego dziedziny odzwierciedlają krąg jego osobistych zainteresowań. Z chemią i fizyką miał do czynienia w swej pracy na co dzień. Dobrze znał się na medycynie, którą przecież poznał podczas wielokierunkowych studiów. W młodości pisał wiersze i przez całe życie dobrze się orientował w literaturze. A sprawa utrzymania pokoju była jego pasją.

Gdyby grał na skrzypcach lub fortepianie, zapewne ustanowiłby nagrodę w zakresie muzyki. Gdyby interesował się badaniami przeszłości i wykopaliskami, być może wyróżniłby historyków i archeologów.

Nie ustanowił jednak nagrody w dziedzinie ekonomii, na której dobrze się znał, czego dowodem



Wystawa portretów laureatów Nagrody Nobla, która uświetnia stulecie jej przyznawania. Otwarcie wystawy dla publiczności – 1 kwietnia 2002 w Sztokholmie.

zgromadzony majątek. Tę lukę wypełnił w bliższych nam czasach Bank Szwecji, ustanawiając w 1968 r. nagrodę im. Alfreda Nobla. Zaczęto ją przyznawać od następnego roku.

Czwarte P

Nagrody Nobla to dziś trzy P: prestiż, popularność i pieniądze. Laureat trafia na listę pełną znakomitych nazwisk, staje się gwiazdą mediów, uzyskuje dostęp do nowych środków na badania. Nagle łatwe staje się załatwienie czegoś, czego przez lata nie można było osiągnąć. „Dzięki nagrodzie przyznano mi wreszcie miejsce na parkingu” – wyznał jeden z amerykańskich badaczy. Im mniejszy kraj, z którego wywodzi się laureat, tym głośniejsze echo przyznanego wyróżnienia. Po uhonorowaniu w 1979 r. Pakistańczyka Abdusa Salama nagrodą w dziedzinie fizyki rząd pakistański sypnął funduszami na badania jak nigdy dotąd, a szczęśliwego laureata potraktowano w kraju jak półboga.

Ale Nagrody Nobla to także czwarte P – pomyłki. Najgłośniejsze wpadki dotyczyły nagrody pokojowej. W 1973 r. podzielili ją Henry Kissinger i Le Duc Tho, partnerzy w rozmowach w sprawie zakończenia wojny amerykańsko-wietnamskiej. Sami wyróżnieni wiadomość o uhonorowaniu przyjęli z zażenowaniem, choć każdy z innego powodu. Żaden nie pojawił się w Oslo na ceremonii wręczenia nagrody; Wietnamczyk odmówił jej przyjęcia, a Kissinger wysłał na uroczystość amerykańskiego ambasadora.

Z dość powszechną krytyką na świecie spotkało się pięć lat później podzielenie nagrody między architektów porozumienia izraelsko-egipskiego Menachema Begina i Anwara Sadata. Podobnie było w roku 1994, gdy pokojowego Nobla wręczono Jaserowi Arafatowi, Szymonowi Peresowi i Icchakowi Rabinowi. O pochoptości tej ostatniej decyzji przekonujemy się niemal codziennie, słuchając doniesień o narastaniu konfliktu izraelsko-palestyńskiego.

Honory dla emerytów

Pomyłki związane z przyznawaniem nagród naukowych nigdy nie stały się tak głośne. Zapewne dlatego, że komentarze na ich temat na ogół nie wychodziły poza mury laboratoriów i sal wykładowych. Zresztą akademicy starają się być ostrożni w podejmowanych decyzjach. Nie wpadli w pułapkę szybkiego wyróżnienia bardzo głośnego w 1989 r. odkrycia zimnej syntezy jądrowej, które do dziś nie znalazło potwierdzenia. Wolą nagradzać osiągnięcia nawet sprzed 20, 30 i więcej lat, które od dawna zdobyły powszechne uznanie w nauce, a niekiedy nawet zostały już nieco zapomniane.

Skutek jest taki, że laureatami są przeważnie osoby starsze, często w wieku emerytalnym lub bliskie emerytury, zajmujące się zupełnie czymś innym niż to, za co wręcza się im nagrody. Radziecki fizyk Piotr Kapica żartował odbierając w 1978 r. nagrodę za badania niskich temperatur, że od 30 lat bada plazmę w bardzo wysokich temperaturach.

Długie wyczekiwanie nie chroni jednak całkowicie przed błędami. Zdarzają się one szczególnie przy wyborze do noblowskich laurów konkretnych osób. Już na samym początku istnienia nagrody „zgubiono” Dymitra Mendelejewa, twórcę układu okresowego pierwiastków, na którym wspiera się cała współczesna chemia. Nie zyskał uznania niemiecki fizyk Arnold Sommerfeld, który w istotny sposób uzupełnił wiedzę o budowie atomu i poprawnie wyjaśnił zjawisko przepływu prądu w metalach. Na skutek splotu różnych okoliczności Nobel mógł ominąć nawet samego Alberta Einsteina. Wielki fizyk dostał nagrodę dopiero w 1922 r. (za rok 1921), i to nie za swoje najsłynniejsze osiągnięcie – teorię względności, ale za odkrycie zjawiska fotoelektrycznego.

Była tylko doktorantką

Zdarzało się też akademikom pomijać osoby, które uczestniczyły w nagrodzonych badaniach, ale ich rola nie spotkała się z należy-

tym uznaniem. W roku 1945 nagrodę w dziedzinie chemii (za rok poprzedni) przyznano Niemcowi Otto Hahnowi, który odkrył rozszczepienie jądra atomowego. Swoje prace Hahn prowadził wspólnie z Austriaczką Lise Meitner, która po dojściu Hitlera do władzy musiała emigrować z Niemiec ze względu na swe żydowskie pochodzenie. Epizod ten sprawił, że nie uwzględniono później jej wkładu w odkrycie, gdy Komitet Noblowski podejmował decyzje.

Jako jeden z bardziej jaskrawych przykładów niesprawiedliwości wymienia się panią Rosalin Franklin. Blisko współpracowała z Jamesem Watsonem i Francisem Crickiem, których w 1962 r. uhonorowano nagrodą za odkrycie struktury kodu genetycznego DNA, lecz jej wkład w owe badania nie został dostrzeżony. Podobnie nie uwzględniono roli Brytyjki Jocelyn Bell, która pierwsza zwróciła uwagę Anthony’emu Hewishowi na regularne sygnały radiowe odebrane z kosmosu, co doprowadziło do odkrycia gwiazd nowego typu – pulsarów. Za ten sukces nagrodę w dziedzinie fizyki otrzymał w 1974 r. sam Hewish. A Jocelyn Bell? W momencie dokonania odkrycia była tylko doktorantką Hewisha, więc nikt nie brał poważnie pod uwagę jej kandydatury.

Trudniej wytłumaczyć przypadek znanego brytyjskiego badacza, zmarłego w sierpniu tego roku, Freda Hoyle’a. Wspólnie z Williamem Fowlerem wyjaśnił on procesy, dzięki którym dochodzi w gwiazdach do powstawania ciężkich pierwiastków. Toteż wielkim zaskoczeniem było w 1983 r. przyznanie nagrody z fizyki za to odkrycie tylko Fowlerowi. Być może zaważył fakt, że Hoyle oprócz pracy stricte naukowej intensywnie zajmował się popularyzacją wiedzy, pisał powieści fantastycznonaukowe, stał się w Wielkiej Brytanii naukowym „gwiazdorem”. Podobno szwedzcy akademicy nie przepadają za uczonymi, którzy przed otrzymaniem nagrody zdobywają popularność w mediach. Jeśli to prawda, małe szanse na Nobla ma inny gło-

śny w świecie fizyki, rodak Hoyle’a – Stephen Hawking.

Cena Nobla

Chyba żaden szanujący się badacz europejski nie powie, że jego celem jest Nagroda Nobla. Narażby się w ten sposób na śmieszność. Jednak w skrytości ducha wielu uczonych marzy o zdobyciu tego trofeum, jakby chodziło o złoty medal olimpijski lub tytuł miss świata. Dla niektórych jest to prawdziwa obsesja.

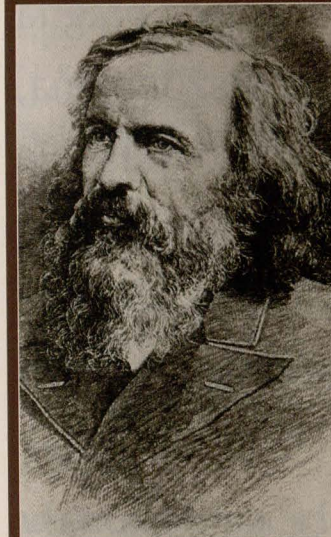
W USA, gdzie panują inne obyczaje, chemik Donald Cram nie ukrywał, że otrzymanie nagrody było jego celem życiowym. Stało się to po tym, jak noblowskie splendory spłynęły na jego kolegę po fachu, który – w mniemaniu Crama – miał osiągnięcia nie większe od jego własnych. I udało się. Cram pojechał do Sztokholmu w 1987 r.

Nie wszystkim jednak otrzymanie nagrody wychodzi jednako na zdrowie. Przeprowadzone w roku 1977 badania wykazały, że po uzyskaniu Nobla u większości laureatów efekty pracy naukowej – mierzone liczbą publikacji – wyraźnie maleją. Nobliści, nagabywani o niezliczone wywiady, zapraszani do udziału w różnych gremiach i inicjatywach społecznych, nie mają czasu na równie intensywne uprawianie nauki co poprzednio.

Sławny amerykański chemik Linus Pauling (notabene rówieśnik Nagrody Nobla), który w 1954 r. został wyróżniony za badania nad strukturą cząsteczek i teorią wiązań chemicznych, zaangażował swój autorytet w kampanię protestów przeciw rozprzestrzenianiu broni jądrowej. W efekcie przyniosło mu to w 1962 r. następnego Nobla, tym razem pokojowego.

Jego rodak William Shockley, którego uhonorowano w 1956 r. za wynalezienie tranzystora, zaczął głośnić intelektualną wyższość rasy białej nad czarną, czego rzekomych dowodów miała dostarczać genetyka. Popularność noblisty sprawiła, że jego bzdurne poglądy trafiły na czołówki gazet, przynosząc mu z czasem jedynie niesławę.

MACIEJ CHMIELEWSKI



Dymitr Mendelejew



Linus Pauling



Fred Hoyle

FOT. EAST NEWS

FOT. EAST NEWS

FOT. FILIPPO MONTEFOTTE/EPAPORUM

Polacy pragną
m.in. akszonmena,
mebli o układzie
grzebieniowym,
latać, spotkać
Mikołaja i De Niro
oraz
by konfesjonały
zostały dobrze
obsłużone.



Wszystkiego!

Kuba Kornaś, 6 lat, uczeń:

Pod choinkę chcę tylko akszonmena w klatce z rekinem, bo na Mikołaja dostałem z łyżwami i rodzice dużo zapłacili – dwieście czy sto ileś. Widziałem go w reklamie, miał przebierane buty i stroje, no i strzelał do rekina w krzyżyk. Bo ja zbieram akszonmeny. Na razie mam dwa – z aparatem i łyżwami.

Ania Wolak, 7 lat, uczennica:

Misia chłopczyka, bo dziewczynkę już mam. Mam jeszcze takiego małego. Razem mogliby

stworzyć rodzinę. Bardzo bym też chciała komputer, taki dla dzieci. Ale mamusia powiedziała, że Mikołaj nie przyniesie, bo mamy już jeden, prawdziwy. A oni nie pozwalają mi na nim grać. Wolałabym mieć swój komputer.

Ania Szymczak, 11 lat, uczennica:

Chciałabym latać, bo to chyba jest przyjemne. Zobaczyć, jak świat wygląda z góry. Tak po prostu wzbić się w powietrze, machając rękami. Bez skrzydeł, bo sprawiałoby kłopot na ziemi. Raz mia-

łam sen, że latałam na miotle. Jeszcze, żeby Mikołaj przyniósł takie urządzenie, które mówiłoby mi, kto dobrze o mnie myśli, a kto źle. Mogłabym się zmienić na lepsze.

Natalia Orkisz, 12 lat, uczennica:

Najważniejsza jest dla mnie rodzina, bo stanowi trzy czwarte mnie (jest nas czterech). Jeśli coś się w niej zmieni, to i we mnie też się zmieni. Rodzice wzięli duży kredyt, żeby kupić dom. Tata teraz pracuje na trzech etatach, żeby go spłacić. Chciałabym więc znaleźć pod choinką tyle pie-

niędzy, żeby pokryły kredyt i bym mogła częściej widywać tatę.

Mam wszystko, czego mi potrzeba, ale chciałabym jeszcze spotkać Indianina. Zapytałabym, co jest najważniejsze w duchowych sprawach. Opowiedziałby mi o historii swojej, dziada i pradziada. Wiem, że są książki na ten temat, ale to nie to samo, co spotkanie z żywym człowiekiem.

Wojtek Szczygiał, 12 lat, uczeń:

Chciałabym spotkać świętego Mikołaja. Tylko raz, żebym wie-

dział, że to nie rodzice podkładają prezenty. Zapytałbym go, jak pracuje, co musi robić. Pewnie bym się na początku bał, ale jakbyśmy już zaczęli rozmawiać, to pewnie by mi przeszło. Poprosiłbym, żeby mnie wziął na przejażdżkę nad miastem.

Boguś Kudłęk, 23 lata, student szkoły aktorskiej:

W tym roku kończę studia. Chciałabym się utwierdzić, że dobrze wybrałem kierunek studiów. Chciałabym być sławny, tzn. żebym umiał z nazwiska zrobić „firmę”.

Bardzo bym się ucieszył, gdybym pod choinką znalazł klucze do własnego mieszkania. Mieszkam z rodzicami i jest mi z nimi dobrze, ale chciałabym dojrzeć, samemu radzić sobie z problemami i nabrać pewności siebie. Boję się, że jak dostanę angaż w innym mieście, to nagle wyleje się na mnie kubel zimnej wody, nie będę na to przygotowany, bez opieki i bezpieczeństwa rodziców. Nabrałabym też pewnych doświadczeń, które aktorowi są potrzebne, by budować postać.

Chciałabym też spotkać Roberta De Niro. Żeby powiedział coś, po czym bardziej bym wierzył w siebie.

Sławek Fiedkiewicz, 25 lat, pracownik kina:

Nie mam telewizora, a przydałby mi się. Może mi Mikołaj przyniesie? Ale mam warunki, które

musi spełnić. Jeżeli św. Mikołaj ma moc, niech sprawi, by telewizja prywatna i publiczna przestały traktować mnie jak skończonego kretyna, a zaczęły szanować. Żeby m.in. nie emitowały najciekawszych programów i filmów dla nietoperzy – późno w nocy. Jeśli warunku tego Mikołaj nie będzie w stanie spełnić, to nadal nie chcę mieć w domu telewizora.

Chciałabym być już ojcem, ale z tym chyba nie powinienem zgłaszać się do faceta od reniferów. Nie chciałabym, żeby miał w tym jakiś udział. Przestałby być święty.

Elżbieta Gaca, 31 lat, prawniczka:

Chciałabym to, co każdy – pięknego mercedesa i futro z norek. I jeszcze, żeby Hera, mój bernardyn, przestała wykopywać kwiatka z doniczki. Zakupuje tam różne przedmioty i kawałki mięsa. Strasznie brudzi dywan.

Lepiej też bym się czuła, gdyby biedne dzieci miały skromne, ale ciepłe święta.

Grzegorz Stróż, 33 lata, urzędnik samorządowy:

Moim wielkim pragnieniem jest dokończenie kolekcji gadżetów (odznak, mundurów, dokumentów) policji II RP, którą zajmuję się od 10 lat. Cieszyłabym się z każdego takiego prezentu pod choinką. Jednak najpierw sprawdziłabym, czy jest prawdziwy, bo strasznie trudno jest cokolwiek takiego znaleźć. Szczególnie marzy

mi się pierwszy wzór legitymacji policyjnej oraz odznaka służby śledczej z 1919–21 r. Chciałabym również mieć możliwość porozmawiania z policjantem z tamtego okresu, choć wiem, że jest to właściwie niemożliwe. Jeżeli tacy ludzie żyją, to mają co najmniej 90 lat. Mam też nadzieję, że jak mi się nie uda dokończyć kolekcji, to mój syn to zrobi.

Marian Kądelewski, 43 lata, zaopatrzeniowiec budowlany:

Moje marzenia się już spełniły – mam rodzinę. Zburzyłem tym marzenia moich rodziców, którzy chcieli, żebym został księdzem. Moim największym pragnieniem na te święta, to dostać spokojną i uczciwą pracę. Mogłabym nawet pracować 12–14 godzin i znosić zrzędenie żony, że tak mało przebywam w domu. Chciałabym jeszcze dostać się na studia, pomimo wieku. Mikołaj mógłby mi dać trochę odwagi, żeby to zrobić.

Marta Gruszecka, 48 lat, właścicielka biura sprzedaży nieruchomości:

Nie chciałabym znaleźć pod choinką sznuru pereł. Wolę prezent osobisty, skromny, ale tylko dla mnie, który byłby dowodem pamięci. Specjalnie nie użyłam zwrotu dowód wdzięczności, bo to się od razu kojarzy z kopertą. Chodzi mi o formę podziękowania. Że ktoś o mnie pamiętał, że mu pomogłam znaleźć mieszkanie.

W poprzednie święta jeden z klientów, wydawca tomików poezji (sam zresztą piszący), znalazł mieszkanie przez moje biuro. Bardzo mu się podobało i na święta przysłał mi kartkę z wierszem specjalnie napisanym dla mnie. Nie podpisał się, ale ja wiedziałam, że to od niego. Niewiele jest tak życzliwych ludzi. Dzięki takim gestom wiem, że to, co robię, jest potrzebne. A to ważne i o tym marzę.

Adam Baran, 65 lat, stolarz:

Panie, o czym ja mogę marzyć w takim wieku, proszę pana? Dla siebie już nic nie chcę. Pracy mam dość. Kiedyś, proszę pana, marzyłem, żeby wyjechać za gra-

nicę. Trzeba było wówczas tak zrobić. Teraz rzemieślnik, panie, nie ma u nas życia. Liczy się fuszarka, szybko, byle jak. Dwa komfirmaty w szafce, panie, a potem klient się dziwi, że się rozchodzi.

Prezenterem pod choinką, proszę pana, byłaby poprawa sytuacji naszego kraju. Żeby młodzi mieli lepiej. Żeby uczniowie, których szkołę, znajdowali pracę, a nie, proszę pana, od razu szli na bezrobotne. Wie pan, chciałabym, żeby było chociaż tak, jak jest. Nie gorzej.

Ks. dr Cyprian Wichrowicz, 69 lat, kapłan:

Żeby noga przestała boleć i by konfesjonały na święta zostały dobrze obsłużone, bo więcej ludzi będzie się spowiadać niż zwykle.

Ale to nie są marzenia. To naturalne, nic szczególnego. Wszystko, o czym marzyłem, spełniło się. Zostałem kapłanem i doktoryzowałem się. Myślałem jeszcze o habilitacji, ale stwierdziłem, że nie jest mi potrzebna. Teraz już nie mam o czym marzyć. Chcę tylko w zdrowiu i spokoju przeżyć te ostatnie chwile.

Helena Druć, 70 lat, właścicielka antykwariatu:

Przydałyby mi się nowe meble do antykwariatu. Taki układ grzebieniowy, żeby więcej książek weszło. Z prawdziwego drewna, nie takie jak mam – ze sztucznego materiału. Żeby ładnie pachniało świeżym drewnem. Byłby porządek, bo teraz nie ma miejsca. Książki leżą jedna na drugiej, na stole i podłodze stoją „kominy”.

Przed świętami ludzie tylko przynoszą książki, bo potrzebują pieniędzy. Nie mają za co przyrzucić stołu wigilijnego. A ja chciałabym, żeby nie musieli przychodzić. Wówczas nie sprzedawaliby książek, tylko je kupowali. I ja miałabym za co stół przyrzucić.

Marzenie to ładne słowo. Ładniejsze niż życzenie czy pragnienie. Kiedyś chciałam takie ładne słowa spisywać.

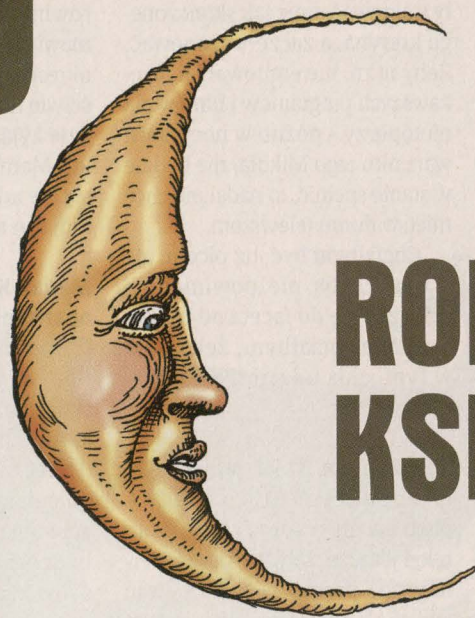
**Zebrał TOMASZ WOLSKI
RYSUNKI SŁAWEK CHRISTOF**



MAJA VERNO

ZNOWU

Wpływ najbliższego Ziemi satelity będzie w 2002 roku ważny dla ludzi urodzonych w znaku Raka, I dekadzie Wagi, II dekadzie Byka i Strzelca.



ROK KSIĘŻYCA

Wierzono, że to ciało niebieskie jest schronieniem dusz ludzi, wobec których niebiańska sprawiedliwość nie wydała jeszcze ostatecznego wyroku. Według XVIII-wiecznego mistyka i filozofa, Emanuela Svedenborga, Księżyc był miejscem, gdzie spełniały się wszystkie zamiary, uczucia i usiłowania nie zrealizowane na Ziemi. XIX-wieczni autorzy powieści fantastycznych opisywali go jako krainę, gdzie żyją idealne społeczeństwa bądź też istoty podobne do mieszkańców Ziemi, ale otoczone nie znanymi nam zdobyczami techniki, albo odwrotnie – zostające na etapie monarchii feudalnych.

W astrologii Księżyc symbolizuje zmienność, intuicję, wyobraźnię, poetycką węgę, rodzicielstwo i życie rodzinne. Ale także ojczyznę, naród, dziedzictwo genetyczne i material-

ne. Ludzie mający w swych horoskopach Księżyc dobrze postawiony wobec innych planet są zdrowi psychicznie i fizycznie, prawidłowo rozwinięci emocjonalnie, sprawdzają się też w partnerstwie i rodzicielstwie.

Złe powiązania Księżycza z innymi planetami czynią ludzi słabymi witalnie, niepewnymi siebie, skłonniymi do zabobonów i przywidel, uzależnionymi od niedobrych emocjonalnych związków.

Najsilniej dobry lub zły wpływ Księżycza zaznacza się ponoć w charakterach ludzi urodzonych w znaku Raka, a także w I dekadzie Wagi – 23 IX–2 X, w II dekadzie Byka – 2–11 maja, i II dekadzie Strzelca – 2–11 grudnia.

Lata Księżycza przynoszą pogodę zwykle dość ciepłą z dużą ilością opadów – bez

względem na klimatyczną strefę, częste wiatry, a nawet huragany i powodzie. Roślinność rozkwita bujnie. Tradycja astrologiczna głosiła też, że w roku Księżycza jest większy niż przeciętnie przyrost naturalny – tak wśród ludzi, jak i zwierząt. Ludzie chętniej przebywają w domu, mają więcej cierpliwości do dzieci, jak również serca dla bydła i „kanapowców”. Troszczą się, by ich siedziby były wygodne, dobrze ogrzane zimą, chłodzone latem. Księżycowy rok stwarza dobrą koniunkturę dla przedsiębiorstw budowlanych i świadczących usługi na rzecz domu. Można liczyć na powodzenie w profesjach sprzedawcy czy wytwórcy artykułów spożywczych, dietytyka, restauratora, hotelarza. Pedagodzy, pediatri i logopedzi mogą mieć satysfakcję z pracy.

To czas wyjątkowo dobry, by kobiety debiutowały czy osiągały szczyty kariery także w polityce lub służbie państwowej.

Moc talizmanu będą mieć kamienie księżycowe, perły, prawdziwe korale, szmaragdy, a także wszelkie ozdoby ze srebra i masy perłowej. Ważne dni to poniedziałki. Wybierając daty na istotne przedsięwzięcia, uwzględniamy te, w których występuje cyfra 2. Dobrze jest otaczać się w tym roku bielą, jasnym błękitem, kolorem fiołkowym, a także odcieniami seledynu i kości słoniowej. Szczęśliwe zapachy winny mieć nutę irysów, fiołków, lilii i lotosu. Szczęście przynosić będą maskotki – figurki kota, zająca, łabędzia, a także zwierząt wodnych: żab, krabów, żółwi.

Dieta roku księżycowego powinna zawierać dużo zielonych warzyw – sałaty, rzeżuchy, ogórków, endywii, kapusty, jak również rozmaitych grzybów. Również wszelkie dania spożywane na zimno, a z deserów: sorbety i lody.

rozpocząć działalność społeczną bądź filantropijną.

Bardzo dobry rok, szczególnie od 1 sierpnia, dla młodych ludzi, a także dla tych, którzy mają za sobą istotne zmiany: rozstali się z partnerem (albo też niedawno związali), zmienili pracę lub miejsce zamieszkania. Łatwiej można teraz wejść w nowe środowisko, zaprezentować siebie i swe umiejętności przełożonym, poradzić sobie z nowymi obowiązkami. Druga połowa roku przyniesie też poprawę materialną – zależną od wcześniejszego statusu, ale odczuwalną.

Dobry czas: 29 marca – 15 kwietnia, 1 – 21 sierpnia. Trudniejszy: 27 czerwca – 13 lipca, 23 września – 10 października.



BYK: 21 KWIETNIA – 22 MAJA

Dla większości ludzi tego znaku będzie to rok o wiele łatwiejszy, bardziej owocny i pełen dobrych wydarzeń niż minione trzy lata. Najlepiej będzie się wiodło urodzonym między 5 a 15 maja. Ci, szczególnie jeśli w przeszłości zaznali klęsk ambicjonalnych, niepowodzeń, mogą teraz uzyskać to, co utracili, albo osiągnąć w zamian coś, co ich usatysfakcjonuje.

Powodzenie, jeśli wejdziecie teraz w nowe związki emocjonalne albo rodzinne. Z łatwością zaakceptujecie nowy styl życia młodzi rodzice, dziadkowie, a także teściowie.

Do 1 sierpnia każdy tydzień będzie Was przybliżał do wyznaczonego celu. W ostatnich miesiącach roku bądźcie rozważni, szczególnie w podejmowaniu rozmaitych obowiązków i snuciu mało skonkretyzowanych planów. Dysharmonijne układy Jowisza i Neptuna z Waszym Słońcem skłaniają do przeceniania możliwości i swej roli w życiu innych ludzi. Szczególnie Byki urodzone w kwietniu powinny się mieć na baczności.

Dobry czas: 28 kwietnia – 16 maja, 24 czerwca – 18 lipca. Trudniejszy: 3 – 20 sierpnia, 27 października – 14 listopada.



BLIŹNIĘTA: 23 MAJA – 21 CZERWCA

Rok przełomu. Ludzie tego znaku, wspominając ten czas, będą twierdzić, że coś istotnego skończyło się, a rozpoczął nowy etap życia. Doznają tego nawet osoby ledwie wyrosłe z dzieciństwa, chociaż stanie się to bardziej za sprawą ludzi ważnych w ich życiu – rodziców, pedagogów, partnerów niż ich samych.

Urodzeni pomiędzy 15 a 21 czerwca przeżyją miesiące życiowej pełni, związanej z najistotniejszą dla nich dziedziną. Dla jednych będzie to rozkwit zawodowy, dla innych sukcesy osobiste czy radosne wydarzenia w rodzinie. Słowem – „każdemu jego raj”.

Poważne – ale do przezwyciężenia – problemy mogą być udziałem Bliźniąt urodzonych pomiędzy 26 maja a 3 czerwca. Nie tracicie odwagi ani ducha, czynicie wszystko, by zmienić tę sytuację, a zwyciężycie. Dla wszystkich – dobre szanse związane z pracą i nauką. Kończący szkołę bądź studia, rozpoczynający albo zmieniający rodzaj pracy będą zadowoleni z wyników swych starań.

Dobry czas: 26 stycznia – 12 lutego, 30 maja – 20 czerwca. Trudniejszy: 27 lutego – 17 marca, 6 – 22 września.



RAK: 22 CZERWCA – 22 LIPCA

Najlepszy rok – z minionych 12 lat. Do 1 sierpnia wszystko może się udać – życie będzie szczęśliwe, ludzie mili, a los łaskawy. Jeżeli czegoś brakowało Wam dotąd dotkliwie – przyjaznej duszy, przysłowiowej „drugiej połowy”, potomka, dobrej pracy czy finansowego bezpie-

Twoje szanse w roku 2002



BARAN: 21 MARCA – 20 KWIETNIA

Wpływy planetarne zdecydowanie Wam sprzyjają. Uran doda życiowego rozmachu i odwagi, Pluton przebojowości i siły, a Neptun, mający teraz silny wpływ na życie ludzi urodzonych pomiędzy 26 III a 3 IV, zachęci do spraw dotąd Wam obcych. Można zainteresować się jakąś formą twórczego wyrażania siebie – pisanem, plastyką, muzyką. Można uprawiać jogę, tai-chi albo medytację lub



czeństwa, istnieją szanse, że podczas tych miesięcy sytuacja może ulec zmianie. Podczas dobrych powiślań Jowisza ze Słońcem w tym znaku zwykle wchodzimy w dobre związki, a wszelkie nasze decyzje są właściwe i trwałe. Pomagajcie zatem losowi, a osiągniecie cel.

Od sierpnia do grudnia – dobre zdrowie i atrakcyjny wygląd, bez względu na wiek. Raki – artyści lub zajmujące się kulturą, mogą odnieść wtedy sukcesy – na swoją miarę.

Dobry czas: 25 lutego – 20 marca, 23 czerwca – 17 lipca. Trudniejszy: 25 września – 19 października, 15 – 30 grudnia.

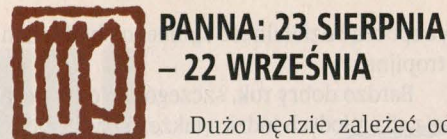


LEW: 23 LIPCA – 22 SIERPNIA

Oddech po minionych, raczej burzliwych latach. Pierwsza połowa roku przyniesie więcej spokoju i harmonijnych kontaktów z otoczeniem zawodowym i rodzinnym. Może się to stać za sprawą dobrego wpływu przyjaciół, którzy podsuną Wam właściwy sposób postępowania, lub dzięki światłym radom specjalistów – psychologów, lekarzy, prawników. Młodzi spod tego znaku wyzwolą się w pierwszych miesiącach z jakichś trudnych zależności – niedobrych związków emocjonalnych, niewłaściwych przyjaźni. Może – zmieniając szkołę czy kierunek studiów – uwolnią się od konieczności zgłębiania wiedzy, która ich nie interesuje.

Od sierpnia do grudnia dobra passa. Wcześniejsze przedsięwzięcia zakończą się wtedy powodzeniem. Dobry czas na legalizację związków, rozszerzenie kontaktów zawodowych, a także dalekie podróże, które najbardziej pociągają będą urodzonych pomiędzy 1 a 10 sierpnia.

Dni dobre: 5 – 21 kwietnia, 3 – 23 sierpnia. Trudniejszy: 28 stycznia – 16 lutego, 3 – 20 listopada.



PANNA: 23 SIERPNIA – 22 WRZEŚNIA

Dużo będzie zależeć od Was samych – właściwego postępowania z ludźmi, lecz przede wszystkim dobrego traktowania samych siebie. Nie pracujcie się nadmiernie, odłóżcie na bok właściwy dla ludzi Waszego znaku perfekcjonizm, dbajcie o zdrowie, nie rezygnujcie z urlopu lub nawet, gdy trzeba, wyjazdu do sanatorium, na wczasy lecznicze bowiem Wasza witalność i odporność nie będzie w najbliższych miesiącach najwyższa. Dotyczy to szczególnie urodzonych pomiędzy 27 sierpnia a 5 września.

Przez cały rok dużo pracy. Niektórzy podejmą się dodatkowych obowiązków albo zostaną do tego zobligowani. Nawet niepracujący zawodowo będą mieć wiele rozmaitych zajęć, również i z dziedziny dotąd nieznanej. Ważne sprawy urzędowe załatwcie przed 1 sierpnia. Dużo większa szansa na powodzenie.

Dobry czas: 6 – 20 stycznia, 5 – 21 lipca. Trudniejszy: 1 – 19 marca, 27 listopada – 12 grudnia.



WAGA: 23 WRZEŚNIA – 22 PAŹDZIERNIKA

Uważajcie, aby wielość dobrych wydarzeń, towarzyskie powodzenie i rozmaite zawodowe możliwości nie osłabiły zdolności do samooceny i krytycyzmu względem samych siebie. W pierwszych miesiącach tego roku możecie bowiem być skłonni do zbytnej pewności siebie i przesady, a także podejmowania się zbyt wielu obowiązków czy zadań przerastających Wasze możliwości bądź umiejętności.

Rok szczególnie dobry dla Wąg, które jeszcze się uczą, a także zajmują pracą naukową lub artystyczną. Nie powinni narzekać na intelektualny marazm, brak natchnienia czy niesprawiedliwą ocenę ze strony pedagogów bądź przełożonych.

Od sierpnia poszerzy się Wasz krąg towarzyski, co nie pozostanie bez wpływu na rozmaite życiowe atrakcje. Ci, którzy pragną znaleźć kogoś bliskiego sercu, mogą wówczas spotkać go, a osoby niepewne swych partnerów przekonają się, że zamiary drugiej strony są poważne.

Dobry czas: 30 stycznia – 17 lutego, 25 maja – 16 czerwca. Trudniejszy: 3 – 20 stycznia, 5 – 21 lipca.



SKORPION: 23 PAŹDZIERNIKA – 22 LISTOPADA

Rok znacznie lepszy niż dwa ostatnie. Mniej powodów do stresów. Wiele Skorpionów uwolni się od irytujących czy niepewnych okoliczności życiowych. Rozstając się z ludźmi wywierającymi zły wpływ na Wasze życie, niesatysfakcjonującą pracą lub nawet niewłaściwym miejscem zamieszkania – poczujecie się wolni i z większym optymizmem spojrzycie w przyszłość.

Będą zresztą ku temu konkretne powody: otoczenie życzliwsze i miłsze, pojawiają się też nowe pola działania, co dla ambitnych i pracowitych Skorpionów może być bardzo istotne.

W drugiej połowie roku za sprawą długotrwałej obecności Wenus w Waszym znaku możecie przeżywać czas zauroczenia, a osoby samotne wejść w nowy związek. Takie wpływy planetarne wspierać też będą pracę Skorpionów zajmujących się sztuką czy kul-

turą, humanistyką. Atrakcyjny wygląd i lepsze zdrowie – bez względu na wiek.

Dobry czas: 23 czerwca – 19 lipca, 2 – 21 listopada. Trudniejszy: 25 stycznia – 18 lutego, 3 – 21 sierpnia.



STRZELEC: 23 LISTOPADA – 21 GRUDNIA

Już od stycznia myślcie o istotnych sprawach, jakie rozegrać się mogą u progu lata i jesieni. Niewykluczone, że teraz właśnie zrealizujecie

zamiary, których urzeczywistnienie nie było możliwe w minionym roku. Nie pozostanie to bez wpływu na Waszą życiową sytuację podczas kilku najbliższych lat.

Strzelcy urodzeni jeszcze w listopadzie odczuwają chęć prowadzenia bardziej atrakcyjnego i urozmaiconego trybu życia. Będą w tym roku więcej niż zwykle podróżować, niektórzy wejdą w krąg osób niezmiernie interesujących i sympatycznych.

Sukcesy, także nieoczekiwane, w postaci szczęśliwych zbiegów okoliczności i nagłych, dobrych wydarzeń dla urodzonych pomiędzy 14 a 21 grudnia. Ale urodzeni między 1 a 8 tegoż miesiąca powinni uważać na zdrowie i wystrzegać się ryzykownych transakcji bądź inwestycji finansowych, ich bowiem może dotknąć negatywny wpływ planety Saturn.

Dobry czas: 5 – 20 kwietnia, 7 – 22 sierpnia. Trudniejszy: 27 maja – 12 czerwca, 5 – 21 września.



KOZIOROŻEC: 22 GRUDNIA – 20 STYCZNIA

Sprawy domu, rodziny, a dla osób samotnych – również przyjaciół czy ludzi mieszkających w pobliżu, mogą być w tym roku źródłem pewnych napięć, ale i satysfakcji. Niektórzy doprowadzą do szczęśliwego finału trwający dość długo związek emocjonalny, co jeszcze niedawno nie zapowiadało się zbyt stabilnie.

Młodzi i niedoświadczeni pozbędą się kompleksów, niskiej samooceny, za sprawą kogoś bliskiego i serdecznego. Lepsze niż w minionych latach porozumienie między rodzicami a dziećmi, także między osobami z różnych pokoleń, należącymi do kręgu zawodowego.

Od sierpnia dobra passa w sprawach finansowych i bytowych. Można otrzymać wyższe wynagrodzenie, a w pewnych sytuacjach dostać stypendium, rentę czy odszkodowanie.

Dobry czas: 7 – 20 stycznia, 5 – 21 maja. Trudniejszy: 2 – 19 lipca, 3 – 23 października.



WODNIK: 21 STYCZNIA – 19 LUTEGO

Kolejny burzliwy rok – może się wiele dziać. Wydarzenia istotne i mniej ważne z różnych dziedzin zaczną nakładać się na siebie. Urodzeni między 13 a 19 lutego zaznać mogą silniej niż kiedykolwiek zmienności ludzi i spraw wokół nich. Można teraz wejść, i to niekoniecznie z własnej woli, w inne środowisko profesjonalne czy towarzyskie.

Zmieni się też krąg zainteresowań zawodowych bądź hobbystycznych. Dla niektórych rozstania związane z upływem czasu lub decyzjami. Dorosłe dzieci opuszczają dom, rodzice zaczną prowadzić inny styl życia. Będą i tacy, którzy zdecydują się na dłuższy pobyt za granicą. Ale przez cały ten rok będziecie mieć sporo szczęścia w sytuacjach niepewnych i krytycznych, stąd ewentualne zmiany nie będą Was przerażać.

Dobry czas: 7 – 19 lutego, 3 – 20 czerwca. Trudniejszy: 5 – 22 sierpnia, 1 – 19 listopada.



RYBY: 20 LUTEGO – 20 MARCA

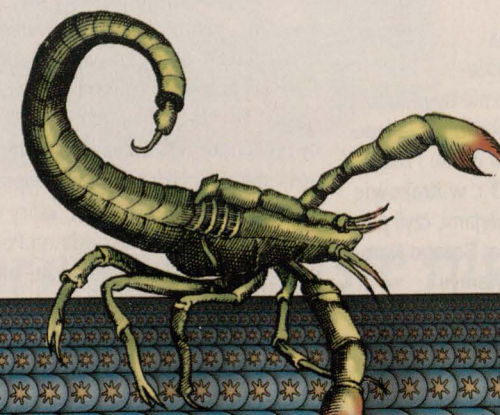
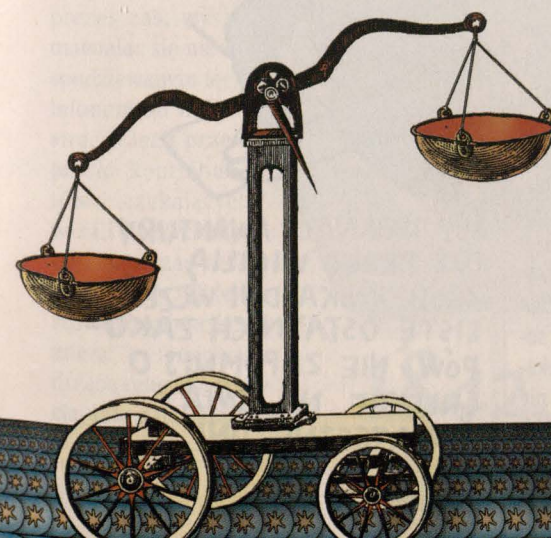
Skupcie się na własnym życiu i istotnych sprawach, nie rozpraszajcie na kwestie nieważne, nie poświęcajcie zbyt wiele czasu zajęciom i znajomościom, z których nic nie wynika.

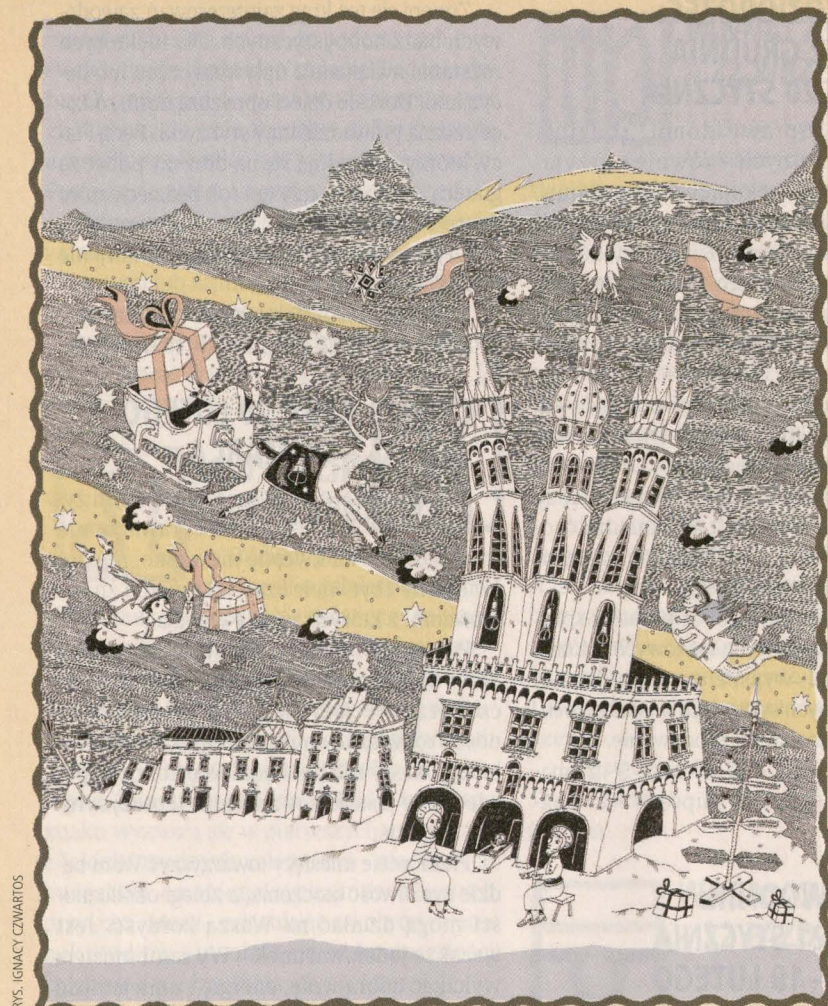
Pamiętajcie, że do 31 lipca sprzyjają Wam dobre wpływy Jowisza. Można wówczas przezwyciężyć wszelkie życiowe trudności, rozwiązać nawet skomplikowane problemy. Kiedy rok ten będzie się kończył, powiecie, że jesteście w znacznie lepszej sytuacji niż dziś.

Przez wiele miesięcy towarzyszyć Wam będzie życzliwość otoczenia, a zbiegi okoliczności mogą działać na Waszą korzyść. Jest wszakże jeden warunek – Wy sami musicie wykazać dobrą wolę, energię i umiejętność działania.

Dobry czas: 28 lutego – 18 marca, 27 października – 15 listopada. Trudniejszy: 26 maja – 12 czerwca, 24 sierpnia – 17 września.

MAJA VERNO
ILUSTRACJE
DMITRIJ SZEWIONKOW-KISMIEŁOW





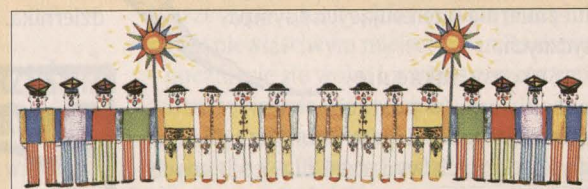
(tzn. bez wliczania tytułu) zbudowany jest wyłącznie z 9 liter alfabetu, dokładnie wyliczonych na wstępie. W naszym wypadku tymi literami są: a-d-e-f-i-j-k-l-s. Każda z tych liter musi być wykorzystana w tekście co najmniej raz.

CO ZNACZY SIŁA WOLI

ADELIRYK

Krótki utwór poetycki do Adeli, o Adeli, a nawet wypowiedziany przez Adelę, jeśli tylko osoba mówiąca przedstawi nam się jako Adela i jeśli przy tym utwór jest napisany prawidłowym wierszem polskim, regularnym metrycznie i rytmowanym. Cały tekst główny

adela dla flisaka
feliksa feliksiaka
kleiki lekkie kisi
kisieie lekkie klei
a felek dla idei
siada
i je
i je
i
je
kisieie i kleje
jakie adela leje



DZIEWKI NIE PO KOŁĘDZIE

— Umówiłem się z Beatą na pasterkę — informują często młodzi ludzie, opuszczając z rozkoszą w noc wigilijną dom rodzinny. O hańbo! O wstydzie! Włóczyć się po nocy mogli chłopcy, czemu nie, jak najbardziej, ale lasze dziewczęta nigdy nie chodziły z kołędą. Nie chodziły i nie chodzą (przynajmniej te porządne, z dobrych domów) do dziś, nawet w Karnawale Góralskim na Bukowinie. Surowy zwyczaj zabraniał dziewczom włóczenia się po nocy: i Kościół, i rodzice mieli smutną świadomość, że owe nocne wyprawy na pasterkę, na kołędowanie, są tylko pretekstem...

Kościół zresztą, delikatnie mówiąc, długo nie popierał kołędowania jako obyczaju całkowicie świeckiego. W starych ludowych pieśniach nie było przed wiekami nic z Bożego Narodzenia, a jeno życzenia wszelkiej pomyślności w domu i zagrodzie. Jeszcze w wydanej w 1843 r. w Krakowie książce „Pastorałki i kołеды z melodyjami, czyli piosenki wesołego ludu w czasie świąt Bożego Narodzenia po domach śpiewane” czytamy: „Nie są to pieśni do użytku kościelnego i owszem

baczność XX Plebanów powinna im tam wstępu zabraniać”. Ale też — stwierdza anonimowy autor — „piosenki te cechują ducha narodu rolniczego i pasterskiego, tak mało gdzie są znane u innych narodów: a pobożność przodków naszych w samych nawet zabawach jawnie się przejawia”.

Bodaj najstarsza zanotowana, znana nam polska kołęda (czy — jak kiedyś mówiono — kantyczka) pochodzi z 1620 r. Śpiewana była oczywiście znacznie wcześniej, kto wie, może już na dworze Krzywoustego lub w przeraźliwie zimnych celach klasztoru ss. Klarysek w Starym Sączu? To obecna do dziś w naszym wigilijnym repertuarze pieśń „Na onej górze świecą się zorze, pasterze się uwijają i na multaneckach grają”. Multanki to rodzaj skrzypiec, a wszystkie polskie kołеды wymieniają tyle instrumentów, że można je uznać za swoisty sklep muzyczny.

Na koniec coś obrazoburczego: słynna „góralska” kołęda „Oj maluśki, maluśki, maluśki, kieby rękawicka...” narodziła się przy biurku któregoś z młodopolskich poetów (imprimatur kościelne otrzymała w 1903 roku), który wyobrażał sobie, że właśnie tak się gada na Podhalu. „Rękawicka” w tamtejszej gwarze zaś nie istniała i nie istnieje. (LM)



JAK W ZGODZIE SPĘDZIĆ ŚWIĘTA



ABY UNIKNĄĆ AWANTURY
TUŻ PRZED WIGILIĄ
ZRÓB KILKA DNI WČEŚNIEJ
LISTĘ OSTATNICH ZAKUPÓW. NIE ZAPOMNIJ O
CHLEBIE NA DWA ŚWIĄTECZNE DNI.

SZCZĘŚLIWI KUFLI NIE LICZA

PRZYGODY PANNY JOLI (fragmenty)

Dziewczyna, która znajduje wymarzoną pracę sekretarki, musi wiedzieć, jakie piwo lubi jej szef. W porządnym, dobrze prowadzonym i rozwijającym się firmach jest to z reguły Pilsner Urquell. Jego brak w lodówce może doprowadzić do zerwania negocjacji, a nawet — odpukać — umowy o pracę.

— Będziemy się musieli rozstać, panno Jolu — rzekł prezes do nowej przyjętej sekretarki.

— Na... na zawsze? — wyjąkała zdumiona Jola. — Przecież ja nic...

— Na tak długo, ile zabierze pani czasu zorganizowanie kilku butelek piwa Pilsner Urquell — odparł już łaskawym tonem prezes. — Świadomość, że nasza lodówka jest pusta, nie pozwala mi spokojnie rozmawiać z kontrahentami.

Panna Jola runęła w kierunku najbliższego sklepu, prezes zaś, wymawiając się niespodziewanym telefonem od ministra, polecił przepraszać kontrahentów czekających w sali konferencyjnej. Sam zaś wziął z rąk panny Joli lekko schłodzoną butelkę piwa i odsuwając drżącą ręką dziewczęcia, sam nalał sobie do

pucharka cudownie złocisty, pienisty płyn.

— Resztę butelek proszę włożyć do lodówki i podać gościom, ale dopiero wtedy, gdy będziemy przy terminach dostaw. Niech trochę zmiękną.

Po południu prezes, widocznie zadowolony z wyniku rozmów, znów wezwał do gabinetu pannę Jolę.

— Przepraszam za te ponure żarty z pożegnaniem, panno Jolu — rzekł, nalewając sobie puchar. — Ale w naszej dyrekcji obowiązuje zasada: DZIEŃ BEZ PILZNERA DNIEM STRACONYM, a ja nie lubię tracić. Nie stać mnie

na to. Dobre zaopatrzenie lodówki jest więc — zgodnie z interesem naszej firmy — rzeczą podstawową. Będzie pani pamiętać?

— O tak, panie prezesie, oczywiście, jak najbardziej, z przyjemnością — uśmiechnęła się panna Jola. — Ale czy życzy pan sobie, żeby podawać naszym gościom także inne piwo?

— Nie — odparł surowo prezes. — Tylko Pilsner Urquell. A wie pani, dlaczego?

Panna Jola z własnej praktyki towarzyskiej wiedziała, że czeska marka, wymieniona przez prezesa, jest ozdobą wszystkich przyjęć. Bywało, że biznesmeni, osobiście młodzi, mówiąc: „no, to idziemy napić się piwa” — wychodzili wcześniej z przyjęcia, jeśli w rollbarach nie było piwa. Słyszała też gdzieś, że Pilsner Urquell pro-

dukowany jest non stop według tej samej receptury z 1842 r., a to dlatego, że nic lepszego ludzkość nie potrafiła jeszcze wymyślić. — I nie wymyśli — uśmiechał się jej dziadek. — Widzisz, dziecińco, nawet w wieku komputerów są granice doskonałości...

Panna Jola czytała też w gazetach, że czeski „napój bogów” z Pilzna serwowany jest w Polsce wszędzie tam, gdzie nie może — no, po prostu nie może braknąć naprawdę dobrego piwa. Pili pilznera uczestnicy Festiwalu Gwiazd w Międzyzdrojach, uczestnicy Ogólnopolskiego Forum Szwejkowego w Mikorzynie, goście organizowanego przez Business Press balu „Styl Biznesmena”. Piwo Pilsner widziało panna Jola w relacjach z wyborów Samochodu Roku. Pili go też uczestnicy pierwszej edycji programu „Big Brother”.

— Myślę, panie prezesie, że wiem. Pańscy goście będą pili wyłącznie pilznera.

— Wszyscy! Łącznie z ministrem i księdzem biskupem, że już nie wspomnę o generale! — Oczywiście, panie prezesie.

— Tylko niech pani na przyszłość tak nie tuli do biustu tego piwa. Po pierwsze, bo zaczynam mu zażdrowieć, a po drugie — bo lubię, kiedy ma właściwą temperaturę. Myślę oczywiście o pilznerze — rzekł surowo prezes, pograżając się w sprawozdaniach kwartalnych.

LESZEK MAZAN



1842. Pierwsze złociste piwo.

Dzięki pisaniu książki nawiązałam serdeczne więzi z krewnymi z Polski, Ameryki, Rosji. Spotkaliśmy się na zjeździe rodzinnym w Toskanii. Niektórzy widzieli się po raz pierwszy.

GŁOWA DO GÓRY

Z JOANNĄ OLCZAK-RONIKIEROWĄ ROZMAWIA JAN STRZAŁKA

Zatytuowała pani swoje rodzinne wspomnienia „W ogrodzie pamięci”. Rekonstruując dzieje swoich przodków: Horwitzów i Mortkowiczów, nie skrywa pani, że przez wiele lat nie chciała pamiętać, pograżać się w bolesnej często przeszłości.

Przed pamięcią można zapewne długo uciekać, jeśli ktoś się przy tym uprze, lecz czy wyjdzie mu to na dobre? Można się przed nią bronić, ale prędzej czy później – oby nie za późno – pamięć dopadnie każdego. I bardzo dobrze – to jedyna szansa na odzyskanie tożsamości. Jestem bardzo zadowolona, że przezwyciężyłam opory wewnętrzne i udało mi się wrócić do spraw minionych. Pochodzę z żydowskiej rodziny, moje dzieciństwo przypadło

na czas wojny, najpierw moja matka i babka ukrywały się wraz ze mną na prowincji, potem znalazły dla mnie schronienie u sióstr niepokalanek, w Warszawie, przy ulicy Kazimierzowskiej. Podczas pobytu w klasztorze nie miałam prawie żadnego kontaktu z moimi bliskimi. Kiedy wojna się skończyła, zamieszkałyśmy we trzy w Krakowie. I dla mojej matki, Hanny Mortkowicz-Olczakowej – pisarki, i dla mojej babki – Janiny Mortkowiczowej – tłumaczki literatury dziecięcej, wdowy po Jakubie, przedwojenna przeszłość była dalej żywa – ja czułam się jak wygnaniec nie należący do ich świata. A może zazdrościłam im barwnego, bogatego życia, którego sama nie zazna-

łam. Ze złości, z przekory odcinałam się od rodzinnej tradycji, szukałam własnej, odmiennej drogi, myśląc, że uwolnię się od psychicznego dziedzictwa. Teraz wiem, że to się nie udało. Nie żałuję, broń Boże, swoich wyborów, żyłam w sposób intensywny i zajmujący, ale przez cały czas miałam wrażenie, że jestem człowiekiem znikąd. Dziś czuję się jak bohaterka baśni, która po długiej drodze przez ciemny las w końcu powraca do domu.

Niedawno spotkała pani w krakowskim Centrum Kultury Żydowskiej pewnego austriackiego Żyda – głównego rabina Wiednia i spytała go, czy nie pomógłby pani uzyskać informacji o pani pra-



Maksymilian Horwitz, brat Janiny Mortkowiczowej, Gandawa, 1898 r.

pradziadku, wiedeńskim rabinie. Okazało się, iż w gabinecie owego przypadkowo spotkanego człowieka wisi portret Lazara Horwita, od którego zaczyna się historia pani rodziny.

Opowieści o wiedeńskim pradziadku przekazywano w rodzinie z pokolenia na pokolenie. W naszym przedwojennym domu w Warszawie był na ścianie obraz olejny przedstawiający Lazara, w bibliotece stały jego komentarze talmudyczne, szczycono się tym, że jego nazwisko pojawia się w „Encyclopedia Judaica”. Mówiło się często o Gustawie, pobożnym synu Lazara, który po studiach filozoficznych w Wiedniu poślubił Julię Kleinemann, córkę zamożnego kupca warszawskiego. Wspomnienia o moich przodkach były więc żywe, tyle że w dzieciństwie i w młodości przeszłość mnie zbytnio nie obchodziła, nad czym dziś ubolewam. Wojna stworzyła cezurę w moim życiu. Okupacja odebrała realność przedwojennej rzeczywistości, która dziecku musiała wydawać się snem, i z tą obojętnością wobec niegdysiejszych śniegów wkroczyłam w dorosłość. Gdyby nie peerelowska rzeczywistość, może powróciłabym do rodzinnych tradycji, gdyby udało się odbudować wydawnictwo Mortkowicza, może kontynuowalabym dzieło dziadka. Po wojnie babka i matka heroicznie wskrzesiły firmę wydawniczą. Żyli przecież przedwojenni autorzy wydawnictwa: Maria Dąbrowska, Julian Tuwim czy Leopold Staff. O wydanie tomiku swoich poezji „Wiek kłęski” w serii „Pod znakiem potłów” poprosił nawet Antoni Słonimski, skłócony przed wojną z Mortkowiczem – po tym wszystkim, co się później wydarzyło, babka i poeta puścili w niepamięć dawne animozje. Niestety, działalność wydawnicza trwała zaledwie parę lat. Wszystkie prywatne firmy wydawnicze uległy w końcu likwidacji, przedtem nękanie je ciągłymi restrykcjami. Pamiętam doskonale wielodniowe kontrole finansowe,

nieoczekiwane domiary podatkowe, wieczne kłopoty z cenzurą. Od czasu do czasu pojawiał się u nas w domu jeden z dwóch głównych bossów peerelowskiego ruchu wydawniczego: Adam Bromberg albo Jerzy Borejsza. Ich wizyty, które zwiastowały jakąś następną katastrofę, babka przypłacała zawsze palpatacjami serca; z dziecięcej perspektywy obaj panowie wydawali mi się monstrami, dręczącymi dwie nieszczęsne kobiety. Kiedy ostatecznie wydawnictwo zostało zlikwidowane, obie poświęciły się pracy literackiej: babka przekładowi, matka pisaniu. Nie załamały się, nie skarżyły; w domu przyzwyczajonym do katastrof przyjmowało się wyroki losu z godnością.

Od śmierci matki ciążyła nade mną świadomość, że powinnam opisać dzieje mojej rodziny. Moi pradziadkowie: Julia i Gustaw Horwitzowie mieli dziewięć dzieci – jedną z ich sześciu córek była moja babka. Biografie wszystkich potomków Julii i Gustawa są niesłychanie barwne i pouczające. Historia nie oszczędziła im klęsk, rozczarowań i cierpień, ale wszyscy przeżyli życie z podniesioną głową. Moja matka umarła w roku 1968, ale dopiero trzydzieści lat później spotkałam wspomnianego wiedeńczyka, nad którego biurkiem wisi portret mego pradziadka. Dopiero wtedy uwierzyłam w jego istnienie, wcześniej był tylko mglistym widmem. Dlatego zaczęłam moją opowieść od rekonstrukcji jego życia. Dzięki pomocy krewnych rozsypanych po świecie udało mi się odtworzyć losy tych, co umarli, i tych, co nadal żyją. O istnieniu niektórych kuzynów dowiedziałam się dopiero podczas pisania. Pod koniec pracy policzyłam moich bohaterów – doliczyłam się stu dwudziestu trzech! Ale to nie wszyscy. Dopiero teraz ujawniają się następni.



Gustaw Bychowski, syn Gizeli, siostry Janiny Mortkowiczowej, około 1900 r.

Najwięcej chyba miejsca w książce poświęciłam mojej babce i matce. To zrozumiałe – znałam je najlepiej. Po tragicznej śmierci Jakuba Mortkowicza w roku 1931 we dwie podjęły się uratowania zbankrutowanego wydawnictwa. Poradziły sobie z tym zadaniem wymiennie, spłaciły długi i firma prosperowała nadal, gdyby nie wojna. Okupację przeżyły, ukrywając się – dzięki pomocy przyjaciół, zwłaszcza pań Anny i Moniki Żeromskich, udało im się uniknąć getta. Tułały się po różnych podwarszawskich miejscowościach, ostatnie czternaście miesięcy okupacji spędziły zamknięte w małym pokoiku profesorskiego budynku Politechniki Warszawskiej przy ulicy Koszykowej, nie wychodząc na zewnątrz, nie podchodząc do okna, rozmawiając ze sobą szeptem. Nie zwariowały jednak, nie znienawidziły się, próbowały



Rodzinne wakacje, 1910 r.

FOT. DANIEL MALAK



Jakub Mortkowicz z Hanią, matką Joanny Ronikierowej.



Janina Mortkowiczowa z Hanią.

mimo wszystko żyć aktywnie: babka przetłumaczyła ostatni tom opowieści o doktorze Dolittle, matka napisała powieść „Światłocienie”.

Pani babka była wielką miłośniczką poezji, często kompletnie różnej stylistycznie. Jako panna odczuwała „dziwne dreszcze”, czytając młodopolskich poetów, pod koniec życia uległa fascynacji poezją młodego Tadeusza Różewicza...

Różewicz był tuż po wojnie naszym sąsiadem w słynnym Domu Literatów na Krupniczej 22. Przydzielono mu małej pokójki dużej kołchozowego mieszkania na I piętrze, gdzie oprócz nas mieszkała jeszcze wdowa po Stanisławie Brzozowskim, pani Antonina, ze swoją córką Anną. Był zaprzyjaźniony z moją babką i matką. Kiedy wyprowadził się z Krakowa, często do nich pisał. W moim rodzinnym archiwum zachowało się sporo jego listów. Panna Tadeusza łączyła też wielka przyjaźń z Leopoldem Staffem, który w tych pierwszych po-

wojennych latach także mieszkał w Krakowie. Babka, Staff i Różewicz tworzyli zdumiewającą trójkę. Ta para starców otaczała młodego poetę wielką czułością i miłością. Babka rzeczywiście miała ogromną wrażliwość na poezję. Pamiętam jej olśnienie powojennym „Ocaleniem” Miłosza, zresztą już przed rokiem 1939 zwróciła uwagę na jego autora. „Trzy zimy” sprzedawano w Warszawie jedynie w księgarni Mortkowicza na Mazowieckiej, bo inni księgarze nie chcieli przyjmować na skład debiutanckiego tomu poety z Wilna. Tym bardziej to dziwne, że moi dziadkowie mieli dość tradycyjne upodobania literackie. Babka nie chciała na przykład wydać „Sklepów cynamnowych” Brunona Schulza, może dlatego, że pisarz nalegał, by jego proza ukazała się z rysunkami zbyt, zdaniem babki, obscenicznymi.

Przyznam się ze wstydem, że Gombrowicz także niezbyt ceniono w moim domu. Kiedy zdobyłam w jakiejś wypożyczalni „Ferdynurke” i czytałam ją z zachwytem, babka dość się krzywiła. Uważała, że Dąbrowska i Żeromski to bardziej wartościowa lektura. Tym bardziej zdumiewa mnie jej podziw dla Różewicza. On zaś pozostał wierny w przyjaźni i kiedy był w Krakowie, zawsze babkę odwiedzał.

Jeszcze jako panna, Janina poznała Przybyszewskiego...

I była dumna, że na chwilę weszła w krąg bohemy. Do końca

życia z sentymentem wspominała tragiczną postać Dagny Przybyszewskiej. Sama nie miała jednak nic z szalonej Julki, bohaterki dramatu Kisielewskiego. Cechowała ją wielka równowaga życiowa. Pewnie dlatego jej małżeństwo z Jakubem Mortkowiczem – po trosze romantycznym szaleńcem – było tak udane, bo uzupełniali się nawzajem. Łączyła ich zresztą nie tylko wielka miłość, ale także wspólna postawa życiowa – charakterystyczne dla epoki przekonanie, że życie jest służbą, w ich wypadku służbą polskiej kulturze i literaturze. Mimo poważnego stosunku do rzeczywistości babka zachowała jednak pewną słabość do cyganerii, pewnie dlatego tak łatwo zaakceptowała moich przyjaciół z Piwnicy pod Baranami i tak bardzo pokochała Piotra Skrzyneckiego.

W Piwnicy pod Baranami spotykali się ludzie, którzy mieli za sobą najrozmaitsze bolesne wojenne doświadczenia, a przed sobą „martwą perspektywę”, jak pisał Andrzej Bursa, jeden z piwniczników. Mi to była najweselszym miejscem w całym kraju.

Dawała nam poczucie wolności i bezpie-

czeństwa. Chroniliśmy się tam jak dzieci przeżalone absurdalnym, groźnym światem dorosłych. Jedyłą obroną przed rzeczywistością był śmiech. To, co można wyśmiać, przestaje być tak groźne. To ogromna zasługa Piotra, że skupił wokół siebie ludzi o podobnym poczuciu humoru i podobnym stosunku do absurdu naokoło. Kiedy myślę o Piwnicy przypominam sobie zawsze wiersz Staffa: „Budowałem na skale i zawaliło się/ budowałem na piasku i zawaliło się/ teraz budując zacząłem od dymu z komina”. Piotr zbudował nam w Piwnicy solidny, zaciszny dom z elementów nietrwałych, ulotnych, nieuchwytnych – jak dym. I dom ten chronił nas przez wiele lat. Uważaliśmy Piotra za najbardziej beztróskiego i radosnego człowieka na świecie. Dopiero kiedy zaczęłam pisać o nim książkę, zorientowałam się, jak bardzo przez całe życie się maskował, jak starannie ukrywał swoje lęki i smutki. Jego filozofia, która głosiła, że niczego nie należy traktować serio, do nikogo i niczego nie trzeba się przywiązywać, na nic nie powinno się liczyć, niczego nie trzeba zbyt mocno pragnąć, była niewątpliwie wynikiem sierociego dzieciństwa i wojennych strachów. Jego ojciec, dowódca pułku ułanów, zginął w kampanii wrześniowej, matka, Żydówka, ukrywała się po dworach ziemiańskich, co parę miesięcy zmieniając miejsce pobytu. Piotr całą okupację spędził u ciotki w Makowie. Czytając rozpaczliwe listy do matki, jakie pisywał, mając osiem, dziewięć lat zdałam sobie sprawę z tego, jak bardzo tęsknił, bał się, czuł się samotny. Rozpacz, strach, tęsknota dziecka są czymś najsmutniejszym na świecie. Takie doświadczenia na długo zamykają człowieka uczuciowo, niekiedy do końca życia nie można nawiązać kontaktu z najbliższymi. Piotr nigdy nie wspominał przeżyć wojennych. Ja też. Nikt z naszego pokolenia nie mówił o wojnie. Pękaliśmy ze śmiechu, bawiliśmy się. Ciekawa jestem, czy dziś, gdyby żył, zechciałby porozmawiać o tamtych czasach? Wątpię. Wbrew pozorom był człowiekiem bardzo zamkniętym. I chyba wydrwiłby tę moją sentymentalną rodziną przygodę.

Ja także przez wiele lat byłam pozbawiona rodzinnych uczuć. Owszem, wiedziałam, że mam krewnych w Paryżu, Moskwie, Nowym Jorku, czasem spotykaliśmy się, ale niewiele z tego wynikało. Dopiero dzięki pisaniu tej książki nawiązaliśmy tak serdeczne więzi. Parę miesięcy temu nasi krewni z Polski, Ameryki, Rosji spotkali się na zjeździe rodzinnym w Toskanii. Niektórzy widzieli się po raz pierwszy w życiu. Ale od razu porozumieliliśmy się ze sobą i z zaskoczeniem stwierdziliśmy, jak bardzo jesteśmy podobni, choć kształtowaliśmy się w różnych kulturach: polskiej, amerykańskiej, rosyjskiej. Łączy nas podobny dystans wobec świata, odziedziczone po wiedeńskim przodku autoironiczne poczucie humoru i dewiza warszawskiej babki – Ju-

lii Kleinmannowej: „głowa do góry!”, bardzo przydatna w naszych tragicznych perypetiach życiowych.

To właśnie wtedy, na rodzinnym spotkaniu w Toskanii, pani niedawno odzyskany krewny, Pietia Waletsy z Moskwy, powiedział: „człowiek ogołocony z pamięci nie wie, po co żyje, co ma przekazać własnym dzieciom”. Zadeedykowała pani swoją książkę córce Kasi i wnuczce Marii. Co sądzą o książce poświęconej ich rodzinie?

Myślę, że dosyć są nią przejęte. Znały mnóstwo zawartych w niej opowieści, ale zebrane razem składają się na całość, która wiele mówi o rodzinnych genach, osobowościach, charakterach. Dzięki temu można się także dowiedzieć sporo o sobie. Najbardziej jestem wdzięczna mojej córce Kasi za jej prośbę: pisać tak, żeby Maria i jej rówieśnicy mogli coś zrozumieć z tych wszystkich historycznych, społecznych, ideologicznych i intelektualnych przygód, w które wplątani byli przez ostatnie sto lat nasi bliscy. Dla siedemnastolatków wszystkie tak skomplikowane i odległe zagadnienia, jak walka o niepodległość w czasach rozbiorów, asymilacja polskich Żydów, socjalizm, komunizm, totalitaryzm sowiecki i hitlerowski to tylko nudne kartki z podręcznika historii. Niech poza definicjami naukowców zobaczą żywych ludzi z ich marzeniami, zaangażowaniami, rozczarowaniami, cierpieniem i mimo wszystko, nadzieją. Starłam się więc pisać jasno i może dlatego sama lepiej zrozumiałam, o czym piszę. Uświadomiłam sobie, że mam wielkie szczęście, bo należę do niezwykłej wspólnoty ludzkiej, związanej ze sobą afirmującym i aktywnym stosunkiem do życia. „Największym grzechem w życiu jest bierność” – musztrowała swoje dzieci moja prababka – Julia, potem one kolejno tępiły egoizm i wymagały zaangażowania od swoich dzieci. Owo zaangażowanie przybierało w przeszło-



Genia Beylin, córka Flory, siostry Janiny Mortkowiczowej, około 1911 r.

ści różne formy, ale na jego dnie zawsze krył się idealizm i pragnienie służby społecznej.

Miłość do Polski przysparzała tym asymilowanym Żydom wiele bólu. Ciągłe przypominało im, że są intruzami.

Myślę, że właśnie dlatego brat mojej babki, Maksymilian Horwitz-Walecki, zaangażował się najpierw w socjalizm, potem w komunizm. Wierzył, że zwycięstwo międzynarodowej rewolucji zniweluje wszystkie różnice klasowe, rasowe i społeczne. Zapłacił za tę wiarę najwyższą cenę, w roku 1937 został w Moskwie aresztowany i po bestialskim śledztwie zamordowany. Historia nieodwzajemnionej miłości – powiedział ktoś po przeczytaniu tej książki. Można ją i tak odbierać. Mój dziadek poświęcił całe swoje życie służbie polskiej kulturze i w końcu, na skutek trudności finansowych, w ataku depresji popełnił samobójstwo. Słowa jego listu pożegnalnego do bliskich: „Nie żyłem jak kupiec i nie umieram jak kupiec”, świadczą o tym, jak bardzo bolały go przez całe życie antysemitckie złośliwości, że udaje miłośnika polskiej książki, a jest tylko żydowskim handlarzem. Mój kuzyn Ryszard Bychowski mógł przeżyć spokojnie wojnę w Kalifornii, ale ohotniczo zaciągnął się do służby w lotnictwie, w RAF-ie. Walkę o wolną Polskę uważał za swój patriotyczny obowiązek, choć radość kolegów w batalionie z powodu likwidacji warszawskiego getta nie była łatwa do zniesienia. Zginął, wracając swoim bombowcem z akcji bojowej w kwietniu 1944 roku. Są to istotnie bardzo smutne historie, ale odziedziczyłam po moich przodkach niechęć do rozważania się nad losem. Siostra Maksa Horwitz-Waleckiego – doktor Kamilla Kancewiczowa i jej syn – Jan Kancewicz, którzy w latach trzydziestych wyemigrowali do Związku Radzieckiego, cudem przeżyli więzienie i łagry. Kiedy na potrzeby książki spisywałam opowieści Janka, prosił, by nie rozwodzić się nad tragicznymi szczegółami, ale zanotować, że oboje z matką przetrwali wyłącznie dzięki sercu i życzliwości Rosjan, których spotkali na swojej drodze. Moja matka także zawsze wolała opowiadać o ludziach, którzy podczas okupacji ratowali nam życie, niż o szmalcownikach i donosicielach, chociaż ich



Od lewej: Pamela Holmes, Tania Valetsy, Asia Sokołowska, Maria Weymayr, Marta Hoffman w czasie zjazdu rodzinnego w Toskanii w 2001 r.

nie brakowało.

Podczas warszawskiej promocji mojej książki z pewnym zażenowaniem mówiłam, że dla moich przodków, dla wielu minionych pokoleń miłość do ojczyzny, obowiązki wobec społeczeństwa były treścią życia. W pierwszym rzędzie siedzieli bardzo młodzi ludzie i zastanawiałam się przez cały czas, czy ich nie nudzi ta opowieść o losach i powinnościach polskiej inteligencji. Czy ich nie śmieszą dzisiaj pojęcia „patriotyzm”, „służba narodowi”? Czy nie mówię o tym zbyt dużo? Zbyt patetycznie? Pod koniec spotkania wstała młoda dziewczyna i powiedziała bardzo cichutko, że jej zdaniem mówi się o tym wszystkim w Polsce zbyt mało. Bardzo mnie wzruszyła. Ale nie wiedziałam, co jej mam odpowiedzieć. I nikt nie skomentował jej wypowiedzi. Wielkie słowa z trudem przechodzą nam dzisiaj przez gardło.

Rozmawiał JAN STRZAŁKA
Zdjęcia z archiwum Autorki.

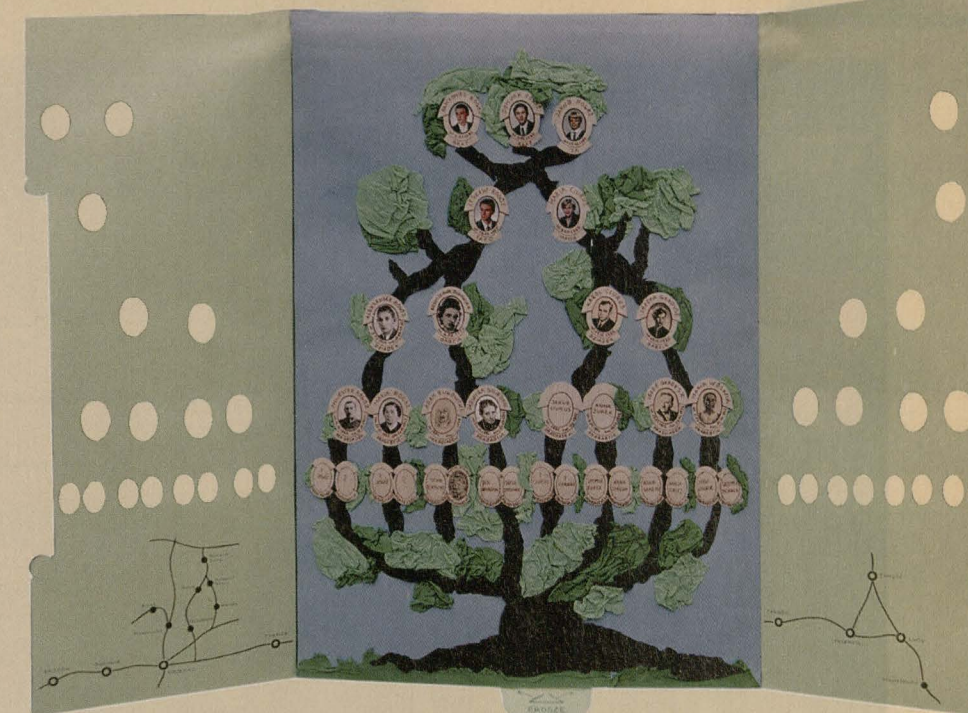
Joanna Olczak-Ronikierowa, znana krakowska pisarka, autorka bestsellerów „Piwnica pod Baranami” i „Piotr”; wywiad powstał w związku z najnowszą, bardzo osobistą książką – „W ogrodzie pamięci”, wydaną przez Wydawnictwo „Znak”.

Konkurs na Drzewo Genealogiczne rozstrzygnięty

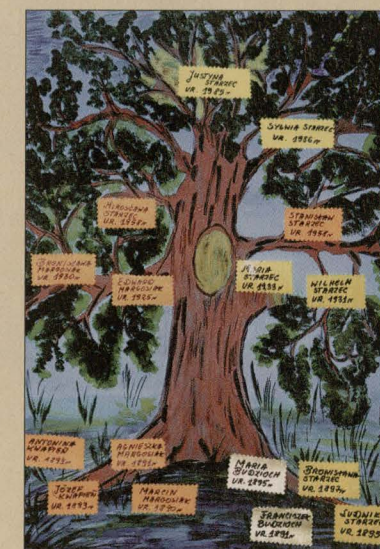


Liczyliśmy na zainteresowanie Państwa historią rodzinną – i nie zawiedliśmy się. Prace zaczęły napływać niemal zaraz po publikacji ogłoszenia i nadal przychodzą, ku utrapieniu listonoszy, a naszej radości. Jury dokonało już wyboru najciekawszej pracy, ale niech się nie martwią „spóźnialscy” – ich drzewa mają też szansę znaleźć się na wystawie pokazującej plon naszego konkursu. Przez ostatnie tygodnie do redakcji napływały koperty i pakunki różnych rozmiarów i najdziwniejszych kształtów. Dostaliśmy drzewo uwiecznione na białej skórze i drzewo wykonane w technice batik. Wyrysowane na dziewięciu zwojach bristolu dużego formatu i zapisane w szkolnym zeszytiku w kratkę. Kilka szkół zorganizowało konkursy dla uczniów i przekazało nam wyróżnione w nich rysunki wraz z protokołami obrad nauczycielskiego jury. Rysunki wykonane przez dzieci i młodzież można by wyodrębnić w osobną kategorię konkursową – tak wiele ich otrzymaliśmy. Nie uczyniliśmy tego jednak, bo poziom ich wykonania nie był wcale niższy niż prac dorosłych autorów. Wzruszały bogactwem wyobraźni – członkowie rodziny umieszczani byli na gałęziach drzewa w jabłuszkach, w serduszkach, jako kwiatki czy liście – innego koloru zależnie od płci i pokolenia. Zaskakiwały starannością w dokumentowaniu: przyozdabiano je fotografiami, a nawet kopiami metryk urodzenia, dowodów osobistych, książeczek wojskowych czy paszportów. Najwyraźniej już dzieci wiedzą, że najważniejsze są odpowiednie papiery. Członkowie jury nie kryli zdumienia z powodu obfitości konkursowego plonu. Nie raz też błysnęła im w oku łza wzruszenia. Nie spodziewaliśmy się, że propozycja przedsięwzięcia wywoła tak wiele dobrych emocji i u czytelników, i u oceniających efekty ich wysiłków. Szacowne grono w składzie: Joanna Ronikierowa, Jacek Woźniakowski, Kazimierz Wiśniak i nasz redaktor naczelny, Marcin Baran (pan Andrzej Wajda niestety nie mógł przybyć) obradowało przeszło cztery godziny, nie mogąc dokonać wyboru. Snuto natomiast optymistyczne refleksje na temat żywych tradycji, zaskakującej w dzisiejszych czasach potrzeby poszukiwania własnych korzeni i tożsamości, wywiedzionej z wartości rodzinnych. Wśród prac znalazły się zarówno takie, które powstały już wcześniej, jak i wykonane specjalnie na konkurs. Przedstawiające dzieje rodów wywodzących się od np. Zygmunta Starego i takich, których historię udało się odtworzyć jedynie do trzech pokoleń. Uczestnikom konkursu udało się zburzyć niesłuszne przeświadczenie, że współczesnych Polaków bardziej interesują dzieje bohaterów tasiemcowych seriali brazylijskich niż ich własnych rodzin. Podkreślając uznanie dla wysiłku wszystkich uczestników konkursu, Jury zdecydowało, że: dwie równorzędne pierwsze nagrody otrzymają pani Irena Szałwko i Jakub Rogóż; na specjalne wyróżnienie zasługują drzewa rodziny Skórskich, rodziny Sobotów, Kazimierza Strzałkowskiego, Mieczysława Rośka oraz Macieja Ozgi. Autorzy prac spotkają się w piwniczce Dworku Łowczego w Krakowie, gdzie przez tydzień wystawa będzie eksponowana – zapraszamy do jej odwiedzenia.

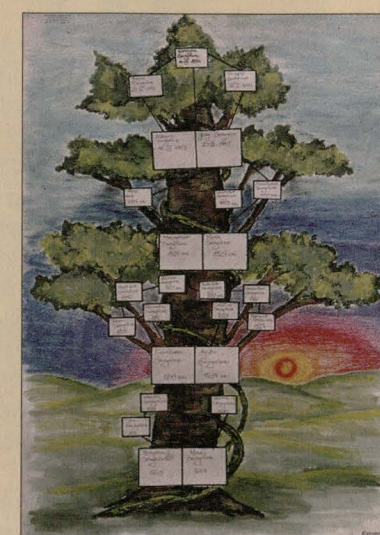
ZDJĘCIA JAN ZYCH



Nagrodzona praca rodziny Rogoźów.



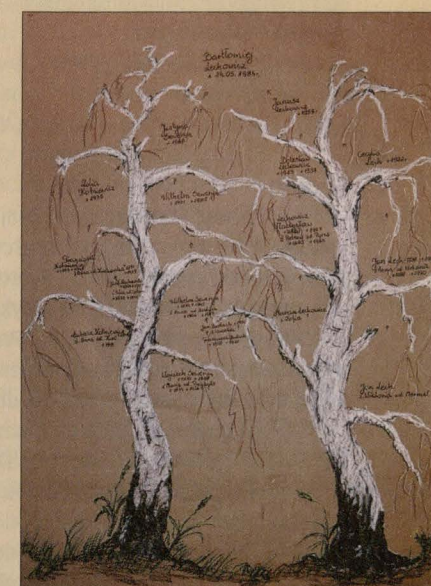
Drzewo rodziny Starców.



Drzewo rodziny Skrzyniarzów.



Autor nagrodzonej pracy, Jakub Rogóż, z albumem rodzinnym.



Połączone drzewa rodzin Sewerynow i Lechowiczów.



Na spacerkę płynie łódką, Ludwik Jerzy ze swą trzódką.

Tak. Wiemy. Przepraszamy. Zdajemy sobie sprawę, że te dwa wersy nie są arcydziełem. Szczytem poetyckiego polotu. Twórczej inwencji i oryginalności. Nie są nawet przykładem niepodważalnej artystycznej logiki. Pragnęliśmy jednak w poetycki (czyli najpiękniejszy z możliwych) sposób wyrazić nasz hołd dla Pana Ludwika Jerzego Kerna, który 29 grudnia obchodzi 80. Rocznice Swych Urodzin. Dla Pisarza (czyż może być piękniejsze słowo), obecnego w naszym domu, życiu, pamięci od kilkadziesiąt lat. Autora książek pieczołowicie przekazywanych (No, na razie przekazanych raz) z pokolenia na pokolenie. A czy Pisarz może spodziewać się większego hołdu niż (nawet nie najzgrabniejsze) próby naśladownictwa, imitacji, aluzji i nawiązań? Bo przytoczony na wstępie wierszyk jest taką właśnie próbą. Jeśli ktoś nie

pamięta (zbudź się, wstydź się, Czytelniku...), przypominamy oryginał, pochodzący z książki zatytułowanej „Ferdynand Wspaniały”:

*Na spacerkę jedzie dryndą
Pan Ferdynand ze swą windą.*

Tak właśnie wyobrażamy sobie – dlaczego nikt ich nie zorganizował? – Urodzinowe Uroczystości Ku Czczy Dostojnego (Prześmieszego) Jubilata. Wokół krakowskiego Rynku jeździ dorożka, w niej zasiada Pan Ludwik w towarzystwie windy (– Człowieku, skąd weźmiesz windę?!), a za nimi biegnie tłum łobuziaków, skandujących inkryminowany (– Nie rozumiem) wierszyk.

– Co ja bym dał, żeby za mną tak wołali na ulicy – mówił Ferdynand Wspaniały, jeden z członków trzódki wymyślonej przez Pana

Ludwika. I trudno się z nim nie zgodzić (– Szczerze mówiąc, ja wołałbym lecieć za dorożką i wołać...). W urodzinowym orszaku nie mogłoby, oczywiście, zabraknąć olbrzymiego, białego porcelanowego słonia, z mrówką w roli poganiacza, oraz równie gigantycznego królika z sumiastymi wąsami.

Sympatyczne

Bo tak właśnie przedstawia się Trójka Bohaterów, którzy przynieśli Panu Ludwikowi Sławę, Nieśmiertelność oraz Order Uśmiechu, przyznany pisarzowi w roku 1972. Po pierwsze – Ferdynand Wspaniały (Ferdynand był psem. Ciągłe spał i miał w tych snach dziwne przygody. Bardzo mu zazdrościło. Nigdy nie miałem takiego snu). Pies, który postanowił zostać człowiekiem i bardzo mu się to spodobało. Po drugie Karampuk (– To królik, który urodził się w kapeluszu swego matkoojca, presti... – nigdy nie nauczę się tego słowa). Wyczarowane przypadkowo dziecko sztukmistrza, wielbiciel sałaty, potrafiący rozmawiać z samochodami

o przyczynach ich awarii (– Też byś tak chciał, jak Ci się auto zepsuje). A wreszcie bohater powieści „Proszę słonia”, Dominik, biały porcelanowy stół, który urósł i ożył, karmiony przez właściciela, Pinia, witaminami (Na szczęście ja nie muszę jeść pigułek na wzrost).

Ferdynand, Karampuk i Dominik bawią dzieci od lat. Postacie z książek Pana Kerna bardzo mi się podobają! Ponieważ są bardzo śmieszne i nadzwyczajne, dziwne, niezbyt mądre, ciekawskie. Są dowcipne, zaradne i mają śmieszne (dziwne) przygody. Lubię wszystkich, ale najbardziej lubię Ferdynanda Wspaniałego, ponieważ sniły mu się dziwne przygody, a on myślał, że to dzieje się naprawdę. Jak widać, bawią nawet te dzieci, które wychowują się (najczęściej przez nieuwagę rodziców) na nowoczesnych filmach, w rodzaju „Power Rangers”. No, co ty! Za kogo mnie uważasz! Wolę książki Pana Kerna! Ponieważ nie są tak idiotyczne jak „Power Rangers”.

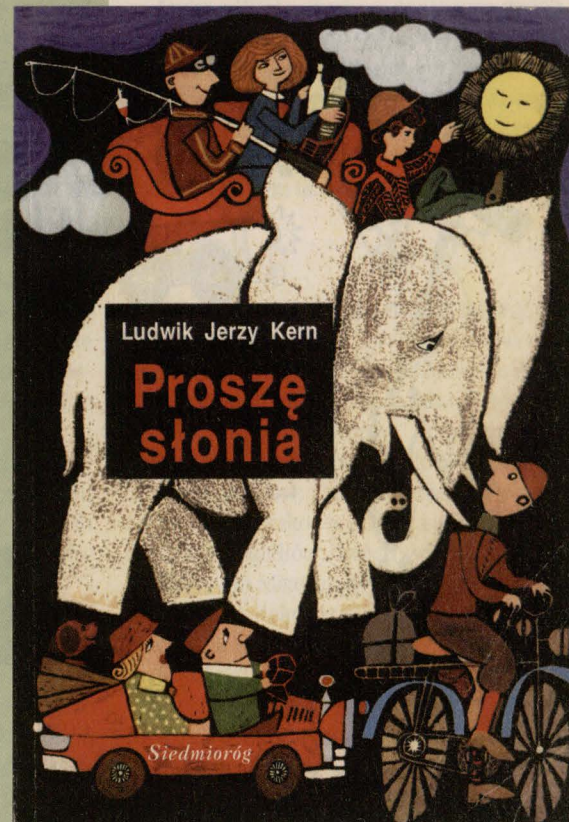
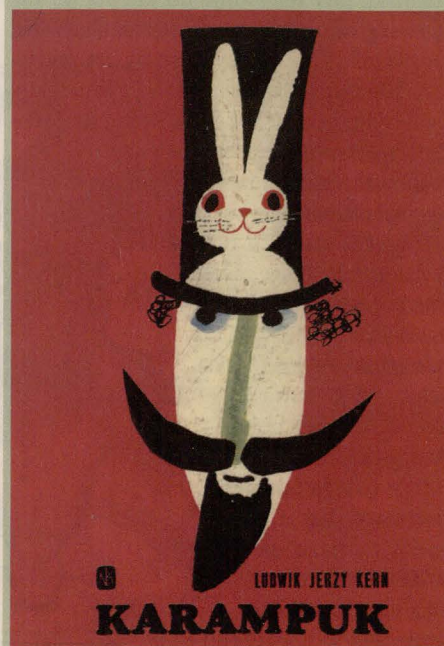
Zgodnie z podstawowymi regułami gry książki Ludwika Jerzego Kerna nie tylko bawią, ale i nie są pozbawione dydaktycznego sosiku. Odrobiny moralizatorstwa. Pouczeń kierowanych do czytelników. Że nie wolno snić dziwnych rzeczy, bo można zrobić coś złego („Zbudź się Ferdynandzie” i „Ferdynand Wspaniały”). No, niezupełnie o to mi chodziło. Śnić możesz sobie, co chcesz. Oczywiście, w granicach rozsądku... Myślę raczej o tym, że Ferdynand, Karampuk i Dominik uczą dobrych obyczajów, uprzejmości, odwagi, koleżeństwa, prawdomówności. „Mówienie prawdy sprawiało Ferdynandowi zdecydowaną przyjemność” – pisze Pan Ludwik. Chciałbym, by każda wizyta u dentysty (i nie tylko u niego), rozgrywała się według lansowanego przez pisarza wzorca: „Zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby zębom szanownego pana nie sprawić zbyt wielkiej przykrości – powiedział doktor Diwro. – Z całą ufnością oddaję moje zębki w ręczki pana doktora – powiedział Ferdynand”. – No, co TY? Ja tam się dentysty nie boję... Pisarz uczy też swych czytelników logiki i prostoty myślenia. – Jaki to ma być garnitur – pyta krawiec Ferdynanda Wspaniałego. – Ładny – odpowiada bez wahania Ferdynand. – A jak go uszyjemy? – Ładnie. – A kamizelka jaka będzie? – Ładna – wyjaśnia cierpliwie Ferdynand, odwołując się (nieświadomie?) do swego Braciszka w Bar-dzo Wielkim Rozumku, Kubusia Puchatka.

Mądre

Literackiemu moralizatorstwu Pana Ludwika brak, na szczęście, psującej cały efekt nachalności. Bohaterom Kerna zdarzają się zachowania nie do końca etyczne, aczkolwiek bardzo ludzkie, dodające im budzących sympatię rysów. Matkoojciec Karampuka, prestigitator Miguel Campinello de la Vare Zapassas, podczas próby ukarania go mandatem za

niewłaściwe parkowanie, zmienia znak zakazu w symbol oznaczający parking... Tak, tak, wiem dlaczego ta scena tak Ci się podoba...

Akcja wszystkich książek Ludwika Jerzego Kerna rozgrywa się w wyśnionej, bajkowej, czarodziej-skiej rzeczywistości. Ale ten świat nie jest pozbawiony rysów realności. Największym kłopotem Ferdynanda jest brak pieniędzy, za które mógłby kupić coś do jedzenia czy zapłacić za hotel. Samo istnienie Dominika, wielkiego, porcelanowego słonia, budzi sprzeciw pewnej Wysokiej Komisji, próbującej ingerować w życie bohaterów książki „Proszę słonia”. „W wyniku narady Komisja orzeka, co następuje: «Słonia imieniem Dominik należy w możliwie najkrótszym czasie usunąć z ogródka, który obecnie bezprawnie zajmuje. Stół ów nie posiada przydziału ani nakazu kwaterunkowego na wspomniany ogródek, z czego niedwuznacznie wynika, że zajmuje go bezprawnie» – stwierdzają przeciwnicy istnienia Dominika, a co za tym idzie – przeciwnicy bajek. Ich postawa budzi sprzeciw młodego czytelnika, ale i uczy go zarazem praw panujących w realnym świecie. Tak kończą się wszystkie książki. Ferdynand wraca do postaci psa. Dominik kurczy się do rozmiarów standardowego, porcelanowego, milczącego słonika, którego można trzymać na półce z książkami. Karampuk, urodzony w czarodziejski sposób, znika w równie tajemniczych okolicznościach (Pod koniec „Karampuka” bardzo wzruszyłem się tym, że Karampuk zniknął). Świat wraca do swej realistycznej normy,



działający w nim bohaterowie pozostawiają jednak ślad w naszej wyobraźni i pamięci.

Ukochane

Już zawsze będą przypominać swoim wielbicielom, nawet (zwłaszcza) gdy dorosną, że rzeczywistość może (powinna) wyglądać inaczej. Że jest w niej miejsce na sny, marzenia, wyimaginowane przygody. Przecież wiem, że słonie porcelanowe i psy nie mogą mówić (rosnąć), ale chciałbym mieć takie zwierzęta, takich przyjaciół. Chciałbym mieć takie przygody, takie jak Pinio i Dominik, mistrz Zapassas i Karampuk.

Tak, chcielibyśmy tego wszyscy. A przynajmniej ci z nas, którzy dzięki Panu Ludwikowi już na całe życie pozostaną dzieckiem podszyci. I dlatego na koniec, idąc za publicznością wystawy psów, opisanej w „Ferdynandzie Wspaniałym”, wznosimy i zachęcamy wszystkich do wzniesienia 3128 okrzyków. Licząc kolejno: 1265 „Hurra!”, 828 „Niech żyje!”, 654 „Wiwat!”, 129 „Siup!”, 55 „Sto lat!”, 49 „Brawo!” i 48 „Hop, hop!”. Nie mówiąc o całej reszcie, czyli 100 okrzykach niedokładnie zidentyfikowanych, niemniej jednak utrzymanych w najlepszym gatunku i zawierających ogromny ładunek uczucia.

Panie Ludwiku! Jest Pan Wspaniały!
ACH, GDYBYM JA MIAŁ OGON, TO BYM MU DOPIERO POMACHAŁ...

WŁODZIMIERZ JURASZ
MICHAŁ JURASZ JR



Sławni nieznani

To miłe mieć sobowtóra, choćby tylko podobnego z imienia i nazwiska.

Władysław Broniewski mieszka we wrocławskim mrówkowcu. Zaledwie trzy klatki dzieli go od mieszkania Gabrieli Zapolskiej. W Łodzi bliskimi sąsiadkami są Helena Modrzejewska i Irena Kwiatkowska.

Urszula Kochanowska ma sklep mięsny w Bytomiu, Krystyna Janda – obuwniczy w Łwówku Śląskim, a Jolanta Kwaśniewska – kwaciarnię we Wrocławiu. Andrzej Wajda do niedawna był recepcjonistą w krakowskim Domu Turysty. Roman Polański sprzedaje sprzęt elektroniczny i występuje w telewizyjnych teleturniejach. Jerzy Hoffman jest drukarzem w łódzkiej Drukarni Prasowej. Jerzy Antczak w Łodzi na działce składa stare zabytkowe rowery. Zdzisław Najder przez 35 lat był członkiem orkiestry Filharmonii Krakowskiej.

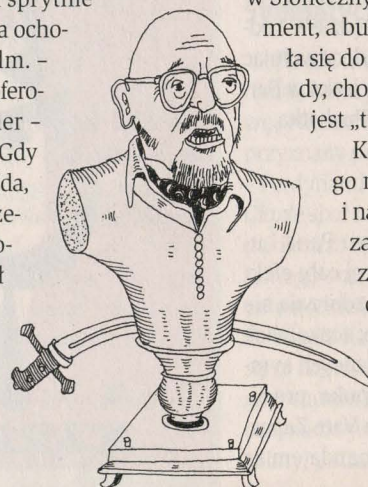
Clinton z Bushem

W Rumunii jest miejscowość, w której po ulicach biegają Bill Clinton z George'em Bushem i Johnem Kennedym, piłkę kopią John Travolta z Tomem Cruisem, a na ganku walczą się chałupiny leniwie wylegują się Greta Garbo z Marilyn Monroe. Film na ten temat pokaza-

ła TVP. Miejscowość jest biedna. Mieszkańcy wymyślili, że jeśli swoim dzieciom będą nadać imiona i nazwiska sławnych ludzi, ułatwi im to życiowy start. Jak dotąd poza granice bogatej w „sławy” wioski nikt nie wypłynął.

Gabriela Zapolska, pielęgniarka z Wrocławia, uważa, że to, iż się nosi imię i nazwisko jakiejś sławnej osoby, jeszcze nic nie znaczy, ale niewątpliwie dodaje rumieńców życiu. Choćby wtedy, gdy przedstawia się komuś – zawsze wywołuje to zainteresowanie, konsternację lub zdziwienie: „Zaraz, zaraz, przecież Zapolska już nie żyje”.

Bywają sytuacje wręcz komiczne. Roman Polański, gdy telefonuje do klienta po raz pierwszy, na ogół po drugiej stronie słuchawki zapada milczenie, po czym proszą, aby powtórzyć, kto dzwoni. Kiedyś w jednej z firm sekretarka wykrzyknęła: „O Matko Boska, panie dyrektorze! Dzwoni Polański!”. Ale szef zachował zimną krew i sprytnie wypytał oferenta, czy ma ochotę sprzedać mu jakiś film. – Wybacz pan, mogę zaoferować koparkę lub skaner – oświadczył pan Roman. Gdy w latach 80. Andrzej Wajda, hotelarz z Krakowa, przekraczał granicę polsko-niemiecką, celnik dziwił się, że twórca tak głośnego wówczas „Człowieka z żelaza” podróżuje zwykłym autokarem ze zwykłą wycieczką.



Okruchy popularności

Gabriela Zapolska pamięta, że w szkole, zwłaszcza na lekcjach języka polskiego, musiała się mieć na baczności. Powtarzano jej zawsze, że „człowiek z takim imieniem i nazwiskiem nie może być osłem”.

Roman Polański zauważył, że ludzie często wyobrażają sobie, iż jak już się ktoś nazywa Tadeusz Kościuszko, to gwarantuje mu to wyjątkowo komfortowe położenie. A naprawdę jest to tylko kilka bardziej lub mniej sprzyjających okoliczności. Jego na przykład lepiej zapamiętują, co jest bardzo ważne w pracy handlowca.

Jerzy Hoffman z Łodzi na premierze „Ogniem i mieczem” siedział z całą rodziną w pierwszym rzędzie, choć kupował bilety, gdy już oficjalnie zostały wysprzedane.

Andrzej Wajda otrzymał na wczasach w Słonecznym Brzegu najpiękniejszy apartament, a bułgarska obsługa hotelowa odnosiła się do niego z honorami godnymi gwiazdy, chociaż usiłował wytłumaczyć, że nie jest „tym” Wajdą.

Krystyna Janda z Łwówka Śląskiego nie lubi się chwalić, że nosi imię i nazwisko sławnej aktorki, bo kiedyś zadzwonił do niej pewien mężczyzna z pretensjami, że chyba jej się od tej popularności w głowie pomieszało, skoro otworzyła sklep obuwniczy. – Jeśli brakuje pani pieniędzy, to proszę poszukać sponsora – krzyczał przez telefon.

Jerzemu Hoffmanowi naprzykrzał się telefonicznie pewien dziennikarz – po sukcesie „Ogniem i mieczem” chciał koniecznie zrobić z nim wywiad. Już samym faktem, że się do niego dzwonił, był tak zachwycony, że nie przemawiały do niego żadne argumenty: „Ja wiem, że pan musi się teraz ukrywać, bo od tej sławy można zwariować, lecz ja bardzo pana proszę”.

Po ubiegłorocznym rozdaniu Oscarów Andrzej Wajda musiał wyłączyć telefon. Nie miał siły przyjmować gratulacji, ani odsyłać do Krystyny Zachwatowicz, choć do tej pory na ogół robił to bardzo chętnie. Żyje samotnie. Każdy więc telefon, list czy nawet prośba o przesłuchanie przed egzaminami na PWST (bo takie też się trafiały) są rodzajem urozmaicenia monotonii.

Spotkania

70-letni samotny emeryt, Władysław Broniewski, ilekroć spotyka na ulicy Gabrię Zapolską zawsze jej się nisko kłania. Obydwójce rozbawieni są faktem, że noszą imiona i nazwiska sławnych literatów, choć o swoim sąsiedztwie dowiedzieli się niedawno.

Maria Dąbrowska z Krakowa opowiada wręcz niewiarygodną historię. Jakies 15 lat temu zamieszkała w sanatorium w Ciechocinku w jednym pokoju z Marią Konopnicką spod Rzeszowa. Pod dwóch dniach recepcjonistka przyprowadziła nową pensjonariuszkę. – Pani Nałkowska – przedstawiła ją z nieukrywaniem uśmiechem. – Szkoda tylko, że była to Celina – mówi pani Maria. „Pisarki” bardzo się zaprzyjaźniły. Celina miała zmienić imię na Zofia, bo planowały wspólny występ w telewizji. Nie doszło jednak do tego, bo obydwie pannie już od kilku lat nie żyją. Dziś zapewne twórcy talk show zabijaliby się o takie trio.

Roman Polański z kolei mówi, że wydział elektroniki AGH kończyło w roku 1983 dwóch reżyserów: on i Andrzej Wajda. Po studiach jednak ich drogi się rozeszły. Co się dzieje ze „sławnym kolegą”, gdzie mieszka, co robi – nie wie.

Gabriela Zapolska urodziła się 10 lat po śmierci pisarki, nie miała więc okazji jej poznać. Pamięta tylko, że w domu był kult twórczyni Dulskich i z tej to przyczyny nadano jej takie imię. Dziadek Heleny Modrzejewskiej z Łodzi też był za tym, aby nosiła ona imię wielkiej aktorki. Powiedział: „Skoro jest porządne nazwisko, niech i będzie porządne imię”.

W rodzinie Urszuli Kochanowskiej od jakiegoś czasu rodzi się sami chłopcy. Jeden z nich, brat ojca, nazywa się Jan. Gdy w końcu urodziła się dziewczynka, wszyscy jednogłośnie orzekli, że musi być to Urszulka.

Krystyna Janda i Jolanta Kwaśniewska są równolatkami swoich znanych imienniczek, nie było więc możliwości, by imię dostały „na cześć”. Ale nie bez przyjemności je noszą, wiedząc, iż jest również własnością kogoś sławnego. Gdy Krystyna Janda objęła Polskę ze swoim spektaklem, pani Krystyna z Łwówka Śląskiego wybrała się, aby go obejrzeć. „I po autograf” – dodaje. Jolanta Kwaśniewska zaś w gronie sześciu innych Jolant Kwaśniewskich spotkała się niedawno z prezydentową. Doszło do tego za sprawą Programu III PR, który nadał reportaż o Jolantach Kwaśniewskich.

Jerzy Antczak, budowlaniec z Łodzi, przepuszcza, że może być nawet dalekim kuzynem reżysera „Nocy i dni”. Rodziny obu panów pochodzą z okolic Łęczycy i Płocka. Przekonuje, że poza tym ze znanym reżyserem łączy go podobieństwo fizyczne i uwielbienie dla Jadwigi Barańskiej.

Andrzej Wajda, choć jest wyjątkowo podobny do swego wielkiego imiennika, nie podejrzewa, aby był jego krewnym.

Pytany o pewne powinowactwa ze znanym imiennikiem, Jerzy Hoffman zwykle odpowiada żartobliwie: „Z Jerzym to nie, ale z Dustinem Hoffmanem to jestem spokrewniony”.

Zmiennicy

W książce telefonicznej trudno znaleźć numery sławnych czy popularnych osób. Na ogół są zastrzeżone. Ale żadną trudnością nie jest doszukanie się numerów do ich imienniczych „sobowtórów”. Dzwonić więc można do wielkich wodzów i królów, poetów, malarzy, aktorów: żyjących i nieżyjących. W samym tylko Krakowie mieszka aż trzech Władysławów Jagiełłów, dwóch Władysławów Sikorskich, Jan Matejko, Zygmunt Krasiński, Bolesław Prus. Rekordzistką jest tu Irena Dziedzic, która zajmuje aż całą stronę.

Kopalnią „sław” jest Łódź. Tu dzwonimy do czterech Jerzych Hoffmanów, dwóch Helen Modrzejewskich, trzech Romanów Polańskich, dziesięciu Jerzych Antczaków, trzech Iren Kwiatkowskich, dwóch Zbigniewów Wodeckich, Moniki Olejnik, Tadeusza Łomnickiego. Dokładne przestudiowanie Centralnej Książki Telefonicznej może zaś uświadomić, że znakomita większość z nas ma swego „zastępcę”. Autorka tego tekstu odnalazła np. swoją „zmienniczkę” w Olsztynie. To miłe poznać swego sobowtóra z imienia i nazwiska.

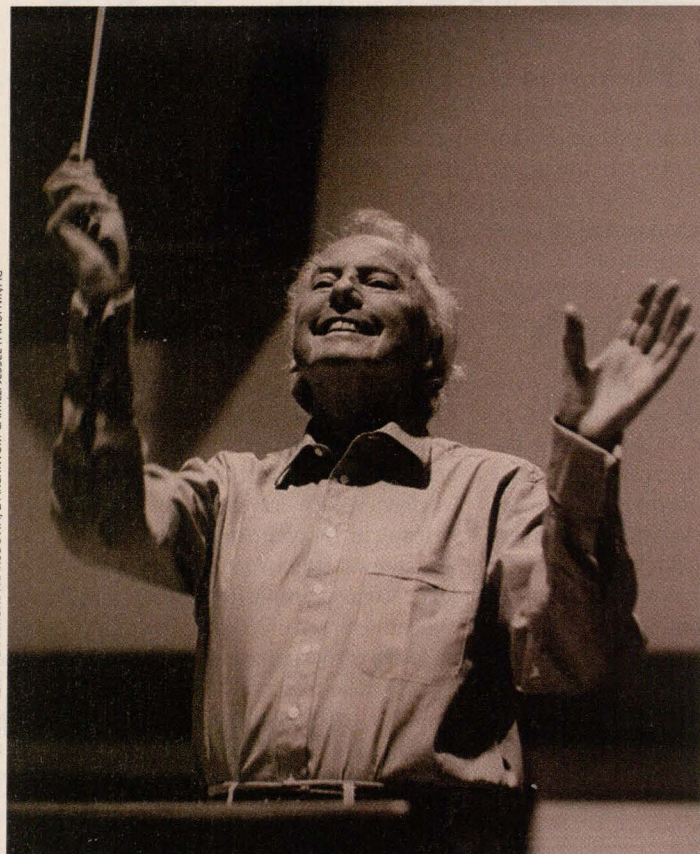
Miałam kłopoty ze znalezieniem drugiej Agnieszki Holland, Jana Marii Rokity i Jana Jakuba Kolskiego. Ale za to przysłówiowych Janów Kowalskich – zatrzęsienie.

LUCYNA ZIENKIEWICZ-KUREK
RYS. IGNACY CZWARTOS



C Z W A R T O S

Po latach Ciszzy



FOT. JEWSTAWA FOTOGRAFICZNA FILHARMONIA NARODOWA, Z ARCHIWUM CAMILU JESSEL-PANUFNIKAG

Stawiany w jednym rzędzie z najwybitniejszymi polskimi kompozytorami – przez lata wyklęty i zapomniany. **ANDRZEJ PANUFNIK** jest dziś bardziej popularny za granicą niż w ojczyźnie.

Krótko przed śmiercią wyznał: – W ciągu 35 lat życia w Anglii nigdy nie czułem się emocjonalnie ani duchowo odcięty od kraju, w którym się urodziłem.

Dawno temu

W latach 1932–1936 Andrzej Panufnik studiował w Warszawskim Konserwatorium Muzycznym: kompozycję w klasie Kazimierza Sikorskiego i dyrygenturę w klasie Waleriana Bardiejewa. Umiejętności dyrygenckie doskonalił w Wiedniu pod kierunkiem Felixa von Weingartnera oraz w Paryżu u Philippe'a Gauberta.

Z wczesnych kompozycji znane jest dziś Trio fortepianowe, zrekonstruowane po wojnie przez kompozytora – inne utwory sprzed 1944 spłonęły podczas powstania warszawskiego.

Lata okupacji Panufnik spędził w Warszawie. Brał udział w ówczesnym życiu koncertowym – m.in. występował w duecie fortepianowym z Witoldem Lutosławskim.

Po wojnie pełnił funkcję dyrygenta Filharmonii Krakowskiej, później dyrektora Filharmonii Warszawskiej. Piastował stanowisko wiceprzewodniczącego Związku Kompozytorów Polskich.

W zaciszu

Podobno Panufnik zawsze powtarzał, że najważniejsze to być ciągle twórczym. Codziennie zamykał się na osiem, dziewięć godzin w swoim gabinecie i komponował – wspomina wdowa po kompozytorze.

Ich dom był otwarty dla innych artystów i kompozytorów. Wiele sław ze świata muzyki szukało w ich ogrodzie natchnienia, a w kuchni, przy kolacji przygotowanej przez lady Camillę, toczyły się długie rozmowy – o muzyce, sztuce, literaturze, filozofii...

W 1997 roku odbył się premierowy pokaz filmu dokumentalnego „Powrót Andrzeja Panufnika” w reż. Andrzeja Papużyńskiego, filmowej impresji ukazującej kompozytora w ostatnim roku życia.

Zdjęcia rozpoczęto w czasie jego pierwszej po latach wizyty w Polsce. Ponieważ rozeszła się wieść o śmiertelnej chorobie Panufnika, przewodniczący Komitetu Kinematografii, Juliusz Burski, przyznał Papużyńskiemu w przyszłym trybie pieniądze na tzw. zdjęcia uciekające. Reżyser odwiedził państwa Panufników w ich posiadłości Riverside House w Twickenham pod Londynem i sfilmował kompozytora w czasie spaceru po parku, komponowania, prób z orkiestrą do brytyjskiego wykonania „Koncertu skrzypcowego” z udziałem polskiego skrzypka Krzysztofa Śmietany.

Na montaż filmu zabrakło pieniędzy. Musiało minąć kilka lat, by film doczekał się swojej premiery.

W genach

Matka Andrzeja komponowała i grała na skrzypcach. Ojciec był znanym konstruktorem skrzypiec.

Jego córka, Roxanna, jest młoda, urodziwa i bardzo utalentowana. Imię zawdzięcza ojcowskiej fascynacji muzyką Karola Szymanowskiego (Roxanna to bohaterka opery „Król Roger”). Komponuje od dwunastego roku życia. Kiedy miała 16 lat, napisała „Requiem”, wykonane w katedrze w Chichester. Studiowała kompozycję i grę na harfie w Royal Academy of Music. Na uczelni nie szło jej najlepiej, pewnie dlatego, że w komponowaniu woli kierować się sercem niż głową.

Jest naturalna, nie pozuje na gwiazdę i nie odcina się od polskich korzeni. Po śmierci ojca po-

święciła się wyłącznie komponowaniu. Do dziś żałuje, że będąc nastolatką, nie słuchała jego kompozytorskich sugestii. Jednak różnica wieku – był od niej starszy o 54 lata – nie pomagała w nawiązaniu kontaktu. Kiedy dojrzała do przyjęcia jego opinii, było już niestety za późno.

Chociaż tworzy muzykę poważną, przynajmniej się do fascynacji rockiem, popem, muzyką taneczną, afrykańską, indyjską i latinoamerykańską. Marzy, by być kompozytorką niezależną, również od wpływu sławnego ojca.

Syn Panufnika, Jeremy, również zajmuje się muzyką, jednak zupełnie inną – techno. Kiedyś projektował okładki płyt ojca, grał acid jazz, ostatnio zaś został didżejem w zespołach Soul of Man i 2InDaBush, związanych z londyńską wytwórnią techno „Finger Lickin”.

Dorobek mistrza

Napisana przez Panufnika w roku 1963 „Sinfonia Sacra”

zdołała pierwszą nagrodę na Konkursie Kompozytorskim w Monaco. Późniejsze dzieła w większości powstały na zamówienie: Yehudi Menuhin poprosił o „Koncert skrzypcowy”, Telewizja BBC o „Triangles”, Chicago Symphony Orchestra o „X Symfonię”, Mściśław Rostropowicz o „Koncert wiolonczelowy”.

Katalog dzieł kompozytora obejmuje 10 symfonii, utwory na orkiestrę symfoniczną i kameralną oraz cztery koncerty solowe, a także kompozycje wokalne-instrumentalne.

Jego „Kołysanka” z roku 1947 na orkiestrę smyczkową i dwie harfy jest utworem nowatorskim jak na owe czasy. Ponoć gdy brytyjski kompozytor Nigel Osborne zetknął się z jej partyturą, powiedział: – To tak, jakbym zobaczył rysunek Leonarda da Vinci przedstawiający samolot.

O utworach Andrzeja Panufnika mówi się często, że są wyrażone i trudne. A przecież w dorobku mistrza odnaleźć

można również takie perełki, jak popularna piosenka „Warszawskie dzieci, idziemy w bój” do słów Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego, która była dla warszawiaków w okresie okupacji czymś w rodzaju hymnu, śpiewanego z nabożeństwem i uniesieniem...

Pamięci sir Andrzeja

Dziesiąta rocznica śmierci Panufnika skłoniła do nadrobienia zaległości w propagowaniu twórczości kompozytora. Ostatnio w ramach Dni Muzyki Andrzeja Panufnika odbyło się w Krakowie kilka interesujących imprez. Najcieplejszy i najserdeczniejszy klimat miało na pewno spotkanie z lady Camillą Panufnik w Klubie Muzyki Współczesnej „Malwa”.

Wdowa po kompozytorze opowiadała o ich życiu przepełnionym muzyką, odpowiadała też na pytania dotyczące okoliczności powstawania niektórych dzieł. Wieczór połączony

był z recitalem fortepianowym Macieja Grzybowskiego (pianista wykonał „Pentasonatę” Panufnika).

Dzień wcześniej wysłuchano występu młodego Kwartetu Akademii w Centrum Kultury Żydowskiej, odbyła się również promocja monografii życia i twórczości Andrzeja Panufnika autorstwa Beaty Bolesławskiej.

Uroczyste wręczenie nagród laureatom Międzynarodowego Konkursu Młodych Kompozytorów im. Andrzeja Panufnika w Centrum Sztuki i Techniki Japońskiej „Manggha” zakończyło obchody.

Koncertom towarzyszyło spotkanie specjalistów – Międzynarodowa Konferencja Muzykologiczna pt. „Muzyka Andrzeja Panufnika i jej recepcja” zorganizowana przez Instytut Muzykologii Uniwersytetu Jagiellońskiego, przy współpracy Akademii Muzycznej w Krakowie.

JOWITA DZIEDZIC

Radio Merkury S.A.
Regionalna Rozgłośnia Polskiego Radia w Poznaniu

www.radiomerkury.pl

reklama: tel. (0 61) 865 83 73

radio **Merkury**
POZNAŃ





Moja szopka miała być teatralna, a takiej szopki, jak i samego teatru, nie da się zrobić z drewna, innych zaś materiałów jest tyle, co kot napłakał.

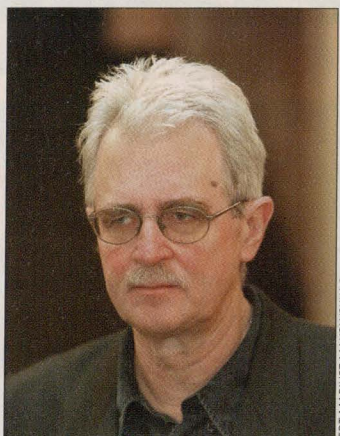
Świąteczny przegląd drewna

RYŚ: TOMASZ DĄBIEC

Oszronione dłuto pruło długi pień brzozy, w radiu śpiewali koledzy, niczym natchniony cieśla Melpomeny strugałem pierwszą w życiu bożonarodzeniową Polską Szopkę Teatralną. W piwnicy było jak w igloo, goła żarówka parowała. Jako pierwszego rzeźbiłem Króla Baltazara, tego od mirry. Biedak nie miał pojęcia, że mirra to symbol, zapowiedź męczeńskiej śmierci Dzieciątka, składał dar w dobrej wierze, w imię życia. Z Baltazarem zawsze tak było: myślał, że idzie w lewo, a w istocie szedł w prawo, miał pewność, że oto otwiera coś olśniewająco nowego, a niechcący otwierał ciemność wcale nie olśniewającą. Taki miał feler. Od urodzenia.

Strugałem Baltazara akurat z brzozy, albowiem mój Baltazar miał być uczyniony na obraz i podobieństwo Krystiana Lupy, a cóż

lepszego na rzeźbę Lupy niż brzoza? Jest długa, wysmukła, ma ciężkie, twarde drewno, nade wszystko zaś żadne inne drzewo świata nie posiada kory tak idealnie imitującej włosy Baltazara-Lupy. Rzeźbiłem więc, świeże serpentyny siwej kory co i raz spadały, by przez sekundę



Krystian Lupa

tańczyć na zamrażniętym klepisku, bezlitosne dłuto odkrywało biały, wilgotny brzuch długiego pnia. Fachowym kozikiem likwidowałem sęki, uśmiechałem się do innych miłych atrybutów brzozy. Być może dla Lupy jako takiego, być może dla sztuki teatralnej Lupy nie ma to wielkiego znaczenia, ale miło było pomyśleć, że brzoza ma kwiaty zebrane w gustowne kotki, że z jej kory można wyprodukować dziegieć, soki zaś są przydatne w kosmetyce – robi się z nich tzw. wodę brzożową. Tak, lekko pachnący i lekko gorzki Baltazar-Lupa – to był walor! I jednak było w tym coś z teatru Lupy, z tych nie kończących się seansów pachnąco-gorzkich. Różnąłem sęki jak oszalały, śpiewałem z radiem o pasterzach, co przybieżeli do Betlejem, o Jezusku – perełce i pieścidełku, o tej nocy, kiedy Bóg się rodzi, a moc truchleje.

Różnąłem i śpiewałem, wzruszałem się i z dumą patrzyłem, jak mój drewniany Lupa nabiera ciała.

Nagle kozik stanął. Nie wiem, przy którym sęku, kozik mój wstrzymała moja potworna myśl, czy sama brzoza aby zdoła naprawdę udźwignąć potęgę artysty teatralnego, który ongiś rzekł o sobie: „Jestem prorokiem”? Przecież brzózka to tylko brzózka, byle wietrzyk ją zegniew, oprzesz się mocniej – gotowa się złamać. Kuda brzózce do tych wieki trwających szamańskich seansów, co się składają z samych środków ciężkości? Kuda tej chudzinie do tamtych myśli fundamentalnych i ponadczasowych? Kuda tej korze jasnej i delikatnej do tamtych ciemności smolistych i jak spiż twardych? Przecież Baltazar jako Lupa z mirrą w garści ma być rzeźbą w miarę wiarygodną? Więc?

Odłożyłem kozik. Spojrzałem na monstrualną kłodę tajemniczej sekwoi, co mi ją wujek z Ameryki przysłał. Wręcz mityczne drzewo, osiagające niebotyczne 100 metrów, bezcenne dla snycerzy, żyjące 2000 tysięcy lat, a na domiar potęgi – sam Zbigniew Herbert napisał o nim wiersz...

Cóż za pech, w końcu wszystko było już precyzyjnie obmyślane, miałem plany ostre tak, jakby mi je ktoś żyłką z mej wyobraźni wyciął, a tu nieoczekiwany dylemat z Lupa. Stajenka betlejemka to miała być prosta fuzja łągodząca obyczaje, oddalająca klasyczne niesnaski, zakopująca odwieczny topór wojenny. Po prostu, fasada to w mej wizji, dekoracyjna fasada Narodowego Teatru w Warszawie, wyrzeźbiona z szynki, długowiecznego cedru (miałem spory kawałek od babci z Libanu), co ma szyszki duże, stojące, jajowate i gładkie, drewno zaś żółtawe, aromatyczne oraz – co dla Narodowego jest nie do przecenienia – odporne na szkodniki. Cedr to wprawdzie drzewo wymierające, ale nie przesadzajmy...

A wewnątrz? Oczywiście, ma stajenka miała mieć wewnątrz Narodowego Starego Teatru w Krakowie. Surowiec – rzecz jasna, stary, mądry, polski dąb, ze swym jakże symbolicznym owocem, czyli orzechem w zdrewniałej miseczce, i ze swą ironiczną cechą – niebywałą odpornością na działanie wody mianowicie. Poza tym, dąb jest kultowy, to znaczy był kultowy, w czasach pogańskich na Żmudzi, ale co z tego, skoro kultowość najwyraźniej jest zaraźliwa? (Nawiasem, ta cecha dębu przydałaby się i figurce Lupy).

W planach mych Świętą Rodzinę, na czele z Dzieciątkiem, wystrugać miałem ze skromnej sosny (przesyłka od kuzynki z Poronina), które to drzewo jest bardzo ludzkie i do tego światłolubne. Żłób z modrzewia (ta sama kuzynka z Poronina) stałby tam, gdzie kiedyś stało, a dziś nie wiadomo gdzie stoi, popiersie Swinarskiego.

Siano widziałem jako siano zrobione z pasm szczerzego złota. To ważne, właściwie kluczowe, bo właśnie do takiego złota nieludsko pchałoby się moi biedni pasterze ze swymi jeszcze biedniejszymi by-

dłatkami, których – pasterzy i bydła – wykonałbym, dzięki wyrozumiałości starej mej ciotki z Wietnamu, wyłącznie z bambusa.

Wyłącznie, bo co się lepiej nadaje na sportretowanie tężyzny naszego teatru – Miśkiewicza i Brzozy, Brzyka i Augustynowicz, Jarzyny i Warlikowskiego, tego i tamtego, tej lub tamtej – niż bambusowy las? Ta drewniejąca bylina z rodziny traw jest idealna. Osiąga wprawdzie zaledwie 30 cm średnicy, ale za to jakże sprintersko dorasta! Aż pełen metr na dobę, w krótkim czasie i, nie wie-



Jerzy Jaroński

dzieć po co, tworząc duszny las o wzroście 40 m. Że nie wspomnę o zasadzie bambusa – służy on mianowicie do wszystkiego. Budownictwo, stolarstwo, snycerstwo, galanteria, piarnictwo, tkactwo oraz plecionki. Aż chciałoby się zawołać – wszystko jedno, czego chcesz w teatrze, postaw na bambus, a będzie ci dane! I jeszcze coś – młode pędy tej byliny są jadalne, co bardzo cieszy młodych krytyków. To wszystko.

Tak właśnie z grubsza miało być w mej, by tak rzec, podwójnie narodowej stajence. Pięknie, cennie, wzruszająco. Tak miało być, ale tak nie będzie, gdyż już w połowie drewnianego Baltazara-Lupy wpadłem w dylemat nie do rozstrzygnięcia, odrzuciłem kozik i dłuto, zapaliłem peta, bo to mi zawsze dobrze robi na skołatane nerwy. Brzoza czy sekwoja? Jeśli brzoza nie udźwignie ani Lupy, ani istoty jego teatru, to jaką mam pewność, że sekwoja udźwignie? Jakby tego było mało – po drodze dąb się pojawił ze swym mistycyzmem.

Więc co mam zrobić? Czy mam Lupa z różnych kawałków sklecić? Czy mam wchodzić w świat nienawistnego mi kekxa snycerskiego? Czy mam się utopić w drewniano-teatralnej intarsji? Jeśli nawet, to czym posklejam szczapy brzozy, sekwoi i dębu? Owszem, babka ze strony matki nadesłała z Brazylii kauczukowca, którego sok mleczny tężeje w klejący lateks, ale tutaj, gdzie jest jak w igloo, gdzie dłuto zamarza, a żarówka paruje niczym pociągowy ogień – pierwsza kropla soku w pół sekundy zamarznie na amen! A nawet jeśli nie, nawet jeśli bym cudem jakimś z trzech rodzajów drewna

zlepił pełnego Lupa drewnianego – to co z resztą? Co z pozostałymi dwoma Królami?

Przy pełnym złota żłobie – złoto właśnie, symbol władzy królewskiej, miał w swej drewnianej garści dzierżyć drewniany Jerzy Jaroński, czyli Król Melchior. Przeznaczyłem dla niego potężny sześcienną baobabu, com

go uzyskał za sprawą niezniszczalnego dowcipnego stryja z Nairobi. Baobab, drzewo samotne, niewzruszone, długowieczne, a właściwie wieczne, które nawet przy pozorach uschnięcia wciąż wydaje duże, dłoniaste liście jadalne i nie chce nic wiedzieć o innych baobabach.

Ot, taka sobie potężna Zosia samosia nie tylko afrykańskiej sawanny teatralnej, potęga, której pień ma w obwodzie – uwaga! – 45 m, czyli tak nieludsko wiele, jak nieludsko wielka i chłodna jest zawartość intelektualna teatru Jarońskiego. No dobrze, ale przecież sam baobab

też tutaj nie wydoli. Bo niby gdzie wzruszenia? Osobiście, dawno, bo dawno, ale jednak, nieźle mnie na Jarońskim coś w gardle dławilo i było to zachwycające – oschłość plus ciepło, matematyka plus iza.

Pięknie i ładnie, ale co z tą szopką? Czy mam może wystruganemu Jarońskiemu przykleić jakiś wiotkie witki z nadwiślańskiej wierzy płaczącej? Bazie nad marsowym czołem baobabowego Jarońskiego – toż to groteska! A Król trzeci? Tu już szkoda gadać.

Szkoda, bo owszem, w planach mych Królem Kaprem, właściwielem kadzidla, czyli symbolu boskości, miał być Jerzy Grzegorzewski, i owszem, miałem go z jesionu (dziękuję ci, ciociu Genowefo, za jesion) wyrzeźbić, ale teraz, gdy doszczętnie wymiękł w połowie brzożowego Lupa, wiem już nie tylko, że sam jesion – jako drzewo o sokach przeczyszczających – nie udźwignie przeczyszczającej mocy sztuki Grzegorzewskiego, który od lat absolutnie przeczyszcza klasykę. Wiem też, niestety, że nawet totalna intarsja – jesion, lipa, buk, limba, pinia i modrzew – niczego by tu nie wskórała. Złapała mnie ta pewność, gdy nagle pękła parująca żarówka. Nastąpiły ciemności. Cóż było zrobić?

Po omacku chwyciłem parę drewnien, poszedłem do siebie, na górę. Zapaliłem w kominku. Z pinii, modrzewia, olchy i z połowicznie okorowanej brzozy poszedł ogień.

Wpatrzyłem się w dym. Dopiero wtedy naprawdę zrozumiałem oczywistość tak banalną, że aż zawstydzającą. Otóż nie będzie mojej szopki, bo moja szopka miała być teatralna, takiej zaś szopki, jak i samego teatru, nie da się zrobić z drewna, innych zaś materiałów jest tyle, co kot napłakał. Trzeba poczekać na lepsze czasy. A drzewo trzeba sprzedać. I całkiem spokojnie zacząłem ssać palec, bo – jak się okazuje – przy niedorzecznej robocie dziabnąłem się oszronionym dłutem.

PAWEŁ GŁOWACKI



Jerzy Grzegorzewski

FOT. WOJCIECH BRUSZCZĄG

FOT. JAN ROLKEFORUM



Mam koleżankę w pracy, której dobre nastawienie do życia poprawia innym humor. A! No tak. Pisałam już o niej. To ta, co w wielkim mieście odnalazła zgubionego psa. Otóż znajduje czasem i inne rzeczy.

My także znajdujemy coś na ulicy, ale być może nie rozmyślamy. Dwuznaczna sprawa. Bo jeśli znaleźliśmy, może ktoś zgubił. Moja mama znalazła dość wuzywane-go małego misia w torebce, więc oddała do Biura Rzeczy Znalezionych, gdzie potraktowano ją „łagodnie”. A przecież po misiu było widać, że jest ukochany.

W każdym razie tamta koleżanka, wędrowniczka z upodobania, szła kiedyś dłuższy czas w górach i zupełnie opadała z sił. Nie miała już nic do jedzenia. Zaczęła marzyć o czekoladzie, którą zostawiła w domu. Wyobrażała ją sobie nad wyraz materialnie. Po prostu szła i pogryzała czekoladę, której nie było. Czas przestał jej się dłużyć i humor się poprawił. Nagle zobaczyła pod krzakiem charakterystyczny zielony z brązowym kolorem (w krzaku dobrze maskujący) i podłużny kształt znany wszystkim. To była wędłowska czekolada z orzechami.

Innym razem moja koleżanka bardzo chciała zapalić papierosa, a nie miała przy sobie zapalniczki. Zaczęła sobie intensywnie przypominać swoją i w tej chwili... No, wiecie. Znalazła oczywiście zapalniczkę. W każdym razie takie historyjki opowiada mi w listopadowe poranki, kiedy trudno się zebrać do pracy, albo w wielki mróz.

Powiedziała mi, że marzy, żeby tymi przypadkami można było świadomie sterować. Znaleźć coś na zamówienie. Zaplanować dalszy bieg wydarzeń. Mówiła to oczywiście pod wpływem nagłych radości niespodzianek.

Czy można sobie wyobrazić świat, w którym naprawdę moglibyśmy takie rzeczy zaplanować? Ja absolutnie nie chcę nagle znaleźć płaskiego monitora do komputera, który sobie już od pewnego czasu wyobrażam. Jakoś go może zdobędę. Ale brak niespodzianek! To straszne. Nawet jeśli niektóre są gorsze niż znalezienie czekolady. O jednym takim, co planował znaleźć jedynie to, co sobie wyobraził, ludzkość już sobie opowiada od wieków. Nazywał się Midas.

MAŁGORZATA BARANOWSKA

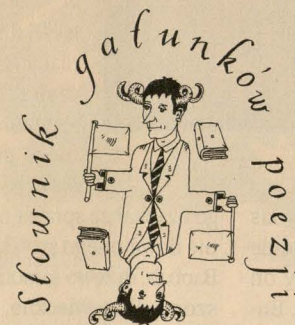
Jak pachną święta

Wyobraźmy sobie święta bez zgiełku hipermarketów, sztucznych choinek wciśniętych w kąty niewielkich pokoi w bloku i nowoczesnych okien z szybami zespolonymi. Wyobraźmy sobie wieś zasypaną śniegiem i drewniany dom, do którego wchodzi się przez mały ganek. Już przez drzwi można wyczuć zapach pięknego się w starym piecu ciasta. Wchodzimy do środka i powoli docierają do nas nowe zapachy – aromat prawdziwej choinki i siana, które leży przy drzwiach i czeka, aż zostanie włożone pod obrus. Świat ze swoimi problemami znikł za oszronionymi szybami. I tylko wylegujący się na zapieku kot budzi lekki niepokój, bo nie wiadomo, co powie o północy...



Niestety, przyszło nam żyć w świecie kaloryferów, plastikowych drzewek, ciast na polepszaczach, pachnących niemal jak proszek do prania, a Japończycy pewnie niedługo skonstruują sztucznego, mówiącego kota. A co z zapachem prawdziwych świąt? Pozostał chyba tylko w nostalgicznych perfumach Guerlaina – Winter Delice (zimowe rozkosze), które najpierw emanują chłodem, przypominając wędrowkę przez zaspę podwórka, potem rozgrzewają ciepłem żywicy i wzruszają wonią igiełek sosnowych, by w końcu rozleniwiać łakomym aromatem ciasteczek, wanilii i przypraw korzennych. Trzeba tylko zamknąć oczy i ściszyć telewizor...

AGATA WASILENKO



STANISŁAW BARAŃCZAK

BUHAIKU

Litery dozwolone: a-b-c-d-e-f-g-h-i-j-k-l-m-o-r-s-t-u-w-y-z
Litery niedozwolone: ą-ć-ę-ł-ń-ó-p-q-ś-s-v-x-z-ż

Co należy wiedzieć o obyczajach i charakterze niektórych byków oraz niektórych matadorów

I
Hodowca wady byka wytyka:
„Byk jest to Bydlak i Bestia dzika.
Hoduj Cielaka, chuchaj i gruchaj,
zawsze wyrasta Brutal i Buhaj”.

II
Buhaj jest jeszcze dzikszy od Byka.
Kiedy mu grozi walka z Buhajem,
Matador autem sportowym zmyka,
zamiast, jak zwykle, miejskim tramwajem.

PRZY CHRISTMAS-TREE WRAZ Z PIERWSZĄ STAR...

„Przeżyliśmy potop szwedzki / Przeżyliśmy i radziecki // Przeżyjemy z łaski Pańskiej / Także i amerykański”. Czyli – że dane nam będzie nadal śpiewać również polskie koledy. Amerykańskie „Białe Boże Narodzenie” czy austriacka „Cicha noc, święta noc” są piękne i ich obecność w polskich domach ma sensowną motywację. Ale zdrowa jest również nadzieja, że nie dożyjemy czasów, gdy Sarmaci zasiądą do wigilii wokół Christmas-tree wraz z pierwszą star.

Obyczaj śpiewania polskich koled wymaga więc pielęgnacji stałej. Dziś przypomnijmy, że zgodnie z niepisaniem, ale powszechnym obyczajem, pierwszą koledą, jaką pater familias intonował, było „Wśród nocnej ciszy”, a dopiero wtedy – nigdy wcześniej! – rozlegało się gromkie „Bóg się rodzi, moc truchleje”. Napisał ją (nazywała się pierwotnie „Pieśń o narodzeniu Pańskim”) w zamku Krasińskich w Dubiecku nad Sanem, przybył tam w 1784 r. z Warszawy przyjaciel króla Stasia, ksiądz Franciszek

Karpiński. Dubiecko było już od pierwszego rozbioru częścią Austrii. Karpiński mimo to – jakby owych zmian granic nie dostrzegał – prosił znad Sanu Boga, by „błogosławił ojczyznę miłą”. Słowa barokowej koledy są dla wielu niezrozumiałe, np. jak nieskończony może mieć granie? Jak wzgardzony może być równocześnie okryty chwałą? Ano, może, bo to, co leży przed nami w żłóbku, jest Bogiem... „Bóg się rodzi” jest koledą, do której bodaj najczęściej dorabiano aktualne słowa. „Bóg się rodzi, a my przecie / Po okopach rozruci / Sławę Polski na bagnecie / Roznosimy po tej ziemi // By się wrogom nie zda wało / Że zdobyli Polskę całą...” – śpiewano w Wigilię pod Tobrukiem. Liczne wersje powstały w stanie wojennym.

(LM)



CO KAŻDY
DUŻY
CHŁOPIEC
WIEDZIEĆ
POWINIEN

Ogólnopolski
program
profilaktyki
prozdrowotnej
dla mężczyzn

Zawsze wiedz, co jesz
Pilnuj cholesterolu
Sprawdź ciśnienie
Dbaj o serce
Nie lekceważ objawów!
Wstydz się wstydzic
Kochaj i bądź kochany
Nie poddawaj się stresom
Zażywaj ruchu
Nie pal!
Pij z umiarem!
Nie nadużywaj!



Książka, którą każdy mężczyzna powinien przeczytać.

Do nabycia w aptekach,
EMPIK-ach i kioskach RUCH-u

Cały dochód z książki przeznaczony będzie na badania mężczyzn z terenów wiejskich.

Partnerzy akcji:



Fundacja Jolanty Kwaśniewskiej
POROZUMIENIE BEZ BARIER



Słowa, które niosą dobro

po prostu: „Szczęśliwej drogi” – dodając czasem: „Z Bogiem...”.

Tak jak kiedyś prapradziadowie życzymy bliskim, przyjaciołom i znajomym „zdrowia, radości, dobrych wydarzeń, pociechy i wszelkich darów Fortuny”. A także, by omijały ich troski, smutki, niepowodzenia...

Najwięcej życzeń dobra i pomyślności płynie zewsząd przed Bożym Narodzeniem i nowym rokiem. Pośłańcy, pocztylioni, listonosze – zawsze w te zimowe dni przełomu czasu krążyli niestrudzenie od domu do domu, dźwigając dobre życzenia. Od połowy XIX stulecia były to świąteczne pocztówki, banalne i artystyczne, wzruszające i humorystyczne, czasem tworzone przez nadawców, o symbolicznej treści, odnoszącej się do adresatów. Aż do pierwszych dziesiątków lat XX wieku chętnie sięgano do mowy wiązanej. Wiele tego rodzaju formułek znaleźć można w starych zbiorach „Życzeń na wszelkie uroczystości rodzinne, oficjalne i okolicznościowe”, wydawanych wielokrotnie aż do lat trzydziestych ubiegłego wieku:

„Niech Wam Rok Nowy rozpędzi zmartwienia,
I los przeciwny zmieni w stały,
Byście szczęśliwie przeżyli wiek cały,
Oto są moje najszczersze życzenia”.

Albo:

„Niech Wam się spełni, co sobie życzycie,
By Wam radośnie upływało życie,
Každy dzień pełen pociech i uroku
Zszedł tak pomyślnie do przyszłego roku”.

Każda gazeta doręczała stałym prenumeratorom laurkę z okolicznościową grafiką i życzeniami:

„Rok Stary skończony
Więc życzeń miliony
Niesiemy Wam na ten Rok
Nowy,
O Panie, Panowie,
Niech szczęście i zdrowie
Nie dają Wam nigdy odmowy”

– taki oto wierszyk przyniósł noworoczny numer „Kuriera Warszawskiego” u progu roku 1902.

„Śmiecie zawsze się wesóło –
Czegóż jeszcze życzyć więcej?
Niech fortuny ślepe koło
Wam przytoczy 100 tysięcy!”

Laurkę otrzymywali, wraz z butelką doskonałego węgierskiego tokaju, stali klienci kupca winnego z Krakowa, Jana Zachaczewskiego:

„Życzę z serca, po staremu,
Topiąc troski w sznapsie, winie,
Miodzie, piwie, ponczu, soku,
Zmian na lepsze w Nowym Roku”.

Stałych odbiorców towarów szanowano powszechnie, do obowiązkowych życzeń dołączano „specjalność zakładu”. Teraz ten obyczaj jakby wracał.



Znajomi, pytani, czy w ostatnich latach dostali w czasie świąt życzenia wyrażone w bardziej oryginalny sposób, na ogół odpowiadali przecząco, niemniej dwoje pokazało mi noworoczne gratulacje z minionego roku, nawiązujące do tradycji:

„Zdrowia, szczęścia, powodzenia,
Jakiś pojazd, trochę mienia
I dyplomu doktorskiego
W pierwszy dzień Roku (i Wieku) Nowego –
Życzy Ci...”.

„Uścisków tysiące – i tyleż całusów,
cmok, cmok, cmok
na nowy Wiek i Nowy Rok”...

A oto życzenia, które właśnie nadesłał pewien bankowiec z Warszawy (stąd procenty i cyfry w treści SMS – coraz częściej posługujemy się współczesnymi środkami komunikowania się):

„Pomyślności – 25%
Witalności – 25%
Radości – 10%
Powodzenia – 20%
Planów spełnionych – 10%
Dobrego humoru – pomimo wszystko – 10%
Razem 100% wszystkiego,
co najlepsze na Nowy Rok! – dla wszystkich,
którzy będą czytać tę stronę «P»”.

BOGNA WERNICHOWSKA

PADMA 28 – DBA O ZDROWIE CAŁEJ RODZINY

DLA DZIECI – naturalny sprzymierzeniec układu odpornościowego

DLA RODZICÓW – kompleksowa profilaktyka miażdżycy, zapobiega zawałom serca i udarom mózgu

DLA DZIADKÓW – leczy zaawansowane postaci chorób krążenia, utrzymuje w formie fizycznej i psychicznej

Przed użyciem przeczytaj ulotkę

TYMOFARM LECZYMY PRZYCZYNĘ CHOROBY
tel. (0-22) 646-02-38, internet: www.tymofarm.pl



ZDROWY PREZENT!

Znane były ludziom od zawsze i używane, od kąd człowiek posiadał umiejętność mowy w stopniu, jaki pozwalał mu wyrażać uczucia wyższe i bardziej złożone duchowe doznania.

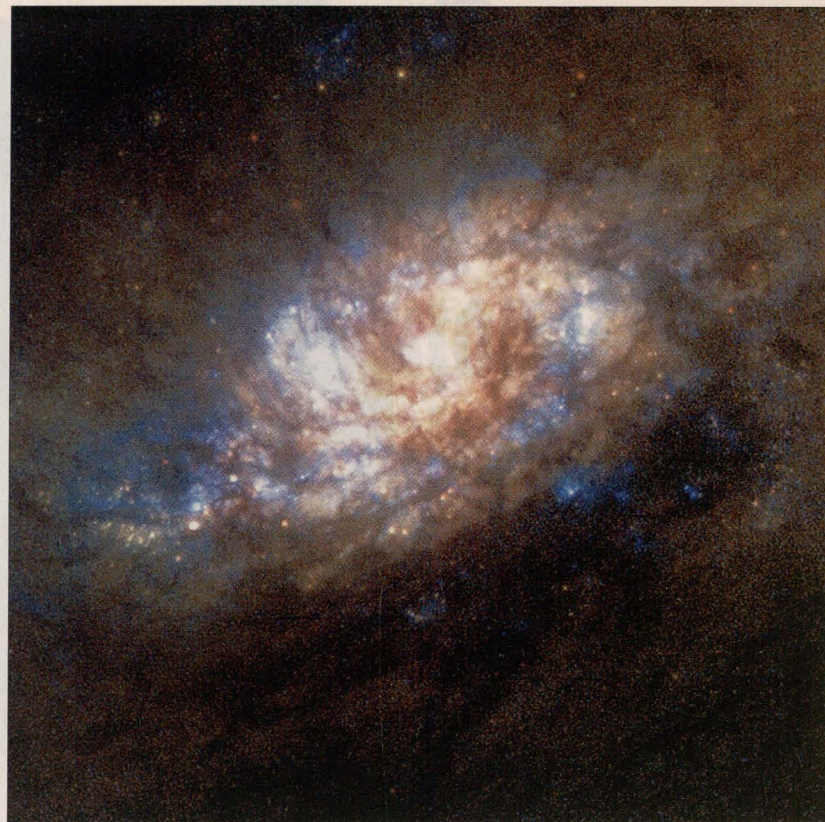
Chociaż, jak twierdzą etnografowie i historycy kultury, nasi przodkowie znali więcej słów czy zwrotów związanych z emocjami negatywnymi – przekleństw, klątw, złorzeczeń, to jednak przetrwały do naszych czasów formuły błogosławieństw, gratulacji, życzeń wszelkiej pomyślności i dobra.

Ich treść niewiele zmieniła się od tysiącleci. Ale miejsce imion starożytnych bóstw zastąpiły imiona Boga, Marii czy świętych orędowników w rozmaitych sprawach. „Bezpiecznej drogi, szczęśliwej podróży – niech Janus i Merkur cię strzegą” – życzyli wyruszającym w podróż Rzymianie. „Niech się Wami opiekuje św. Krzysztof, św. Mikołaj i Archanioł Gabriel w czas podróży” – mówili ludzie średniowiecza i renesansu, przywołując świętych uchodzących za patronów podróżnych. Dziś mawia się

FOT. ARCHIWUM „P” (2)

Absolutnie pierwsza gwiazdka

Czy kiedyś z nosem przyklejonym do zamrożonej szyby wypatrywaliście pierwszej gwiazdki na wigilijnym niebie? Przecież bez tego święta nie byłyby udane. Posłuchajcie więc naukowej opowiastki o pierwszej gwiazdce.



Dawno, dawno temu, naprawdę dawno, bo aż przed 10-12 miliardami lat nie było na świecie nic. Bo w ogóle nie było świata ani nawet czasu. Jeżeli istniało wtedy cokolwiek, na pewno nie warto o tym opowiadać bajek, bo byłyby strasznie nudne. Poza tym w bajkach muszą następować zwroty akcji. No to proszę: nagle nastąpił Wieeeelki Wybuch!

Dlaczego nastąpił i jak wyglądał, tego nawet najmądrzejsi ludzie jeszcze nie wiedzą. Ważne jest jednak to, że właśnie z niego wyłonił się nasz świat. Wówczas jeszcze bardzo mały, młody i gorący, ale szybko dorastał, by stać się wielkim wszechświatem.

Wyobraźmy sobie, że ów świat rósł trochę tak jak nadmuchiwany balon. Ale jego powierzchnia nie była gładka. Pojawiły się na niej zmarszczki i fałdy. Te zmarszczki były miejscami, w których zbierało się więcej materii niż w innych. Im większy stawał się wszechświat, tym wyraźniej było widać, że wypełniające go proste gazy – wodór i hel – trzymają się razem i tworzą wielkie kosmiczne obłoki, rozdzielone niemal zupełną pustką.

Pytacie, czy wszechświat bez tych zmarszczek i obłoków nie byłby ładniejszy? Oj, chyba nie. Co prawda, gładki i równy, ale znów groziłaby mu... nuda. W takim wszechświecie nie wydarzyłoby się nic ciekawego, a już na pewno nie mielibyśmy żadnych gwiazd na niebie. Ani planet. Ani choinek.

Ale wracajmy w kosmiczne obłoki. W przyszłości miały się one stać galaktykami – wielkimi skupiskami gwiazd, takimi jak nasza Droga Mleczna widoczna na niebie w pogodnej nocy. Na razie jednak nie było jeszcze żadnych gwiazd.

A jak się narodziły? Ano właśnie. Tego do niedawna najmądrzejsi ludzie świata nie wiedzieli. No, bo czy te pierwsze były duże, czy małe? Czy miały liczne rodzeństwo? A może zamiast gwiazd najpierw narodziły się żarłoczne czarne dziury?

Mądrzy ludzie dumali i dumali, aż udało im się zbudować komputer tak duży, że mogli mu zadać takie pytanie: „Jak powstała pierwsza gwiazdka?”. (Tak naprawdę to pytanie było bardzo skomplikowane, bo mądrzy ludzie przerobili je na program komputerowy). Maszyna rozgrzała 16 swoich potężnych procesorów i liczyła, liczyła, aż wyliczyła. Ba, nawet narysowała!

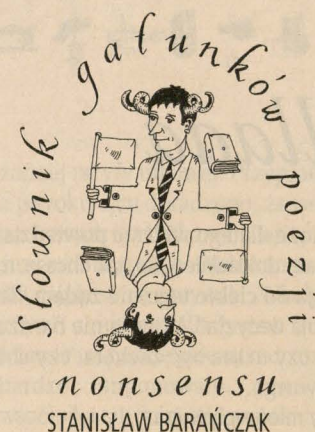
I oto oczom mądrych ludzi ukazał się taki obraz: od narodzin wszechświata upłynął jakiś miliard lat, wodór i hel zbijają się w wielkie obłoki i oto znienacka pojawia się w nich pierwsze światło, potem kolejne i kolejne... To właśnie pierwsze gwiazdy. Gwiazdkami nazywać ich raczej nie będziemy, bo komputer wyliczył, że były sto razy cięższe od naszego Słońca. A ono przecież nie jest takie małe – waży ponad 330 tys. razy więcej niż Ziemia.

JAN STRADOWSKI

Na komputerowych obrazkach widać też, że pierwsze gwiazdy były samotnikami. Do swego rodzeństwa miały daleko, więc świeciły w wielkich obłokach, spalając swoje gazowe paliwo. W ich wnętrzach z wodoru i helu powstawały cięższe pierwiastki, których wcześniej we wszechświecie prawie nie było. Aż wreszcie pierwsze gwiazdy dorosły na tyle, że zmienił im się charakter. Stawały się bardzo gwałtownymi supernowymi. Jedna za drugą eksplodowały, rozrzucając po całej okolicy wyprodukowane przez siebie pierwiastki chemiczne.

Oczywiście nasza historia nie kończy się w ten sposób. Z tego rozrzuconego materiału powstały kolejne pokolenia gwiazd. Każde z nich jeszcze dokładniej przetrawiało gwiazdą materię i coraz więcej w niej znajdowało się tych pierwiastków, które dziś są nam dobrze znane: tlen, węgiel, azot, żelazo... Wszystko to, co wchodzi w skład naszego świata i nas samych.

Czas na morał: gdyby nie pierwsze gwiazdki, nie byłoby tej opowiastki. Bo to z gwiazdnych resztek powstały planety, a nawet księżycy i piękne komety. Aż pewnego dnia w kosmosie pojawiły się łosie, zmrożone pięty, święta i prezenty. Ale to już zupełnie inna bajka.



BEZRYMERYK

czyli limeryk pozbawiony rymów, lecz nie pozbawiony głębszego sensu.

Futurolog, spytany w Ostendzie:
- Będzie Koniec Świata? - rzekł:
- Nie mogę!

Urlop, leżę na plaży,
Nagle - tłum żurnalistów!
Media - ślepe sensacji narządy!



ILUSTRACJA KRZYSZTOF KOKORYN

Karp rybka akwariowa

Agnieszka Wołodźko, kurator Centrum Sztuki Współczesnej Łaźnia w Gdańsku, proponuje alternatywny sposób traktowania karpia.

Oto instrukcja obsługi nowej tradycji:

1. Absolutnie nie należy zrywać ze zwyczajem przebywania z karpem podczas Świąt Bożego Narodzenia. Karp powinien jak zwykle zamieszkać z rodziną, aby domownicy mogli się nim cieszyć.

2. Zamiast wrzucać karpia do wanny, przygotowujemy dla niego akwarium z wodą. Karp staje się w ten sposób rybka akwariowa. Powinien mieć do towarzystwa kilka innych karpów. Ich liczbę uzależnimy od wielkości akwarium (nie może być tłoku) i własnych możliwości finansowych.

3. Akwarium z karpami ustawiamy obok choinki i zaprzyjaźniamy się z rybami.

4. Ryb nie dokarmiamy, ponieważ karpie zimą mało jedzą, a więcej śpią.

5. Obserwujemy karpie i próbujemy dojść z nimi do porozumienia. Patrzymy, czy jest im dobrze, czy też nie.

6. Gdy widzimy, że karpie chcą już wrócić na wolność, bierzemy wiadra z wodą oraz dzieciaki (własne i z sąsiedztwa) i jedziemy do najbliższego stawu.

7. Wrzucamy karpie do stawu ku radości dzieci, naszej własnej i karpów, oczywiście też.

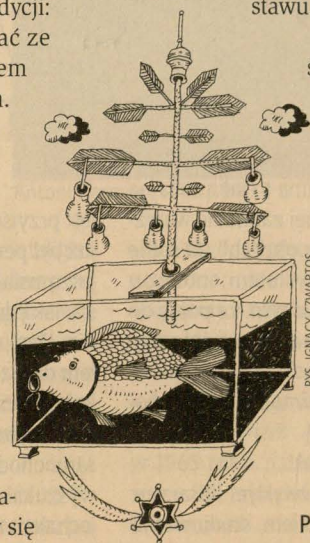
Uwaga:

Poglądowa lekcja odpowiedniego traktowania karpia rozpoczęła się 17 grudnia w Centrum Sztuki Współczesnej Łaźnia w Gdańsku w ramach „Wystawy Świątecznej”. Pośród 35 choinek udekorowanych przez artystów i dzieci stoją dwa akwaria z tuzinem karpów.

BEATA MACIEJEWSKA

PS redakcyjne:

Fotograf „Przekroju”, Bogdan Krężel, już skorzystał z powyższych rad. Fotografował na potrzeby naszych łamów karpia, któremu nadał imię Stefan. Po udanej sesji fotograficznej karp wrócił do macierzystego akwenu, gdzie na zimę zapadł w sen. Dobranoc, Stefanie.



RYB. IGNAĆ CZWARTOS

WŚRÓD GŁUPSTW ŚWIĄTECZNYCH JEST RÓWNIEŻ DRZEWKO...

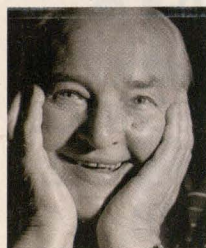
grzmiał na kazaniu już w 1604 r. niemiecki pastor Dannhauer, ale nawet największe grzmoty nie pomogły: germański zwyczaj ubierania w Gody przyniesionego z lasu drzewka nie tylko nie zanikł, ale przeciwnie – zrobił światową karierę.

Do Polski przywędrowało Baum z niemieckiej Alzacji na przełomie XVIII/XIX w. wraz z nową niemiecką administracją Poznańskiego. W Prusach, na Pomorzu, Mazowszu i Podlasiu stawiano i strojono w domach większe i małe drzewa. Były nimi zazwyczaj sosenki, czyli „choinki”. Nazwy tej używano wobec wszelkich drzew iglastych, więc – jako uniwersalna – weszła szybko do bożonarodzeniowego słownictwa.

Aliści w Małopolsce – we Lwowie, Krakowie, Zakopanem, etc. słowo „choinka” nie oznaczało „małego drzewa szpilkowego”, lecz jedynie gałąź sosny, a nawet – o zgrozo – gałąź drzewa liściastego. Bezradni wobec luki językowej Małopole włączając do słownika „wypożyczili” sobie od Niemców słowo „Christbaum”, czyli „Boże drzewko”. A że obecnie w Krakowie, Tarnowie czy Trzemeszynie stoją wyłącznie choinki? Ha, to już zasługa unifikacji języka: w centralnej telewizji i radiu, opanowanym przez Mazowszan i Wielopolan, od lat nikt już nie mówi „drzewko”. Ostatni bodaj nakazowy sposób regulacji świątecznego nazewnictwa miał miejsce w grudniu 1970. Po wydarzeniach na Wybrzeżu cenzura kreśliła „bombki choinkowe” zmieniając je na „bańki choinkowe”. (LM)



RYB. A. MACEDOŃSKI



LUDWIK JERZY KERN
ROZMAWIA
Z ANTONIM
OREMUSEM

Ślusarska ballada

W czasach murarskich trójek i całych brygad stachanowców, kiedy utrzymanie pionu w ścianie albo kąta prostego graniczyło z prawdziwym cudem, rzemieślnik wykonujący swoją robotę precyzyjnie wzbudzał szczery zachwyt. I podziw, że potrafi, i uznanie, że mu się chce. Ale jednocześnie i politowanie. Frajer, niepotrzebnie się tak pieści i traci tylko czas na dyrdymały. Oremusom się chciało i potrafili. I dlatego z prawdziwą przyjemnością wpadałem do ich staroświeckiego nieco zakładu na Rakowicką. Tego zakładu już nie ma. Nie ma też Antoniego.

– Zasadniczo, to ty jesteś ślusarz, prawda?

– Tak, jestem ślusarz. I to z urodzenia! Re-prezentuję trzecie już pokolenie ślusarzy Oremusów. Natomiast jako rzemieślnik jestem pokoleniem czwartym, bo ojciec dziadka, czyli mój pradziadek, był bednarzem. Bednarzył w Wieliczce.

– Znasz zapewne ten monolog Tuwima o ślusarzu...

– Co to mu droserklapa ryksztosuje...

– ...bo tandetnie blindowana i teraz pufer trzeba lochować, czyli dać mu szprajc, żeby śtender udychtować. Czy ślusarze posługują się jeszcze takim językiem?

– Raczej nie.

– Tuwim zresztą, moim zdaniem, gruntownie się pomylił, dając temu świetnemu monologowi tytuł „Ślusarz”. Przecież to on, Tuwim, bo to jest pisane w pierwszej osobie, tego faceta wezwał, bo w łazience mu się coś zatkało, kapąło i charczało, a specjalista od takich zatkań, charczeń i kapań w łazience nazywa się nie ślusarz, a hydraulik. Ale mów, jak zostałeś tym ślusarzem i właścicielem starej renomowanej firmy. Najpierw skończyłeś studia.

– Tak, Wydział Odlewniczy Akademii Górniczo-Hutniczej. Po studiach musiałem iść do pracy. Nawet nie tyle iść, co dojeżdżać do jednej takiej spółdzielni w Chrzanowie. To było dość uciążliwe. Po jakimś czasie ktoś ze starszych moich znajomych, ktoś, kto wiedział, że ojciec ma zakład, zaczął mnie przekonywać, że nie ma to jak praca na swoim. „Panie Antosiu, lepiej zamiatać warsztat u siebie, niż pracować u obcych”. Ja sobie to wziąłem do serca i pomyślałem: może on ma rację? Zacząłem myśleć o tym, że pójdę do roboty do ojca. Ojciec jednak specjalnie o to nie zabiegał.

– Ale dlaczego? Nie chciał w tobie widzieć kolejnego ślusarza w rodzinie?

– Nie, może nawet chciał...

– Przecież twój ojciec nie był zwykłym ślusarzem. Był wykształconym człowiekiem, studiował za granicą, znał języki...

– Tak, i może dlatego właśnie powiedział mi, to pamiętam dokładnie: „No, jak chcesz, to przyjdź, ale ja od ciebie tego nie żądam. To musi być twoja decyzja”. Więc ja nie bardzo wiedziałem, czy to ma być zachęta, czy coś wręcz przeciwnego.

– Na to mogły mieć wpływ czasy.

– Oczywiście.

– Nie bardzo było wiadomo, co będzie z rzemiosłem, czy tego wszystkiego nie pozabierają, nie rozpędzą w diabły i tak dalej.

– Ojciec nie chciał, żebym ja później miał jakieś pretensje. Tym bardziej że jak ja już się zdecydowałem, że przychodzę od nowego roku do ojca i wypowiedziałem w spółdzielni, to prezeska tej spółdzielni przyjechała do ojca i mówi mu tak: „Proszę pana, niechże pan syna nie namawia do siebie, przecież wie pan, jakie są czasy, prywatna inicjatywa nie ma przyszłości, a my byśmy chcieli, żeby syn przeszedł teraz do Krakowa na wiceprezesa do spraw technicznych. To przecież jest awans”. A ojciec jej na to: „Proszę pani, to syn sam zadecydował. Ja go ani nie namawiam, ani mu nie odradzam”. I od tego się zaczęło. Przyszedłem do ojca do pracy

i stanąłem przy warsztacie tak jak każdy jeden pracownik. No i dostałem robotę, pierwszą robotę...

– No dobrze, ale przecież znałeś ten zakład od dziecka.

– Zakład znałem.

– I co? Nigdy w nim nic nie robiłeś?

– Zawsze robiłem. Tylko co innego

jest przyjść na chwilę i coś zrobić dla siebie, a tu już był pewien rygor. Już byłem pracownikiem, już musiałem zarobić na siebie. Pierwsza pensja, jaką dostałem, to było trzy tysiące miesięcznie. Po sześciu latach, jak ojciec umierał, miałem dalej te trzy tysiące. Nie awansowałem, aczkolwiek czasem mi ojciec coś tam dawał, jakieś premie, to na to, to na tamto. Jak kupowałem samochód, taką starą syrenę, którą gdzieś tam wyszukałem, to mi coś dołożył. Ale zasadniczo jechałem na tych trzech tysiącach. No więc stanąłem do warsztatu. Osiem godzin dziennie bez



żadnej taryfy ulgowej. Przpracowałem rok, a po roku ojcu doradzono, że ze względów finansowych i podatkowych lepiej by było, żebyśmy zrobili spółkę. Ojciec na to przystał. Firma najpierw się nazywała „Władysław Oremus i Syn”, a potem „Władysław Oremus i Ska”. Mam te wszystkie pieczątki do dzisiaj. Mnie to bardzo imponowało, ten współnik i tak dalej. Ale współnictwo kończyło się na tym, że było na pieczętce i tyle. Dopóki ojciec żył, ja z tego współnictwa nic nie miałem. Byłem zorientowany, naturalnie, ile co kosztuje, jak się kalkuluje, we wszystko byłem wprowadzony, ale pieniądze były w kasie, zamknięte na klucz. A klucz od kasy miał ojciec. Mnie by nawet nie przyszło do głowy, żeby ojcu powiedzieć, że przecież jako współnik mógłbym sobie coś z tej kasy czasem skubnąć.

– Jednym słowem spółka, czyli ty, nic nie miała z tego interesu.

– Tyle tylko, że jako ta Ska byłem na pieczętce.

– Oprócz tego, że skończyłeś ten Wydział Odlewniczy na AGH, masz chyba jakieś studia humanistyczne, jakąś historię sztuki czy coś w tym rodzaju, bo takie odnoszę wrażenie.

– Nie, ja tylko uważam, że skończyłem bardzo dobre Liceum Ogólnokształcące im. Jana Kochanowskiego. Kiedy poszedłem na studia, to przeżyłem szok. Zjawiała się młodzież z całego prawie kraju, z tych różnych techników i zawodówek i wiesz, to byli sami ćwierćinteligenci. Ja bynajmniej nie byłem orłem, byłem przeciętnym uczniem, ale jeśli chodzi o ogólne wiadomości, to oni byli daleko w tyle. To była rozpacz. Za to oni nas bili w fachowych sprawach. – W tamtych czasach była taka powszechna opinia, że na AGH idzie najlepszy element.

– E, chyba najgorszy.

– No widzisz, a tak się wtedy mówiło, że na Politechnikę i na AGH to idą ci najlepsi, bo tam potem są dobre posady.

– Tak, ale w sensie humanistycznym to było to bardzo słabutkie.

– A najgorszy element, same odpady, tak się wtedy mówiło, szedł wiesz gdzie? Do szkół pedagogicznych.

– No tak, kto gdzie indziej się nie dostał, tak było.



Antoni Oremus (17 III 1940 – 6 III 2001).

– Kto się do niczego nie nadawał, szedł na nauczyciela, rozumiesz? To było tragiczne. Ale skończmy z tym biadoleniem. Wiem, że śpiewasz i to nie tylko przy warsztacie, ale w prawdziwym chórze. Zacząłeś w nim śpiewać będąc jeszcze studentem?

– Nie, już po studiach, dokładnie w 1965 roku. Jako chłopak śpiewałem u Suwary. Był taki chór chłopięcy w krakowskiej Filharmonii, ale rozrabiałem, i mnie z tego chóru wyrzucili. Lubię muzykę, jednak spe-

cialnym jakimś znawcą muzyki nie jestem. Śpiewam w chórze „Echo”, który powstał 75 lat temu z byłych członków Chóru Akademickiego. Wtedy był taki napływ do Chóru Akademickiego, że ci, którzy kończyli studia, już się w nim nie mieścili. I oni właśnie założyli chór „Echo”. Założył go Wallek-Walewski i on był pierwszym dyrygentem.

– Jeździecie po świecie?

– Jeździmy. Dawniej wyjeżdżaliśmy prawie co roku do sąsiadów. Robiło się różne wymiany. To było za darmo. Teraz za wszystko trzeba płacić, ale za to jeździmy na Zachód. Owszem, czasem zdarza się wymiana. My ich przyjmujemy tu, oni nas goszczą tam. Zapewniamy sobie tylko jakiś środek transportu i jedziemy. Nie przekracza to naszych możliwości.

– W jakiej grupie głosów śpiewasz?

– W tenorach. Nawet czasem solówkę dostaję.

– A jaki repertuar macie?

– Przeróżny, od muzyki polifonicznej po Brahmsa i Beethovena. Śpiewamy trochę różnych rzeczy z muzyki poważnej, no i śpiewamy także repertuar operowy, na przykład ten sławny chór z opery „Nabucco”. Dawniej, kiedyś mieli akompaniatora, tośmy śpiewali trochę Moniuszki. Stałym punktem programu był prolog do „Strasznego Dworu”, polonez z „Halki”, no, tego typu utwory. Ten chór był w moim życiu odskocznią od codzienności

i czymś, co bardzo polubiłem. Teraz chodzę tam jakby z rozpędu. Dalej lubię śpiewać, ale już czasami próby zaczynają mnie męczyć. Chodzę tam głównie po to, żeby się spotkać z przyjaciółmi.

– Nie wiem, czy ty wiesz, jak ja się z waszą firmą zapoznałem?

– Dom budowałeś i coś tam potrzebowałeś. – Tak, przyszło w końcu do drzwi i do okien. Ja myślę sobie, jakie koszarne są te klamki i okucia, we wszystkich sklepach ta sama tandeta,

FOT. STUDIO H. GARZYŃSKIE-KAŃSKIE



obrzydlstwo wręcz. I pomogła mi moja teściowa, która pracowała na Wawelu. Ona mi powiedziała, że jest taki zakład Oremusa, pewnie dobry, bo jak trzeba coś zreperować, jakąś kratę po królowej Jadwidze, odnowić drzwi po Kazimierzu Odnowicielu czy dorobić wytrychy do sypialni Barbary Radziwiłłówny, to wzywają waszą firmę. Więc ja zjawiłem się u twojego ojca, a jemu spodobało się, że znalazł faceta, który nie może na te okropieństwa patrzeć. Zaczął szukać w tych waszych różnych składach i pakamerach, wśród rozmaitych rupiec z poprzednich epok.

– To było gdzieś w latach sześćdziesiątych. Ja już wtedy pracowałem u ojca i pamiętam to. Z przedwojennych wzorów zrobiliśmy ci eleganckie klamki do drzwi i okien.

– Do dzisiejszego dnia bardzo dobrze się prezentują i wytrzymują konkurencję z tym, co napłynęło po naszym wtargnięciu do Europy. Mam teraz ochotę zapytać cię o Bractwo Kurkowe. W stosunkowo młodym wieku byłeś już i Marszałkiem, i Królem Kurkowym.

– Zapisalem się do Bractwa w 1974 roku, a w dwa lata potem byłem już Marszałkiem, głównie pewnie dzięki temu, że dziadek był Królem Kurkowym.

– A ojciec?

– Ojciec też był. Zawsze w Bractwie mówiłem, że Oremusowie to monarchia dziedziczna, bo królowały trzy pokolenia.

– Bractwo Kurkowe jest stowarzyszeniem dosyć elitarnym i nieco snobistycznym, biorąc zwłaszcza pod uwagę, że jest to teraz najstarsza ze wszystkich polskich organizacji. Działa od Zygmunta Augusta...

– No, jeszcze wcześniej, od średniowiecza. Zygmunt August nadał tylko przywilej krakowskiemu Bractwu, który polegał na tym, że król, czyli ten, który zestrzelił tego drewnianego koguta, był przez cały rok zwolniony od podatków i ceł, a ponadto dostawał jeszcze jakąś tam określoną ilość łokci sukna na portki.

– Czy obecne urzędy skarbowe respektują te królewskie przywileje?

– Wiesz, że od pewnego czasu tak. Ja zostałem Królem Kurkowym w 1981 roku. Byłem jednym z najmłodszych i w związku z tym wymyśliłem sobie przydomek Jeden z Młodszych.

– A fiskus cię zwolnił z podatku?

– Nie, mnie jeszcze nie, bo ten pomysł powstał dopiero potem. To jest załatwiane w ten sposób, że wprawdzie król jest zwolniony od podatków, ale tylko w tym sensie, że nie wpłaca ich do skarbu państwa, a musi tę podatkową sumę przekazać Bractwu. To ma dobre i złe strony. Dobre,

bo Bractwo uzyskuje pewne fundusze na swoją działalność, a złe, bo odkąd to wprowadzono, to lansuje się takich, którzy płacą największe podatki.

– I tutaj dochodzimy do tego punktu, o który chcę cię zapytać i mam nadzieję, że mi odpowiesz szczerze. Bo wiesz, jakie krążą po mieście plotki, że Król Kurkowy mianowicie wybierany jest poprzez różne wstępne, dyplomatyczne, powiedzmy, rozmowy. To

znaczy najpierw trzeba znaleźć takiego, co zgodzi się wydać pieniądze na królewską ucztę. Na tradycyjną ucztę „Na Kottowem” sprasza się mnogo ludzi, a nakarmić i napić mnogo ludzi, to mnogo kosztuje. Bo to ma być u c z t a, królewska uczta, a nie eintopfgericht. Wobec tego z góry ustala się te finanse.

– Cóż, kandydat strzela, a jak los mu pomoże, no to wola boska.

– Wiesz, co mówi naród? Naród mówi, że wy tam gdzieś strzelacie na strzelnicy desantowców i że tam jest ustawiony ten kurdrewniany i do niego się strzela, i że (tak mówią) tam jest gdzieś taka magiczna linka, która „pomaga” zestrzelić tego kura temu akurat, który zadeklarował tę forszę.

– Coś w tym jest. Już przed wojną temu losowi pomagano. Z tym, że teraz już chyba nie ma tej linki, bo technika poszła naprzód.

– Twój ojciec był wykładowcą krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Ty też nim jesteś.

– To było tak: w roku 1950 upaństwowiali w Krakowie wszystkie zakłady, nasz też miał być upaństwowiony i zamieniony w tak zwany przemysł terenowy. I to w pierwszej kolejności. To był jeden z lepszych zakładów, świetnie wyposażony, jak na tamte czasy. Profesor Budziło, prorektor Akademii, który jeszcze współpracował z moim dziadkiem, zaproponował wzięcie naszego zakładu pod opiekę Akademii i zrobienie z niego placówki dydaktycznej dla studentów. Ojciec został zatrudniony przy Wydziale Architektury Wnętrz. Studenci odbywali praktyki, wykonywali swoje projekty, a ojca mianowano nauczycielem przedmiotów pomocniczych. To trwało do

1957 roku. Potem Akademia zaczęła dzierżawić dwie trzecie powierzchni,

a ojciec w jednej trzeciej prowadził swój zakład i zatrudniał jednego (słownie!) pracownika, który zresztą w naszym zakładzie przepracował całe życie.

– A ile teraz masz pracowników?

– Teraz mam sześciu.

– A ilu było najwięcej w waszej firmie?

– Trzydziestu.

– Za ojca?

– Nie, za dziadka. Zawsze było wtedy dzieściu czeladników i dwudziestu uczniów.

– Więcej wtedy było widocznie tej ręcznej roboty. – To jasne. Jak przyszło piłować, to taki bidny chłopak piłował i piłował, a dzisiaj szlifierką się z grubsza popiłuje, a wykończy ręcznie pilnikiem.

– Na tego wykładowcę Akademii wskoczyłeś po ojcu?

– Tak, kiedy ojciec przeszedł na emeryturę, mnie zaproponowali, żeby to dalej prowadzić, no i ja prowadzę wykłady z technologii metali w drugim semestrze na czwartym roku, raz w tygodniu. Ale prócz tego mam obowiązek pomagać studentom w wykonywaniu ich prac, tego, co sami zaprojektują. W zasadzie to wygląda tak: chłopcy robią sami, a ja im pomagam, a jeśli chodzi o dziewczyny, to ja robię albo pracownicy, a one tylko patrzą. To jest doskonałe uzupełnienie moich, nazwijmy to, wykładów.

– W tym waszym zakładzie przeszedłeś wszystkie stopnie.

– Wszystkie. Chociaż nie, bo nigdy nie zaimiałem. Ojciec mnie dość krótko trzymał i był bardzo wymagający.

– Dawał ci szkołę?

– Oj, dawał. Najbardziej mnie bolało, jak ojciec przechodził do warsztatu i besztował mnie przy wszystkich. No, taki był.

– Mnie się wydawało, że był bardzo miłym człowiekiem.

– Bo był. I był skromny. Był doskonałym fachowcem. Jak przyszedłem do niego do pracy i pokazał mi w warsztacie parę rzeczy, to mnie się dopiero otworzyły oczy. Ja nie przypuszczałem, że ojciec jest aż takim fachowcem.

– A wasze nazwisko. Z czego ono się wywodzi?

– Profesor Dobrzycki, dyrektor muzeum, był zdania, że wywodzi się ono być może z kręgów służby kościelnej albo z ludzi będących blisko Kościoła.

– Jacyś księża...

– No, księża to chyba nie, bo na ogół księża nie miewają dzieci, ale może jacyś kościelni, zakrystianie lub organiści. Ja to nazwisko wykorzystałem. Po wyborze papieża pojechaliśmy do Rzymu trzy osoby z Bractwa Kurkowego, w kontuszach, i zrobiły tam furorę. A w trzy miesiące potem, z okazji otrzymania kardynalskiej purpury przez księdza Macharskiego, kolejna trzyosobowa delegacja Bractwa Kurkowego, w której znajdowałem się ja, przybyła do Rzymu. To było 6 stycznia 1979, a 9 stycznia mieliśmy audiencję w Sali Klementyńskiej, tylko dla krakowian. Wtedy było jeszcze tak, że każdy mógł podejść do papieża i rozmawiać z nim. Ja, kiedy był jeszcze w Krakowie, kilka razy z Ojcem Świętym się spotkałem z racji moich prac dla kościołów,

więc trochę mnie znał. Podeszedłem, wręczyłem mu drobny prezent w postaci specjalnie przeze mnie wykutego orzełka jagiellońskiego, on powiedział „O, Bractwo Kurkowe!”, a ja na to, że wszyscy z Bractwa chcieli przyjechać, ale było tylko miejsce dla trzech. Ja zaś zmieściłem się w tej trójce, ponieważ przeko-

nałem resztę, że to mnie Ojciec Święty czasem nawet kilka razy dziennie wywołuje, modląc się „Oremus...”. Papież roześmiał się, uściskał mnie, bardzo to było miłe.

– Jeszcze powiedz mi coś o swoim cechmistrzowaniu.

– Cech to też była tradycyjna dla mnie sprawa, bo dziadek przed wojną był cechmistrzem, a potem ojciec był podstarszym cechu przez długie lata, no i w 1982 roku, już po śmierci ojca, kandydowałem i wybrano mnie. Byłem cechmistrzem przez dwie kadencje. Ale to cechmistrzostwo miało pewne konsekwencje. Córkę przez to... no nie, nie mogłem powiedzieć, że straciłem, bo nie straciłem, ale przeżuryłem, że tak powiem. Krakowska Izba Rzemieślnicza w roku bodajże 1984 podpisała umowę partnerską z Izbą Rzemieślniczą w Münster. Najpierw były wymiany na szczeblu izb, ja nawet tam pojechałem w delegację, a później przeniesiono tę współpracę na poszczególne cechy. Niemcy wytypowali parę swoich cechów, między innymi cech metalowy z miasta Ibbenburen, mniej więcej trzydzieści kilometrów od Münster. Oni przyjechali do nas, myśmy tam pojechali z rewizytą i wtedy narodził się pomysł, żeby zrobić wymianę uczniów. No i zrobiliśmy tę wymianę, i jeden z tych uczniów zakochał się w mojej córce.

– Praktykował u ciebie, czy jak?

– Nie, nie. To była tylko taka wymiana dziesięciodniowa. Zwiedzali różne warsztaty, zrobiliśmy im wycieczkę do Zakopanego, w Pieniny, a ponieważ Beata była wtedy moją uczennicą, była zarejestrowana jako uczennica... – Miałeś jednak nadzieję, że obejmie?

– Tak, ja na wszelki wypadek zacząłem ją wdrażać w pewne sprawy. No, ale ona na tej wycieczce właśnie poznała chłopca. I tak to się zaczęło. Oni tu przyjechali pierwsi, potem myśmy ich rewizytowali. Tu w Krakowie już coś tam zaczęli między sobą szeptać.

– To chłopak z branży?

– Tak, ja na wszelki wypadek zacząłem ją wdrażać w pewne sprawy. No, ale ona na tej wycieczce właśnie poznała chłopca. I tak to się zaczęło. Oni tu przyjechali pierwsi, potem myśmy ich rewizytowali. Tu w Krakowie już coś tam zaczęli między sobą szeptać.

– To chłopak z branży?

– Tak. Metalowiec.

– Ma jakiś zakład?

– Nie, on był wtedy uczniem w dużym przedsiębiorstwie maszyn budowlanych. Specjalizował się w ustawianiu komputerowych obrabiarek. Jak myśmy tam pojechali, to on już na nią czekał. A to szli na spacer, a to na coca-cole. I pamiętam, że jak wyjeżdżaliśmy stamtąd, a byliśmy samochodem, to on takim starym czerwonym volkswagenem po ojcu, taką dryndą, jechał za nami i jechał. My już wyjeżdżamy z miasta na autostradę, a on jedzie tym czerwonym, widzę go w lusterku. Jechał tak z piętnaście kilometrów. Beata, widzę, też taka jakaś bliska płaczu. Wreszcie zamrugła światłami i zjechał z autostrady. Mówię do Beaty: „Beata, daj spokój, nie myśl już. Ja wiem, że się zdarzają takie rzeczy, że człowiek się zadurzy, ale przecież poważnie o tym nie myśl, bo nie ma sensu”.

Ona się zaczęła uczyć niemieckiego, bo na razie mówili po angielsku, i po roku, jakoś w maju, jechaliśmy z Bractwem Kurkowym do

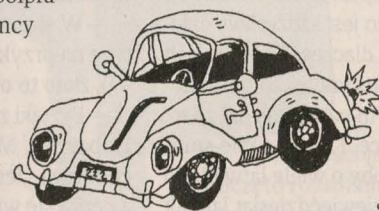
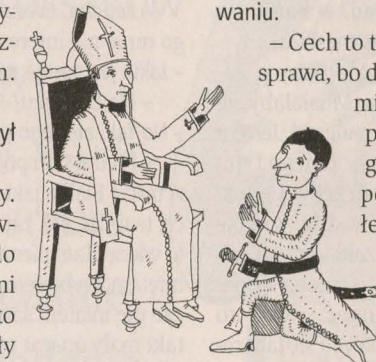
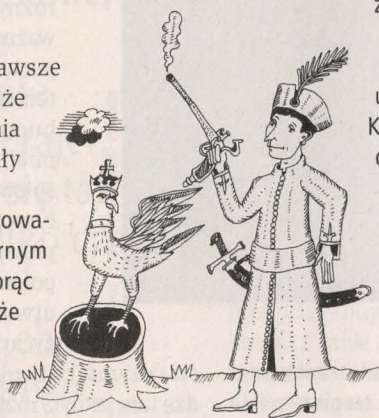
Helden, małej holenderskiej

miejsowości niedaleko Münster, i Beata mi mówi przed tym wyjazdem, że Mathias pisał do niej list i że chce ją zaprosić do siebie na dwa tygodnie na wakacje. Ja mówię: „No dobrze, ale jakże ty tak pojeździsz? Ja najpierw muszę zrobić rozeznanie”.

Jak wracałem z tego Helden, wstąpiłem do Münster, do jednej pani z tamtejszej Izby Rzemieślniczej, którą znałem, i poprosiłem ją, żeby pomogła mi rozeznaczyć sytuację i napisać, czy ja mogę ją tam posłać. No i za dwa tygodnie dostaję list, że mogę z absolutnym spokojem wysłać córkę. I pojechała. Była dwa tygodnie. On chodził do pracy, ona musiała z jego mamą mówić po niemiecku. Jak wróciła, to już znacznie lepiej mówiła.

Pytam ją: „No, jak tam Beatko?”. A ona mi na to mówi: „My nie wykluczamy małżeństwa”. Masz ci los! „Beatko – mówię – to jest twoja sprawa, jeden warunek ci stawiam, żebyś skończyła studia”. A była wtedy po pierwszym roku. „Nie zakładamy – powiedziała – że będzie inaczej”.

W duchu sobie myślałem: jeszcze cztery lata, to się to rozleci. Ale się nie rozleciało. On





przyjechał na Boże Narodzenie, później na Wielkanoc i przez cały ten okres przyjeżdżał dwa razy do roku, a ona jeździła do niego na wakacje. Wreszcie przyjechał tu z matką, później myśmy byli tam, i po czterech latach wzięli ślub, i jest bardzo szczęśliwa. To bardzo dobry chłopak.

– Ale w ten sposób firma straciła następne pokolenie.

– Firma straciła i traci. Sądzę, że się na mnie chyba skończy, ale jakoś się już z tym oswoiłem. Wracając do mojego ojca, to pamiętam taką scenę. Myśmy tam mieli z ojcem różne zatargi typu pokoleniowego, mówiłem ci już o tym. Pewnego razu przyszedł do ojca taki pan, który był już na emeryturze, ale długie lata był kwestorem w Akademii Sztuk Pięknych. Coś tam od ojca potrzebował, rozmawiali, i ja wszedłem do kancelarii...

– Bardzo mi się podobał ten staroświecki emaliowany napis na drzwiach KANCELARYA...

– Tak. I on tak patrzy na mnie, i mówi do ojca: „Wie pan co, pan to jest szczęśliwy człowiek”, a ojciec na to: „A dlaczego?”, „A bo pan ma syna”. Ojciec to jakoś tak lekko potraktował, a ja dzisiaj dużo bym naprawdę dał za to, żeby mieć tego następcę. I zdaję sobie sprawę z tego, że jemu byłoby o wiele łatwiej. Bo jednak to jest prawie dziewięćdziesiąt lat, jak firma w Krakowie istnieje. To jest jednak kawał czasu i to jest coś takiego, co ułatwia.

– I co jest szalenie rzadkie. Coś, co przetrwało te wszystkie zawieruchy i było cały czas takie samo i w tych samych rękach. I reprezentowało ten sam kierunek, i ten sam poziom. Choćby ta latarnia na kościele św. Marka, którą siedemdziesiąt lat temu wykonał twój dziadek, a którą uszkodzili złodzieje czy może chuligani, ty zaś mogłeś to naprawić tymi samymi narzędziami, których używał twój dziadek. Często ci się zdarzają takie roboty przy jakichś szacownych żelaznych zabytkach?

– Robiłem takie renowacyjne roboty w kościele Mariackim. Drzwi na przykład. Tak wyszły, że nie poznać w ogóle, że były naprawiane.

– Te główne?

– Nie, nie te główne, boczne, te od północnej i południowej strony u nas były robione. Główne to były robione do ratusza.

– Mówiliśmy o córce, że jakoś się z tym już pogodziłeś. Czy ona mogłaby prowadzić tego typu zakład, w końcu typowo męski?

– Mogłaby w zasadzie. Musiałaby się dużo nauczyć. Jestem zdania, że tego typu zakład, żeby go można prowadzić, w ogóle każdy zakład rzemieślniczy, to trzeba samemu umieć robić to wszystko, co się tam robi.

bi. Można być dyrektorem dużej firmy, fabryki i nie umieć wykonywać tego, co ta fabryka produkuje. W zakładzie rzemieślniczym takie coś odpada. Szef sam musi umieć zrobić wszystko. Osobiście.

– W tym przypadku kobieta jest dość przegrana. Czy jest w waszym fachu jakaś kobieta-ślusarz?

– W ślusarstwie nie ma, ale w złotnictwie na przykład są.

– O, złoto to one lubią.

– Był taki zakład na Pędzichowie, Hubaczek. Mechanika samochodowa. Jeszcze żył ojciec, a córka się wprawiała. Kiedyś tam przyjeżdżam, patrzę, a dziewczyna leży pod samochodem i przykręca jakieś śruby. Nie wiem, czy do dzisiejszego dnia, ale bardzo długo prowadziła firmę. A nie wyobrażam sobie, żeby kobieta mogła

bić młotem, kuła coś, ale cyzelerskie roboty to mogłaby wykonywać, jakby tylko miała zacięcie. No cóż, lepszy byłby chłopak. Ale trudno! Jedyną moją pociechą w tym wszystkim jest to, że jest szczęśliwa. Ile razy ją pytam, to powiada:

„Tato, nawet w najśmielszych marzeniach nie wyobrażałam sobie, że to będzie taki dobry człowiek”.

– Dobrze im się powodzi?

– Powodzi im się tak, jak wszystkim w Niemczech, którzy pracują. Mogą z tego żyć. Beata też pracuje i jest zadowolona.

– To najważniejsze. A ty, jeździsz jeszcze na ryby?

– Sporadycznie.

– Tak jak ja. Powoli mi przechodzi. Dziadostwo się zrobiło.

– Dziadostwo.

– Strach postawić samochód, wleźć do rzeki i wędrować w dół z muchą.

– Mucha, ewentualnie spinning. Nic innego mnie nie interesuje.

– Jakie jest twoje najulubieńsze miejsce?

– Na Dunajcu? Ptasz Uskok.

– No tak, ale tego przecież już nie ma.

– Kiedyś tam pojechałem, to płakać się chce. A ujście Białki, jakie było przepiękne. Te jałowce, te rydzy, jak zamknę oczy, to jeszcze dzisiaj to widzę. Tam pierwszą głowacę złowiłem. Pamiętam, wybrałem się kiedyś autobusem, jeszcze nie miałem samochodu i wziąłem ze sobą taki mały aparat radiowy. Tam na tym ujściu Białki przysiadłem, żeby coś zjeść i otworzyłem radio. Nadawali akurat któryś z koncertów Szopena. Ja nigdy nie przeżyłem tak muzyki Szopena, jak wtedy, tam nad tą wodą, w tej scenerii, w tej ciszy; z jednej strony w tle góry, z drugiej strony dwie zbiegające się wspaniałe wody, coś cudownego!

– Jaką największą i najładniejszą rybę złowiłeś.

– Głowacę.

– Na spinning?

– Na spinning. Największą na spinning, ale na muchę też miałem. Ta na muchę ważyła około sześciu kilogramów, a ta na spinning siedem i pół.

– Zostały nam jeszcze na koniec nasze psy. Obaj mieliśmy całymi latami psy i to tej samej rasy. Teraz obaj nie mamy. Oglądasz się jeszcze na ulicy za psami?

– Za bokserami zawsze.

ROZMAWIAŁ LUDWIK JERZY KERN RYSUNKI IGNACY CZWARTOS

„POGADUSZKI” to cykl rozmów Ludwika Jerzego Kerna na bardzo różne i ciekawe tematy. Rozmawiał m.in. z Marianem Eile (twórcą „Przekroju”), Jerzym Grohmanem (reprezentantem wielkiego łódzkiego przemysłu), Stefanem Kisielewskim (specem od pokazywania języka), Jerzym Waldorffem (ostatnim rasowym Mocumpanem) i paroma innymi interesującymi osobami. Wkrótce „Pogaduszki” ukażą się w zbiorze przygotowywanym przez Wydawnictwo Literackie.

W Polsce najchętniej fałszuje się pastele Witkacego, obrazy Jerzego i Wojciecha Kossaków oraz klasyków malarstwa XX w., a także stare srebra i brązy. Zwalczanie fałszerzy to zadanie na miarę Don Kichota.

ELLA MAYER
RYSUNKI TOMASZ DANIEC

Uwaga: fałszyfikat!

Na fałszyfikaty dał się nabrać nawet Utrillo. Kiedy pokazano mu jego własne płótna i ich podróbki, malarz nie potrafił ich odróżnić. Fałszyfikatów przybywa na całym świecie, także w Polsce, gdzie do niedawna rynek sztuki był tak wąty, że fałszowane dzieła były łatwą do identyfikacji rzadkością.

Czy Kossak to Kossak?

– U nas pojawiają się teraz obrazy malarzy, którzy dawniej nie mieli wysokich cen i nikt



W przypadku Jerzego Kossaka trudno jednak nazwać obraz sfałszowanym, skoro on sam, głównie u schyłku życia, własnoręcznie składał podpis na płótnie pędzla swojego ucznia. Sygnował więc cudzy obraz, uważając go za wystarczająco dobry, by mógł uchodzić za jego własny.

Są też prace Jerzego Kossaka autoryzowane przez ojca – Wojciecha. Ten zresztą podkreśla w liście do żony, że ostatni raz taki kawał przechodzi Jurkowi. Wojciech pisał też o poczynaniach syna: „Coco niech nie puszcza pseudo moich obrazów, ja mam związane ręce, bo nie mogę ze względu na niego nic powiedzieć, a jest tej cholery moc straszna po domach prywatnych” (1929).

Za życia Jerzego Kossaka nikt nie kwestionował autentyczności jego prac, ale po śmierci zaczęto rozróżniać autentyki i te pochodzące z pracowni lub sygnowane „Wojciech Kossak”.

W ostatnich latach dużo sfałszowanych akwrel Juliusza Kossaka przywieziono z Rosji, przepięknie malowane, z tyłu podlepione nawet starymi przedwojennymi gazetami lwowskimi. Przeważnie są to kopie mało znanych prac, ale trafiają się też obrazy w jego stylu, stanowiące doskonałą „kontynuację” dorobku artysty. – W byłym ZSRR istniała bowiem przez kilkadziesiąt lat – wyjaśnia prezes „Desy” – świetna szkoła realizmu, w akademiach uczono studentów pięknie malować i rysować realistycznie. Stąd to wspaniałe rzemiosło. A przecież istnieje już „sztuczny grzybek” i tylko bardzo wprawne oko rzeczoznawcy oceni, czy grzybek na papierze lub płótnie jest autentyczny, czy też jest to plamka niedawno zrobiona.

Nierzadko fałszerze mają takie same zdolności jak oryginalni artyści i potrafią zaczerpnąć z literatury fachowej dokładne informacje na temat finezji i kultury danej epoki, by z powodzeniem „kontynuować” twórczość pewnych malarzy. Mniej zdolni fałszerze są po prostu kopistami dzieł już istniejących. Z wielkich międzynarodowych nazwisk pojawiają się – zarówno w Polsce, jak i na świecie – fałszyfikaty



Ajwazowskiego. Ale obrazy fałszowano już za jego życia – jednak można je odróżnić najczęściej na pierwszy rzut oka. Naśladowało go zresztą wielu rosyjskich malarzy. Czasem zdarza się, że ktoś dopisuje „nazwisko” do kopii z Ajwazowskiego.

Fałszerstwo różne ma oblicza

Nierzadkie są próby świadomego przemycania falsyfikatów, ale też sprzedania obrazu fałszywego. Czasem bowiem całe pokolenia jego właściciele żyły w nieświadomości, wierząc, że posiadają oryginał.

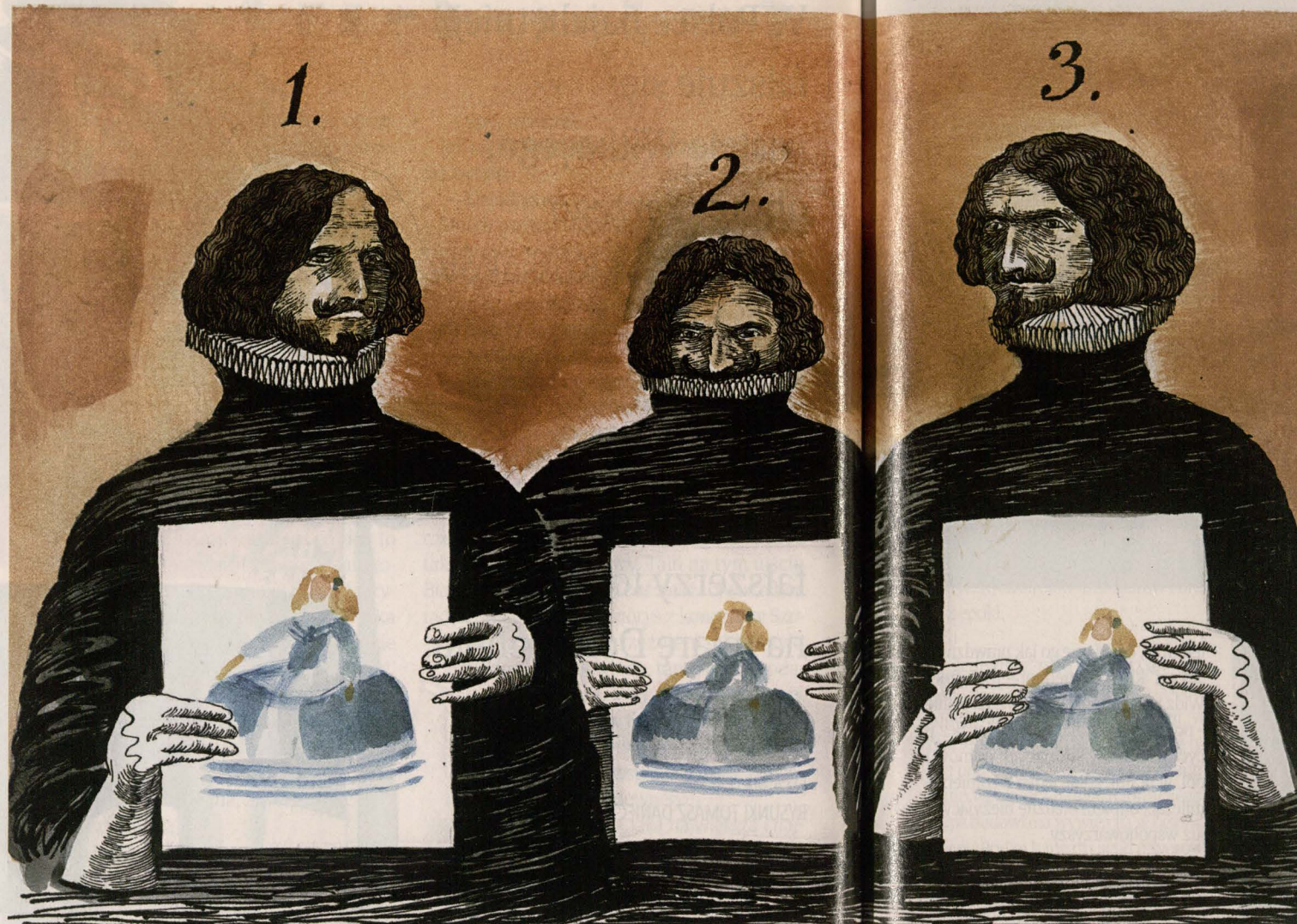
- Fałszerze są dziś coraz bardziej wyrafinowani i zdarza się - mówi Zofia Szukalska, prezes Domu Aukcyjnego „Agra-Art” w Warszawie - że mamy do czynienia z „kompilacjami” lub z „uszlachetnieniami”. W pierwszym przypadku fałszerz fragmentów znanych obrazów danego artysty maluje jeden obraz, który sugeruje, że oto oglądamy nieznane, oryginalne dzieło wybitnego malarza. „Uszlachetnienia” polegają na tym, że z oryginalnego obrazu bardzo dobrego malarza usuwa się sygnaturę i zastępuje ją nowym, wybitnym nazwiskiem.

Wiele wskazuje na to, że pracownia, w której tworzy się falsyfikaty, istnieje w południowej Polsce. Pojawiają się obrazy z „podpisami”: Chełmoński, Malczewski, Axentowicz, Hoffman, Boznańska. Niedawno w jednej ze stołecznych galerii znalazł się „uszlachetniony” obraz Hanny Rudzkiej-Cybisowej, który podpisany był „Jan Cybis”.

„Falszerstwa mimowolne” tak oto wyglądają: istnieje stara, godna zaufania ekspertyza oraz różne dokumenty dotyczące obrazu, który był w czyjejś kolekcji przez wiele lat – okazuje się jednak, że to falsyfikat. Należy szczególnie uważać przy zakupie dzieł Jana Stanisławskiego. Choć cała jego spuścizna została opieczętowana i opisana na odwrocie przez wdowę po nim, miał on w swej pracowni wiele różnych nie podpisanych obrazów uczniów i przyjaciół. Błędem byłoby wszystkie te prace uważać za dzieło Stanisławskiego.

– Często są fałszyfikaty malarzy „szkoły paryskiej” – mówi Piotr Lengiewicz, prezes Domu Aukcyjnego „Rempex” w Warszawie. – Na każdą aukcję przyjmujemy do tysiąca obiektów, wśród nich zwykle wiele jest niepewnych. I tu pole do działania dla ekspertów. Fałszerze prawie nigdy nie dają na aukcję dzieł sfalszowanych, zgłaszają się raczej wprost do galerii, których właściciele często sami uważają się za ekspertów.

– Niezwykle rzadko fałszowana jest „szkoła monachijska”, bo – mówi Zofia Szukalska – np. obrazy Wierusza-Kowalskiego reprezentują tak wysoki poziom malarstwa, że fałszerz



sam musiałby być wielkim artystą. Wszelkie podróbki „monachijczyków” są więc łatwe do wykrycia.

Jeden ze znanych warszawskich ekspertów miał jednak przypadek, że obraz przez kilkadziesiąt lat uznawany przez uczonych za dzieło Brandta – okazał się teraz kopią Brandta, wykonaną na długo przed II wojną światową przez artystę mniej utalentowanego.

Próba szpilki

Ekspertom najmniej kłopotów sprawiają rzekome stare obrazy olejne. Jeśli obraz powstał zaledwie kilka lat temu, wystarczy nacisnąć farbę ostrym narzędziem – często ugina się, bo jeszcze zawiera olej. To się nazywa „próbą szpilki”. Ponadto wiele widać już gołym okiem. Najbardziej podejrzane są obrazy dobrze utrzymane. Liczące kilkaset lat dzieła pamięta wojny, przeprowadzki, pożary, upadki ze ścian. Farba łuszczyła się. Jeżeli są liczne ślady restauracji obrazu, to dobra wskazówka.

Ale trzeba sprawdzić rysy na farbie, które powstały w wyniku odkształcania się podkładu malarskiego. Jeśli obraz rzeczywiście ma kilkaset lat i malowano go na desce, rysy te powinny biec w tym samym kierunku co słoje drewna. Gdy jest to płótno, rysy widać wyraźnie w pobliżu drewnianych ram, na których je rozpięto. Najmocniejsze rysy są na jasnych powierzchniach obrazu, tam gdzie używano białej farby - biała farba zawiera najmniej środków wiążących i jest najbardziej podatna na spękania i rysy.

W ostatnich latach bardzo często podrabia się Witkacego, który - wbrew pozorom - jest niezwykle trudny do sfalszowania.

Często ktoś próbuje wprowadzić w błąd mniej wybrednych klientów na Jarmarku Staroci na Kole w Warszawie – można tam dostać „pastel Witkacego” już za trzysta złotych, przeważnie są to portrety kobiece. Tymczasem portrety pastelowe Witkacego w większości zostały już skatalogowane przez panie Irenę Jakimowicz i Annę Żakiewicz. Planując zakup pastelu, warto więc spojrzeć do ich albumu, który dla fałszerzy stanowi wzór do naśladowania.

nia. Podróbki Witkiewicza to zwykle nieudolne, wręcz karykaturalne kopie i łatwo je rozróżnić na pierwszy rzut oka.

Niedawno jednak w jednym z domów aukcyjnych pojawiła się znakomita kopia Witkowskiego portretu – oryginał znajduje się w zbiorach muzeum w Słupsku – i śmiało mogła uchodzić za słabszego Witkacego.

Na polskim rynku pojawiły się też falsyfikaty dzieł malarzy współczesnych, nawet Jerzego Nowosielskiego. Najchętniej podrabiane są jednak obrazy Władysława Strzemińskiego i Henryka Stażewskiego oraz rzeźby Katarzyny Kobro.

Jeden z marszandów, handlujący sztuką współczesną, aż kilkadziesiąt razy zetknął się z podróbkami prac Strzeмиńskiego – niemal wszystkie były sygnowane identycznie, choć nikt nie podpisuje się za każdym razem tak samo precyzyjnie. Ponadto Strzeмиński dość rzadko sygnował swe prace. Marszandzi i historycy są już niemal pewni istnienia całej pracowni produkującej obrazy Strzeмиńskiego i Stażewskiego – coraz więcej bardzo drogiech falsyfikatów ich prac trafia na Zachód. Aby wieść z Polski taki obraz, często wystarczy

jego brzegi zamalować farbą i w czasie kontroli celnej łatwo udowodnić, że obraz powstał niedawno i farba jeszcze nie wyschła.

Kopista wszystko potrafi

Osobną grupę sfałszowanych dzieł stanowią stare brązy i srebra. W ostatnich latach zwłaszcza brązy osiągnęły wysoką cenę i z powodzeniem fałszuje się nawet wyroby ludwiskarskie.

Z kolei w nowe wyroby ze srebra – będące wierną kopią starych przedmiotów – wklepuje się dziś stare punce srebrne, wycięte najczęściej ze starych srebrnych sztućców. Miłośnik starych sreber łatwo nabiera się więc na autentyczną punce.

Wiele fałszyfikatów znalazło się kiedyś na rynku jako uczciwe kopie. Tak było w przypadku porcelany, niesłychanie modnej w XIX w., kiedy to uwielbiano naczynia i figurki w stylu rokoko i sprzedawano je tysiącami jako kopie. Z biegiem czasu uznawano je... za oryginały. Ale ślady zużycia bywają sfałszowane – w XIX w. ścierano szkło i porcelanę papierem ściernym, aby je sztucznie postarzyć. Porcelanowe przedmioty można badać w promieniach ultrafioletowych, aby odkryć ślady zużycia. Zresztą nawet pod lupą widać podejrzane, równoległe biegnące zadrapania.

Pojawiają się też podróbki wyrobów z kości słoniowej. Tu nawet węch odgrywa dużą rolę w wykryciu fałszerstwa. Jeśli chcemy się dowiedzieć, czy dany przedmiot wykonano z kości słoniowej, rogu, kości, bursztynu czy plastiku, wystarczy dotknąć go w niewidocznym miejscu rozpalonym gwoździem. Kość słoniowa pozostanie bez zapachu, róg pachnie włosami, kości spalenią, a bursztyn żywicą. Plastik ma zapach chloru.

Korniki pomagą

Podaż starych stylowych mebli w antykwariatach trwa, więc pojawiają się podróbki. Czasem po prostu upiększa się zwykłe stare meble, doklejając inkrustacje, lwy i rozety. Gotowe „stare” ozdoby ze złoconego brązu można kupić. Mebel-kopię najłatwiej rozpoznać się po tym, że dawniej forniry, czyli szlachetne drewniane okleiny, miały grubość do 4 mm, lecz od połowy XIX w. były już coraz cieńsze i dziś są już bardzo cieniutkie.

O wieku mebla mogą świadczyć ślady kor-
ników. Szkodnik ten bowiem zwykle wyszuku-
je części drewna o dużej masie, by mógł je zja-
dać latami.

Fałszerze mebli wsadzają często kawałki drewna, np. nogi stolika, szafy, biurka do worka z kornikami, które atakują je wtedy ze wszystkich stron. Eksperci wiedzą, że nietypowe ślady korników sygnalizują często fałszykat.

Na całym świecie domy aukcyjne i antykwariusze często dostarczają nabywcom stare ekspertyzy dzieł sztuki, bez analiz laboratoryjnych, gdyż te są zbyt drogie i czasochłonne.

Jak się bronić

- W naszym Domu Aukcyjnym każde dzieło sztuki analizuje ekspert i grupa konserwatorów - mówi Zofia Szukalska. - Jeśli wzbudza ono wątpliwości, badamy je za pomocą promieni rentgena i podświetlami w ASP w Warszawie i w Muzeum w Wilanowie.

Ale naukowcy wciąż nie wszystko mogą. Metoda badania C-14 pozwala określić wiek substancji organicznych poprzez rozpad izotopu węgla radioaktywnego, lecz można nią badać tylko przedmioty sprzed 1600 roku.

Metod uniwersalnych nie ma i dlatego historia sztuki pełna jest cofniętych atrybucji. Dzieje się tak do dzisiaj, nawet w odniesieniu do najwspanialszych malarzy. Dowodem działalności choćby Komisji Rembrandtowskiej, która niedawno odpisała Rembrandtowi kilka płócien. Uznaje się je obecnie za twórczość warsztatową lub kopijną – jemu współczesna albo prawie współczesna.

Jak więc świat sztuki broni się przed falsyfikatami?

- Najlepiej zabezpiecza przed pomyłką dobry ekspert, niekoniecznie zaś dawna ekspertyza - mówi Zofia Szukalska.

Ponadto należy unikać „cudownych okazji”, pokątnego nabywania dzieł na jarmarkach, gdzie anulowanie transakcji jest niemożliwe. Dzieła sztuki najlepiej kupować tylko w firmach wiarygodnych, a więc takich, które – w przypadku, gdy klient udowodni, że kupił rzecz fałszywą – nawet po upływie pięciu lat od zakupu zwrócą mu pieniądze.

Takie domy aukcyjne już w Polsce istnieją. Jeśli ktoś sprzedaje dzieło sztuki w tzw. dobrej wierze, to trudno mu udowodnić złą wolę. Z kolei eksperci nie są finansowo odpowiedzialni za swe ekspertyzy.

Jeden z domów aukcyjnych stara się jednak, aby za ekspertyzę częściowo odpowiadali materialnie rzeczoznawcy, częściowo zaś firma. Ale firma musi być ubezpieczona. Tak jest na świecie. Lecz ekspert, który dziś pobiera za ekspertyzę niewielki procent wartości dzieła, zażąda – gdy firma, dla której pracuje, już będzie ubezpieczona – o wiele więcej. Ryzykuje przecież dorobkiem całego swego życia.

Były dyrektor nowojorskiego Metropolitan Museum, Thomas Hoving, oceniał – wzbudzając powszechne oburzenie – że być może jedna trzecia wszystkich dzieł sztuki na światowym rynku to falsyfikaty. Historycy sztuki twierdzą, iż wiele dzieł rzeczywiście może nie być absolutnie autentycznych. Ale zwalczanie fałszerzy zawsze było zadaniem na miarę Don Kichota i tak jest do dzisiaj.

ELLA MAYER

Rysunki TOMASZ DANIEC

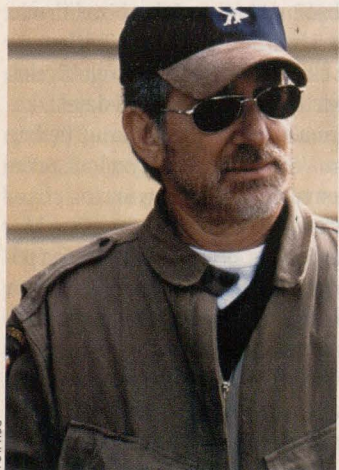
KOMPANIA BRACI

AMERYKAŃSKA OPOWIEŚĆ O II WOJNIE ŚWIATOWEJ

Z HOLLYWOODZKIM ROZMACHEM, W NIEHOLLYWOODZKIM STYLU

Amerikanom, którym od dziecka wpaja się idee wielkości i potęgi ich kontynentu, który nigdy nie przeżył takiego koszmaru jak Europa, trudno jest zrobić realistyczny film o drugiej wojnie światowej. Jednak paradoks polega na tym, że nie kto inny, jak tylko Amerykanie mogą sobie pozwolić na produkcję największego oraz jednego z najbardziej realistycznych obrazów tamtych czasów.

10-odcinkowy serial „Kompania Braci” (2001) został wyprodukowany przez dwóch mistrzów Hollywoodu – Toma Hanksa i Stevena Spielberga.



Steven Spielberg

bergu na zamówienie jednej z największych na świecie płatnych telewizji – HBO. A wszystko zaczęło się od „Szeregowca Ryana” (1998) Spielberga, w którym główną rolę zagrał Hanks. Oba panów połączyła przyjaźń oraz wspólna fascynacja historią. Serial powstał na podstawie bestsellerowej powieści amerykańskiego historyka Stephena E. Ambrose’a, pod tym samym tytułem, która właśnie ukazała się na polskim rynku.

„Kompania Braci” opowiada losy amerykańskiej Kompanii E 506. Pułku Piechoty Spadochronowej, walczącej na frontach drugiej wojny światowej. Opowieść rozpoczyna się w 1942 roku, w obozie Toccoa w stanie Georgia, gdzie zwykli amerykańscy chłopcy uczestniczą w specjalnym szkoleniu wojskowym dla tworzonych po raz pierwszy w armii amerykańskiej oddziałów spadochronowych. Poznajemy Kompanię E dowodzoną przez porucznika Herberta Sobela. Żelazna ręka dowódcy i upór ochotników sprawiają, że stają się oni doskonale przygotowanymi żołnierzami elitarniej jednostki wojskowej. W kolejnych odcinkach oglądamy desant w Normandii, operację Market – Garden, obronę Bastogne w czasie niemieckiej kontr-



Tom Hanks

ofensywy w Ardenach. Akcja kończy się w Berchtesgaden w 1945 roku.

Choć historia jest głównym bohaterem opowieści, to jednak na jej tle rozgrywają się indywidualne losy żołnierzy Kompanii E. Warto zauważyć, iż w serialu nie zobaczymy, typowych dla amerykańskiej kinematografii o tej tematyce, patetycznych scen zwycięstwa dobra nad złem lub tak oczywistego romansu pomiędzy przystojnym i odważnym jankesem a piękną mieszkanką Starego Kontynentu. Radość, dramaty i cierpienia łączą obcych sobie ludzi, tworząc niepowtarzalną, bo zbudowaną w ekstremalnych warunkach, więź braterstwa.

Co różni „Kompanię Braci” od innych tego typu produkcji? Po pierwsze, choć serial powstał na potrzeby płatnej

telewizji, ogląda się go jak prawdziwe, „żywe” kino. Kamera pracuje z ręki. Widz ma wrażenie, jakby był na planie – pomiędzy strzałami, wśród walczących żołnierzy, płonących domów i pól, w pralni, gdzie jeden z żołnierzy, milcząc, odbiera bieliznę nieżyjących już współtowarzyszy.

Po drugie, jak często bywa w produkcjach HBO, poszczególne odcinki reżyserowane są przez różnych twórców (m.in.: Toma Hanksa, Davida Lelanda, Tonny’ego To czy Richarda Loncraine’a). Taki charakter produkcji pozwolił nieco zróżnicować niezwykle spójną konwencję całości. Ponadto, każdy odcinek zawiera w sobie elementy dokumentu – rozpoczyna się wspomnieniami kombatantów Kompanii E, które opisują kluczowe momenty jej historii. W filmie występują młodzi, mało znani z hollywoodzkiego ekranu aktorzy. Celem castingu było wybranie aktorów o cechach odpowiadających charakterystyce poszczególnych bohaterów, a nie głośnych nazwisk, które zazwyczaj są magnesem dla widza.

Po trzecie, co chyba najistotniejsze, producenci nie chcą ukrywać przed widzem istoty człowieczeństwa. Emocje każdego z bohaterów są ukazane bardzo prawdziwie. Wraz z nimi przeżywamy strach, wściekłość, odwagę. Jesteśmy także świadkami całkiem przyziemnych zdarzeń – przypadkowego seksu, kradzieży, pijaństwa.

Po czwarte, do tej pory chyba żadna stacja nie wyprodukowała serialu telewizyjnego z takim rozmachem inscenizacyjnym. Producenci postanowili realizować film w tym samym miejscu, gdzie nakręcono „Szeregowca Ryana”. Pomieszczenia biurowe oraz puste hangary lotnicze, które znajdują się na terenie dawnego lotniska Hathfield koło Londynu, okazały się doskonałym miejscem do zdjęć studyjnych.

Dane statystyczne dotyczące produkcji są imponujące – 1000-akrowa powierzchnia planu zdjęciowego, 11 specjalnie wybudowanych filmowych wiosek, sztuczny las, setki sztuk autentycznych strojów, mundurów i broń z epoki.

Jednym z najtrudniejszych wyzwania okazała się rekonstrukcja lasu Jacques w pobliżu Bastogne, w Belgii. W tym lesie, w środku zimy odbyła się bitwa pod Bulge. Dekoracje lasu zbudowano wewnątrz hangaru lotniczego. Ekipa budowlana wywierciła w betonowej podłodze hangaru setki otworów, do których przymocowano prawdziwe drzewa oraz 250 sztucznych, wykonanych w rekwizytorni. Podłoga planu została pokryta 2,5-metrową warstwą ziemi oraz „śniegiem” zrobionym z celulozy, polimerów i plastiku.

Członkowie ekipy filmowej przemierzali całą Europę w poszukiwaniu czołgów i pojazdów z epoki lub budowali modele, które były nieosiągalne. Przelatowane radzieckie czołgi T-34 z czasów drugiej wojny światowej występowały w filmie jako amerykańskie „tygrysy”. Płyty nowoczesnych pojazdów brytyjskiej armii wykorzystano do rekonstrukcji niemieckich wozów pancernych. Budowa jednego czołgu trwała około 12 tygodni, ale realizatorzy filmu podkreślają, że warto było budować własne makiety, bo można je było potem wysadzać bez ograniczeń.

I choć 6 czerwca 2001 r. z prawdziwym hollywoodzkim rozmachem HBO zorganizowała światową premierę „Kompanii Braci” na plaży Utah w Normandii, to ta amerykańska opowieść o drugiej wojnie światowej dale-

ka jest od patetycznej nostalgii i kolorowych obrazków z odległych czasów. Premierowy pokaz zakończył się w milczeniu, owacją na stojąco.

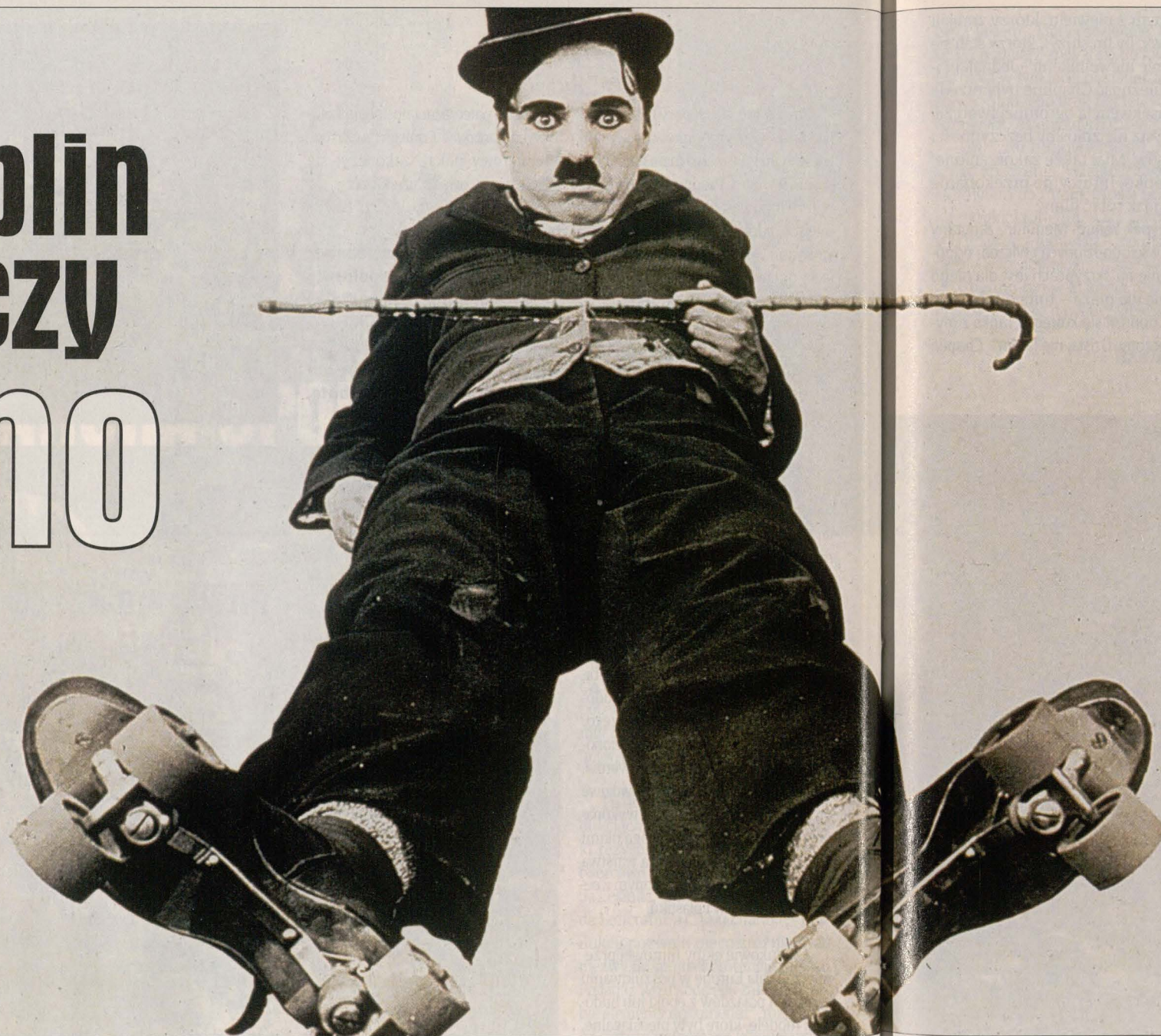
(BOB)

„Kompania Braci”, prod. Bank of Brothers Ltd. we współpracy z wytwórniami DreamWorks i Playtone dla HBO. Producenci wykonawczy – Tom Hanks i Steven Spielberg. Premierowe odcinki emitowane są co sobotę, o 21.00, tylko w HBO.



BARBARA KOSECKA

Chaplin znaczy kino



Ukazywał ludzkie ułomności i tęsknoty do szczęścia, słabości i niespożytej wiary w lepszy los. Dotykał tego, co ludzkie, o wiele głębiej niż jego komediowi rywale.

16 kwietnia 1989 roku na East Lane w Londynie urodził się Charles Chaplin – jeden z największych artystów minionego stulecia.

Jego niewielka rodzina żyła wówczas w „skromnym dostatku”. Wkrótce jednak ojciec, uznany aktor, opuścił dom i przestał łączyć na utrzymanie, a matka, udręczona ciężką pracą i trudami życia w skrajnym ubóstwie, stopniowo popadała w obłęd. Problemy związane z przetrwaniem spadły na barki Charliego i jego starszego brata Sydneya.

Odtąd już niemal zawsze życie Chaplina było bardzo pracowite i trudne. Do czasu małżeństwa z Ooną O'Neill – jedyną spośród czterech żon, która dała mu prawdziwe szczęście – obfitowało również w skandale i nieoczekiwane zwroty losu.

Wiele przykrych niespodzianek spotkało artystę ze strony przybranej ojczyzny, Stanów Zjednoczonych. Proces o ojcostwo i upokarzające rozwody zjadliwie komentowane przez prasę, nieustanne kontrole urzędu podatkowego i podejrzenia Komisji ds. Działalności Antyamerykańskiej, wreszcie brutalne pozbawienie Chaplina prawa wstępu do Stanów Zjednoczonych.

Zgryźliwy uśmiech fortuny

Wszystko to próbowano wynagrodzić artyście, przyznając mu w 1971 roku honorowego Oscara. Chaplin, choć był już wtedy fizycznie zniedołężniały, nie odmówił sobie wzruszeń ponownej wizyty w Los Angeles. Przyjechał

tam z Manoir de Bain w Szwajcarii, swojej ostatniej ojczyzny, i osobiście odebrał nagrodę.

Była to być może najbardziej zasłużona i najbardziej spóźniona spośród wszystkich, które wręczono w imieniu Amerykańskiej Akademii Filmowej. Należała się mu za to, że przeobraził trwającą nie więcej niż 20 minut slapstikową komediijkę w rozbudowaną opowieść. Był śmieszny nie dzięki przewracaniu się na skórcie od banana, lecz dlatego, że jego charakter nieuchronnie prowadził do tej katastrofy.

Jak japońskie drzewko

Chaplin należał do najwybitniejszych aktorów kina. Twórca „Gorączki złota” (1925) i „Świąteł wielkiego miasta” (1931), podobnie

jak inni znakomici komicy epoki – Buster Keaton, Harold Lloyd, Stan Laurel i Oliver Hardy, odszedł od przesadnie ekspresyjnej maniery gry w niemym kinie i nasycił treścią nawet najskromniejszy gest. Talent do pantomimy, któremu zawdzięczał karierę w słynnym zespole Freda Karno, był większy niż u kogokolwiek spośród jego filmowych rywali.

Fenomenalna gra Chaplina, podparta fizyczną sprawnością, przypominała czasem obłąkańcze i niewiarygodne ewolucje bohaterów animowanych kreskówek. Grając, posługiwał się całym ciałem, które nie tylko biegło, skakało i podlegało rozmaitym atakom z zewnątrz, lecz przede wszystkim służyło precyzyjnemu wyrażaniu emocji. Jeśli Charliego spotykał zawód, on cały stawał się bolesnym rozczarowaniem; gdy chciał kokietować, przymilała się nie tylko twarz, ale też ręce, nogi i cały korpus; kiedy miał powody do radości, każdy mięsień jego ciała drżał w euforii.

Dał popis tej techniki w „Świątach rampy” (1952), w scenie rozmowy z chorą przyjaciółką. Gdy pokazywał, jak wygląda róża, a jak japońskie drzewko, jego ciało i twarz nabierały rysów skulonych płatków kwiatu albo wygiętych gałęzi egzotycznej rośliny.

Przeobrażał się w zniurowaną figurę, w samą esencję naśladowanej rzeczy lub emocji. „W pantomimie osiąga maksimum przez bezruch, bezruch pełny i całkowity”, napisał o aktorze Jean-Louis Barrault.

Elegant i cwaniak

Postać Charliego to zjawisko jedyne w swoim rodzaju i wszędzie rozpoznawalne. „Mały śmieszny człowieczek”, człapiący w wielkich butach, wiecznie opadających spodniach i przyciasnej marynarce, jako postać osiągnął pełnię w „Psim życiu” (1918) i „Brzdącu” (1921). Był rezolutnym i zarazem bezgranicznie naiwnym włóczęgą. Uragował wszelkim autorytetem, ale co chwila dwornie uchylał melonika nawet

przed przedmiotami. W sytuacjach beznadziejnych udawał nieistnienie lub ratował się ucieczką, zawsze swoim niepraktycznym, kaczym chodem. Pełen kokieterii i potulnej uniżoności, ale przy nadarzającej się okazji gotów odpalić zapalną od łysiny niesympatycznego osiłka.

Odarty z wszelkiego patosu, lecz nie pozbawiony godności Charlie uosabiał cechy, które określały kondycję ludzką w każdym czasie i pod każdą szerokością geograficzną. Był kwintesencją ludzkiej ułomności i tęsknoty do szczęścia, słabości i niespożytej wiary w lepszy los. W tym sensie dotykał tego, co ludzkie, o wiele głębiej niż jego komediowi rywale. Nawet wówczas, gdy jego bohater zachowywał się tak bardzo trywialnie.

Pracoholik i megaloman

Jako człowiek był postacią nader kontrowersyjną. Stuprocentowy „artysta” – pracował bez wytchnienia, zapominając o istnieniu kolejnych, zazwyczaj bardzo młodych, partnerek i żon, pozwalając, by czuły się samotne i niepotrzebne.

Jego dzieci, oczarowane dowcipnym i wspaniałomyślnym Charliem, poznały także gorzkie wielomiesięcznych czy wieloletnich nawet rozstań z ojcem, a nieraz chłód i obojętność pochłoniętego pracą filmowca. Starszy brat, Sydney, którego już od dziecięcych lat, spędzonych wspólnie na londyńskich ulicach nędzy, łączyła z Charliem niezwykle bliska i serdeczna zażyłość – po latach rozłąki otrzymał zwięzły list, w którym sławny aktor informował go przede wszystkim o wysokości swoich aktualnych zarobków.

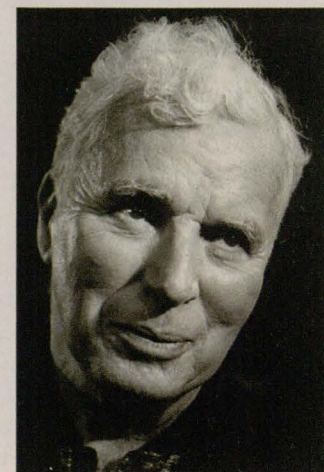
Podobnie jak stworzona przez niego postać – Chaplin był zarazem i wielkoduszny, i małostkowy. Do końca życia wypłacał renty dawnym współpracownikom, którzy nie byli aktywni w zawodzie. Równocześnie nie wahał się brutalnie odsuwać od siebie najbliższych i najwierniejszych towarzyszy pracy, np.



1919



1946



1957

FOT. EAST NEWS (4)

wieloletniego operatora jego filmów, Rollie Theroha, lub sekretarza i asystenta Carlyle'a Robinsona, którego zresztą wielokrotnie delegował do załatwiania przykrych spraw z podwładnymi.

W mitologizującej autobiografii Chaplina roi się od wspomnień o sławnych pisarzach, politykach i biznesmenach, których poznał w trakcie długiej kariery. Nie ma natomiast mowy o cierpliwych współtwórcach jego dzieła, z którymi spędzał tysiące godzin na planie – zawsze gotowych do kręcenia dziesiątków dubli, dyskutowania i pozostawania na filmowym posterunku tak długo, jak to było konieczne.

Na planie „Gorączki złota” (1925) za kamerą.



Chaplinem mogło powodować zrozumiałe, próżność bądź zwykła nieuwaga, gdy nie wspominał w swej autobiografii o ludziach, którzy współpracowali z nim przez wiele lat. Ale mógł po prostu nie mieć poczucia, że w ogóle z kimkolwiek współpracował.

Bez drogowskazów

Należał do tych filmowców, którzy wcieli w życie idee kina autorskiego jeszcze przed pojawieniem się jakichkolwiek teorii na ten temat. Nie tylko dlatego, że sam pisał scenariusze, reżyserował, montował, a nawet tworzył muzykę do swych późniejszych filmów. Pisa-

no, że „był jednym z niewielu, którzy zmusili przemysł filmowy, by im służył, którzy stali się jego panami, a nie niewolnikami”. Jednak pracowitość i niezależność Chaplina były przede wszystkim konsekwencją ogromnej twórczej charyzmy – artysta nie zniósłby bezczynności ani kompromisów. Miał także zakorzenione niezwykle głęboko, intuicyjne przekonanie o tym, jak grać i jak robić filmy.

Wybitny skrzypek Yehudi Menuhin, zapytany kiedyś o udręk wielogodzinnych ćwiczeń, odpowiedział, że granie na skrzypcach jest dla niego tym, czym latanie dla ptaka – trudno sobie wyobrazić, by ptak obudził się któregoś ranka z myślą: „Jestem zmęczony. Dzisiaj nie latam”. Chaplin

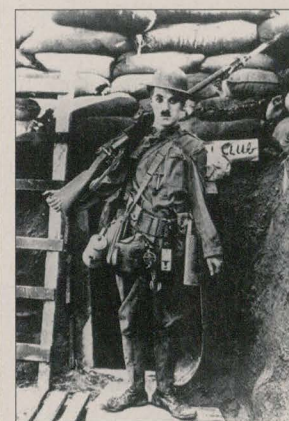
był „ptakiem”, który codziennie, bez żadnej dodatkowej podniety, zrywał się do lotu – i któremu nikt nie mógł w tym locie pomagać ani udzielać wskazówek. Stąd jego brak zainteresowania dla czysto filmowych, estetycznych rozwiązań.

Warsztat filmowy nie miał dla niego większego znaczenia. Wielkość tego twórcy polegała bowiem na umiejętności przekraczania granic sztuki, którą uprawiał. Jako aktor, scenarzysta, reżyser, producent – był oczywiście filmowcem, ale to słowo ogranicza skalę jego dokonań.

Chaplin był w gruncie rzeczy artystą poza kinem, a może nawet – większym niż kino.

BARBARA KOSECKA

KALENDARIUM CHAPLINOWSKIEGO HUMORU:



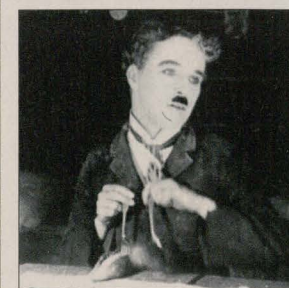
„Charlie żołnierzem”



„Dyktator”



„Dzisiejsze czasy”



„Gorączka złota”



„Brzdąc”

- 1902 r. – 13-letni Charlie występuje w swojej pierwszej scenicznej roli w londyńskim „Sherlocku Holmesie”. Znakomita kreacja służącego Billa wywołuje niepokój gwiazdora grającego postać tytułową.
- 1915 r. – W krótkometrażówce „Charlie włóczęgą” Chaplin po raz pierwszy kończy film pesymistycznie – bohater odchodzi w siłą dal, nie zdobywszy serca ukochanej Edny. Wcześniej stara się pozyskać zaufanie jej ojca, farmera, wykonując różne gospodarskie czynności, m.in. doi krowy.
- 1915 r. – W antyburżuazyjnej „Pracy” Charlie i jego kompan z ekipy remontowej zjawiają się w domu zamożnej mieszcżki, by odnowić jej mieszkanie. Gdy pani domu przezornie zamyka swoje kosztowności w komódce, Charlie przypina do kamizelki łańcuszkiem swój zegarek.
- 1918 r. – Sukces „Charlie żołnierzem”, w którym bohater zmagając się z niebezpieczeństwami wojny. „Jak zdołał pan w pojedynkę pojmać 16 niemieckich żołnierzy?” – pytają dowódcy dzielnego Charliego. – „Otoczyłem ich”.
- 1921 r. – Pierwszy film długometrażowy. W „Brzdącu” rewelacyjną rolę zagrał pięcioletni Jackie Coogan, który rozbija szyby, by „przypadkiem” przechodzący tamtędy szklarz Charlie mógł dostać zajęcie.
- 1925 r. – Podczas pokazu „Gorączki złota” w berlińskim kinoteatrze na gorący bis publiczności kinooperatorzy wyświetlają jej jeszcze raz słynną sekwencję „tańca bułeczek”.
- 1928 r. – Uciekający przed policjantem klaun z „Cyrku” trafia na cyrkową platformę z figurami ludzkiej wielkości, skąd nie ma już ucieczki. Zamiera więc, udając jedną z nich.
- 1931 r. – W „Świątkach wielkiego miasta” Chaplin powtarza wypróbowaną we wcześniejszych filmach suitę bokserską – wykonuje na ringu serię kunsztownych piruetów, podskoków i uników, byle tylko nie doszło do starcia z przeciwnikiem. Bez powodzenia.
- 1936 r. – „Dzisiejsze czasy” są pierwszym filmem Chaplina zawierającym sceny dialogowe (dźwięk w kinie istniał już niemal od 10 lat). Prostoduszny Charlie niechętnie narkotyzuje się w więzieniu – lubi dobrze przyprawione potrawy, ale nie wie, że jego sąsiad przy stole wspaniał do solniczki kokainę.
- 1940 r. – W „Dyktatorze” zderzają się ze sobą „dwie najsłynniejsze postacie XX wieku”: Charlie i Hitler, który temu pierwszemu świadomie „skradł wąsik”. Według Chaplina Hitler był wielkim aktorem.
- 1947 r. – Premiera „Monsieur Verdoux” nie jest sukcesem. Chaplin pożegnał się z postacią trampa i zagrał cynicznego mordercę kobiet z posagiem. Jednak nie każda z nich daje się łatwo unicestwić.
- 1952 r. – Do udziału w finałowym skoczku „Świątek rampy” Chaplin zaprosił Bustera Keatona. Obydwaj są tu niezbyt rozgarniętymi muzykami: Keatonowi wciąż rozsypują się nuty, a Chaplin ma poważne kłopoty z prawą nogą, która niespodziewanie zrobiła się... o połowę za krótka. (a)

Kiedy dorsz udaje karpia



ILUSTRACJE PIOTR GIDLEWSKI

Podróż do krainy dzieciństwa przeraża pana Stanisława D. z Londynu. Jego myśli kołują ze strachu.

Pojechać tam jeszcze raz. Tak, tak. Jeszcze raz się tam znaleźć podczas Gwiazdki, choćby na chwilę. W Polsce. W Krakowie, w rodzinnym domu. Od ponad pięćdziesięciu lat pan Stanisław D. – w czasie II wojny bombardier RAF-u, później znakomity angielski chirurg – obiecuje sobie przyjechać z Londynu do Polski na Boże Narodzenie.

– Podczas grudniowych nocy wszystko się może zdarzyć – powiada do Iana Crawforda,

sąsiada-Szkota. – Wyobrażam więc sobie, że mam już bilet lotniczy i spakowaną walizkę, i że jadę do domu...

O świcie uważa jednak pomysł za niedorzeczność. Podróż do krainy dzieciństwa przeraża go i jego myśli kołują ze strachu. Boi się, że w stresie zacznie tracić pamięć. Że coś go opęta. Leży wtedy w łóżku do południa, kalkulując, co w tej podróży może stracić. Nic. I wszystko. Zamyka oczy, myśląc: co zyskam?

Nic. I wszystko. W takiej chwili najchętniej dałby mata królowi przeciwnika, ale już od lat nie ma tu z kim grać w szachy.

– Dawniej grywałem z ojcem i starszym bratem, ale dziś – mówi – nie mam już nikogo z rodziny.

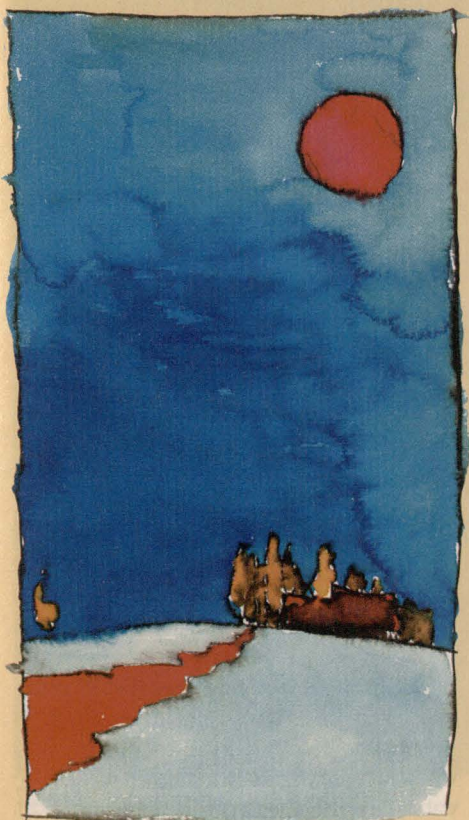
Czarna wskazówka ściennego zegara przesuwa się z chrzęstem. Twarze przodków pana Stanisława na dagerotypach i medalionach, którymi ozdobił wszystkie cztery ściany salonu, zdają się występować z tła. W oczach swego ojca na fotografii dostrzega ślady drwiny i przez kilka chwil jakby sły-

szy jego śmiech: Czemu? Czemu nie chcesz jechać do Polski? Skończyłeś osiemdziesiątkę. Już nadszedł czas. Teraz albo nigdy, później na tę podróż będziesz za stary.

W grudniu co wieczór pan Stanisław schodzi na dół do holu, mija taras, ogród i zatrzymuje się przed furtką – stamtąd patrzy na swój jednorodzinny angielski domek z czerwonej cegły. Gdy mruży oczy, dom przypomina mu podkrakowski dworek z facjatką matki. Słyszy nawet dźwięk swoich kroków, kiedy dawniej, jako chłopiec, przed Bożym Narodzeniem wracał wieczorem do domu, zziębnięty i zuchwały, nasłuchując opowieści ojca, który po południu szedł doglądać karpia w przydomowych stawach. Dziś wydaje mu się, że w saloniku rodziców trwa jeszcze rozmowa i za firanką ruszają się ich cienie, że w dzień Wigilii znów go zawoła babcia, i da mu rybi pęcherz do zabawy.

Spojrzał w górę – na niebie wisiły już gwiazdy. Aby się uspokoić, skupił wzrok na tej, która świeciła bardziej jaskrawo od innych i pomyślał, że blask, jaki do niego w tej chwili dociera, jest być może światłem wysłanym przez tę gwiazdę w czasach Platona. Uśmiechnął się. Więc gwiazdy tej w ogóle już nie ma. – Ja też tylko – szepnął – udaję człowieka.

I nagle zdecydował: trzeba tam, do Polski, jechać jak najprędzej. Niedługo wszystko się rozplynie w mrokach mojej niepamięci i o nic mi już nie będzie chodziło. Trzeba więc tam jechać póki czas. Z radością zadzwonił do Iana Crawforda:



– Jadę! – oznajmił. I zaraz zapytał: – A tam, gdzie mam jechać... co teraz jest? Przyjdź i powiedz.

– Każda ścieżka będzie prowadziła – odpowiedział po chwili Crawford, stając w drzwiach – w głąb obrazu, który masz w pamięci.

– Dalej iść bym nie chciał.

– Lepiej więc tam nie jedź.

– Kiedy tu, w Anglii, siedzę w Wigilię przy stole i dorsz udaje karpia, widzę twarze moich dziadków, ciotek i wujów przy wigilijnym stole w Krakowie. Piętrzą się, powiększają. Przypomina mi się mój koń – co dzień jechałsiśmy stępa. Co dzień wiózł mnie prosto do siódmego nieba i czułem wtedy, jak pod moimi palcami drgała jego ciepła, mlecznobiała skóra, chociaż był to konik z drzewa.

– W cuda – przypomniał mu Crawford – wierzą dzieci.

– Konika znalazłem pod choinką – powiedział pan Stanisław z czułością. A tacy jak my – w co wierzą?

– W czas przeszły, w zbawienie – odparł Crawford. I ze złością zapytał: – Po co w ogóle masz tam jechać? Koniecznie chcesz wiedzieć, co się zmieniło? To zobacz, co z ciebie zostało.

Pan Stanisław podniósł się z fotela i stanął przed lustrem.

– Coś okropnego – powiedział. – Nawet mój cień na ścianie wygląda tak groteskowo, że każde dziecko by zachichotało. – Chciał pogrozić sobie palcem, ale w tym momencie opuściły go siły. Podbródek mu się trząsał, siwe włosy przykleiły się do spoconego czoła. W oczach mu pociemniało, bo zmiana zewnętrzna, jaka się w nim z biegiem lat dokonała, dopiero teraz go przerażała. Poruszył obwisłymi wargami: – To czas tak zmienia. – Z nagłą nienawiścią spojrzał na kości swych dłoni powleczonej cienką zielonkawą skórą – wyglądały jak ręce zjawy. – A co to jest – zapytał – czas?

– Dla mnie czas – odparł przyjaciel – to dziś tylko ból. Pojechałem kiedyś do wioski w Szkocji, gdzie się urodziłem, ale tam jest teraz miasteczko. Nie znalazłem żadnych śladów z dzieciństwa, jakby mnie tam nigdy nie było. Dlatego w Gwiazdkę nie szukaj tego, czego już nie ma.

– Masz słusznosc! W tym roku też tam nie pojadę – powiedział nagle pan Stanisław. – Bo to byłaby zdrada. Zdrada siebie samego. Kiedyś wierzyłem, że tam chociaż kamienie będą mówić. Ale dworu matki na wsi już dawno nie ma. A na miejscu naszej kamienicy w Krakowie stoi podobno trzypiętrowy blok.

– Płakałbyś tam tylko.

– Nie pojadę – powtórzył. – Tam nikt już na mnie z wigilią nie czeka. I nikt nie zawoła mnie po imieniu. A płakać nie honor.

IZABELLA BODNAR



31 grudnia
(poniedziałek) godz. 20.00

Wielki Bal Kostiumowy

Królowa Zjednoczonego Archipelagu
Wielkiej i Małej Jaszczurii
zaprasza na doroczne
ŚWIĘTO WIELKIEGO PODSKOKU

ZYCZENIA ŚWIĄTECZNO-NOWOROCZNE

Klub Pod Jaszczurami życzy
ażeby w Nowym Roku
można się było byczyć
leżąc na prawym boku,

co również Świąt dotyczy,
bo Świąta to czas boski –
jest karp, prezenty, świerki,
moc życzeń pełnych troski:

więc żeby pieniądź mieszał
w przegródkach portmonetki –
obok orzełka reszka,
(dziesiątka obok setki),
Kazimierz obok Mieszka.

I żeby zdrowie kwitło
w każdym kawałku ciała,
w śledzionie, nodze, głowie,
wszędzie co Bozia dała.

I żeby ilość dzieci
ustalić przy kolacji,
bo bocian, co przyleci
nie przyjmie reklamacji.

I żeby szczęścia masa
trzymała się kurczowo.
Więc: zdrowie, szczęście, kasa
i będzie, ech, różowo.

Sponsorzy:

OKOCIM, ZASADA, Zakłady Chemiczne ALWERNIA S.A., HABAŚTYN CENTRALNY CENTRUM, e.pl, Drukarnia LBYKO, AMS, WISNIA, PATRONI MEDIALNI: POLITYKA, DZIENNIK POLSKI, PRZE KŁÓJ, TWP3 Kraków, AKTIVIST, Organizator: plus, PROGRAM II PR SA, RAK 100.5 FM, INSTYTUT TSUTKI, www.podjaszczurami.com

PAN Tadeusz za stodołą

„Brama na wciąż otwarta przechodniom ogłasza, że gościnna i wszystkich w gościnę zaprasza...”



Jankiel, który ojczyznę jako Polak kochał.

Za tą bramą w Górsku, niedaleko Leszna, Marian Murek od kilku lat zmagają się ze swoim „Panem Tadeuszem”. Uparty jak chłop, jest także konsekwentny, jak chłop wielkopolski. Rozpoczynając coś zupełnie nowego, nie wycofa się, nie zrezygnuje, póki nie osiągnie celu. Najpierw zmierzy siły na zamiary, ale potem nie ma sposobu, aby coś mogło mu przeszkodzić.

Najpierw były ptaszki

Podobnie było z pomysłem – gdy wzenił się w pięciohektarowe gospodarstwo teściów – ażeby zaprzestać uprawiania wszystkiego po trochu, jak od niepamiętnych czasów czynili sąsiedzi. Mieli z tego niewiele, to i Murkowie mieli tyle, co nic: ani piehędzy, ani satysfakcji. Pan Marian pomyślał: trzeba zająć się agroturystyką. Czym jednak przyciągnąć turystów? Najpierw zapytaliby: Górsko? A gdzie to jest?!

Murek od dzieciństwa rzeźbił ptaszki. Z czasem szło mu coraz lepiej. W specjalnie zbudowanym pawilonie, w gałęziach ustawionych tam drzew można już teraz oglądać ponad 200 okazów, występujących w okolicy, a wyrzeźbionych tak precyzyjnie, że ornitolodzy z Holandii, Francji, którzy przyjeżdżają je oglądać, nie mogą się nadziwić. Dotychczas, owszem, widywali kolekcje ptaków spreparowanych, wypchanych po prostu. Ale żeby je rzeźbić?! I to z taką dokładnością?!

Nie samą ptaszarnią żyć będzie jednak agroturystyczne gospodarstwo Murków. Ma Wrocław „swoją” Panoramę Racławicką? Górsko nie jest gorzej. Będzie więc miało własną: „Pana Tadeusza”. Każdą wolną chwilę pan Marian spędza więc w pracowni, z dłutem i drewnianym młotkiem w rękach, rzeźbiąc kolejne sceny poematu.

W szkole podstawowej, przynajmniej, czytało mu się tasiecmowy trzynastozgłoskowiec bardzo nędznie. Co za nudy! To było straszne... Ale kto, mając

14 lat, chętnie czyta poematy? Trzeba, po prostu, dojrzeć, także do tego. Murek dojrzał długo. „Pana Tadeusza” drugi raz przeczytał dopiero kilka lat temu, gdy przyszedł mu do głowy pomysł zbudowania w swojej wsi rotundy, którą zaludniłby bohaterowie Mickiewiczowego arcydzieła. Liczył siły na zamiary, przeliczał wszystko – złotówki, grunty i co tam jeszcze trzeba.

36 dwumetrowych scen

Dlaczego – właśnie tutaj, gdzie przysłowiowy diabeł-autochton mówi „dobranoc”, miałaby stać panorama ilustrująca arcynarodowy poemat? Ten, kto zna koleje życia poety, z pewnością się domyśli: wiodło go ono również przez Wielkopolskę. W kilku tutejszych dworach był goszczony przez ponad pół roku sławny już przecież poeta: w Bielewie, w Kopaszewie... W tych stronach przygotowywał się do przekroczenia granicy prusko-rosyjskiej,



To, oczywiście, Sędzia.

chcąc dołączyć do powstańców, którzy w odruchu rozpacz i niespełnionej, niestety, nadziei rzucili się na zaborcę owego pamiętnego listopada 1831 r. W Choryni, w Luboniu pruscy policjanci uniemożliwili Mickiewiczowi przedarcie się do oddziałów zbuntowanych rodaków. Chociaż byli tak blisko, ale równocześnie tak daleko, za kordonem...

Będzie więc w tej panoramie 36 scen, po trzy wybrane z każdej kolejnej księgi, o wymiarach dwa metry na dwa. Ale żeby rozpocząć to przedsięwzięcie, potrzebne było drewno, najlepiej lipowe, odpowiednio przygotowane.

Dlatego dopiero po trzech latach oczekiwania na wysezonowanie lipowego materiału Murek mógł

wziąć do ręki dłuto. Zastanawiał się: wyjdzie coś z tego, czy nie? Spróbował, z duszą na ramieniu. No i zaczęły powstawać: najpierw scena polowania, gdy Wojski chwytą swój róg bawoli, długi, cętkowany, kręty, a u nóg myśliwych leżą pokotem upolowane zwierzęta. Potem spotkanie Tadeusza z Zosią. Potem sceny kolejne. Teraz jest już ich prawie dwadzieścia.

Wszystkie – rodem z wyobraźni Michała Elwira Andriollego. Tamto wydanie „Pana Tadeusza”, które miał w rękach pierwszy raz, było ilustrowane tymi nieśmiertelnymi grafikami. Jak jednak przełożyć wizję Andriollego na technikę płaskorzeźby? Pan Marian i na to znalazł sposób. Gdy grafikowi w scenie polowania wystarczyło jedno drzewo, za którym ciemna plama symbolizowała gęsty bór, „dokomponowany” w wyobraźni przez czytelników poematu, Murek wypełnia ową przestrzeń, jak należy w technice płaskorzeźby, sugestyjnymi rysami pni drzew, poprzecinanych poziomymi, nieco secesyjnymi, wiotkimi liniami. A ile zwiwności jest w szatce okrywającej dziewczęcą postać Zosi!...

Szlachecki, z drewna podmurowany

Rotunda o średnicy czterdziestu metrów, w której zostanie umieszczona panorama „Pana Tadeusza”, to jednak nie wszystko, co w Górsku zamierza zbudować Marian Murek. Do pomieszczenia przeznaczonego dla panoramy będzie się wchodziło z dworku, także rodem z poematu, w którym pierwszy raz spotkała się para głównych bohaterów. Będzie szlachecki, z drewna, lecz podmurowany, dokładnie taki, jak go opisał Mickiewicz. Zwiedzający powinni przecież znaleźć się nagle w innym świecie, w tamtej odległej epoce.

Toteż nie będzie tu prowadziła droga asfaltowa, nie podjedzie żaden samochód, lecz – bryczki. Murek ma ich już kilka. Na czas zimy są, oczywiście,

sanie, wygrzebane spod rupieci w lamusie. Podobno przywieziono nimi, do niedysiejszej karczmy, samego cesarza Napoleona, powracającego z nieudanej wyprawy na Wschód.

Wokół dworku latem zakwitać będą i bursztynowy świerzop (czyli... gatunek rzodkwi), i gryka, biała jak śnieg, no i owa dzięciolina – koniczyna również biała; niegdyś właśnie tak nazywano ją na Litwie. Jeśli więc dzisiaj ktoś nie wie, gdzie poszukiwać znaczenia tych zagadkowych określeń użytych przez pana Mickiewicza, to znajdzie je właśnie w Górsku.

Z Murkiem do Europy

Murkowi, przed którym wciąż jest wiele roboty, pomagają koledzy, także bez artystycznych patentów jak on, ale z wielką pasją i nie mniejszą umiejętnością posługiwania się dłutem. Zaprasza ich do siebie co roku, od pięciu lat, na plenery. Również więc z lipowego drewna, dobrze wysezonowanego, powstają rzeźby przedstawiające bohaterów poematu – Sędziego, Jankiela – tego Żyda, który ojczyznę jako Polak kochał, Zosi, Hrabiego, Telimeny, Tadeusza. Jest już sam pan Mickiewicz.

W przyszłym roku rozpocznie się budowanie rotundy. Gdy stanie pod dachem, do zakończenia prac nad płaskorzeźbami wszystkie te postacie, razem z gotowymi już scenami, znajdą się na przygotowanych dla nich miejscach, zaś zwiedzający, którzy pojawiają się tutaj coraz liczniej, będą mogli podpatrywać Murka przy jego niezwykłej pracy. Gdy już ją zakończy – a z czasem przybędzie mu przecież siwizny – przywdzieje kostium Sędziego. Oprowadzając ludzi ciekawych tamtego świata, żyjącego już tylko na kartach „Pana Tadeusza”, będzie o nim opowiadał, posługując się strofami wyjętymi z poematu.

– Wszyscy dokoła prawią – powiedział kiedyś – że do Europy powinniśmy wejść unowocześnieni, jak to było z tymi, którzy już się tam znaleźli. A pan, panie Murek – próbują mi podkuczać – chce tam pójść ze światem, którego już dawno nie ma! Odpowiadał wtedy: oni – tam, na Zachodzie – mają już chyba wszystko, co wymyślił ludzkie. Ale ci, którzy i stamtąd już teraz przyjeżdżają do Górska, zachwycają się właśnie tym, co mogą oglądać u mnie: „tam-tym” światem dawno zapomnianym. Obok dworku i rotundy powstanie więc także żywy skansen. Ludzie zobaczą, jak to drzewie chodziło się w kieracie, jak młócono cepami, jak wypiekano chleb w piecu z cegieł, wylepionym gliną...

Kto będzie pracował w takim – wcale przecież dużym – przedsiębiorstwie? Już teraz wszystkie sprawy, związane z odwiedzinami turystów, trzyma mocno w rękach syn pana Mariana. Ale do pracy – do obsługi wciąż zwiększającego się ruchu turystycznego – chętnie przyjdą okoliczni mieszkańcy. Małe, biedne gospodarstwa nie dopchają się do Europy ze swoimi chudymi hektarami. Pójdą więc z Murkiem.

ZYGMUNT ROLA
Fot. JACEK KAJA



Spotkanie Tadeusza i Zosi.



Od roweru do Gingera

Ten pojazd sam wie, czego chce kierowca.

Jedyny przełącznik służy tylko do kręcenia piruetów. Segwaya wymyślił DEAN KAMEN.

Początek tej historii mógłby otwierać jedną z powieści Juliusza Verne'a. Kilku panów zgromadzonych na prywatnym pokazie obwieściło światu, że wkrótce do powszechnego użytku trafi urządzenie, które zmieni nasze życie. Robert Metcalf, współtwórca podstaw światowej sieci komputerowej, powiedział, że „Ginger” będzie ważniejszy od Internetu. W skali od 1 do 10, na której 1 oznaczało rzecz zwyczajną, a 10 rewolucyjne osiągnięcie – dał wynalazkowi „wysoką dziewiątkę”.

To było w styczniu br. („P” pisał o tym). Ludzie gubili się w domysłach, co takiego można jeszcze stworzyć w świecie, w którym prawie wszystko zostało już wymyślone. Snuto przypuszczenia, że to poduszkowiec lub skuter napędzany wodorem, miniaturowy śmigłowiec do mocowania na plecach, urządzenie wyzwalające z okowów grawitacji, a nawet aparatura do teleportacji.

W grudniu, krótko przed św. Mikołajem, kurtyna poszła w gó-

rę. Świat dowiedział się, że tajemniczy Ginger jest nowym środkiem transportu miejskiego, który na krótkich dystansach ma zastąpić samochód.

Hulajnoga podobna do rydwanu

Autor wynalazku, Dean Kamen, zarzeka się, że blisko roczne milczenie nie było z góry zaplanowanym chwytem marketingowym. Tego czasu potrzebował na zarejestrowanie setek zastrzeżeń patentowych dla rozwiązań zastosowanych w nowym produkcie.

Ginger – czy raczej segway, bo taką ostatecznie nazwę otrzymał nowy wynalazek – mimo swego niepozornego wyglądu jest dosłownie nafaszerowany technologiami, które czynią zeń urządzenie zasługujące na miano pojazdu XXI wieku. Przypomina nieco hulajnogę, z tą jednak różnicą, że koła zainstalowano nie jedno za drugim, ale po obu stronach podestu

na stopy – jak w rydwanie.

Czy segway dokona przewrotu, jak zapowiada jego twórca i grono promotorów wynalazku? Przynajmniej pod jednym względem jest rzeczywiście produktem rewolucyjnym: nie wymaga od użytkownika umiejętności kierowania nim. W każdym z wynalezionych do tej pory środków transportu trzeba obracać kierownicą, naciskać pedał gazu (lub szybciej kręcić pedałami) w celu zwiększenia prędkości, zmieniać biegi, a spóźnione użycie hamulca grozi wypadkiem. Tu maszyna sama odczytuje intencje kierowcy, reagując na ruchy jego ciała.

Lekkie pochylenie do przodu – i pojazd zaczyna jechać, przyspiesza. Skręca, gdy kierowca wychylił się w bok jak podczas biegu na wirażu. Nie potrzeba do tego kierownicy, która w segwayu pomaga jedynie pasażerowi zachować równowagę. Wyprostowanie ciała zatrzymuje aparat. Odchylając się do tyłu, można cofnąć pojazd. Jedynie jeśli zechcemy wykręcić pi-

ruet w miejscu, wokół własnej osi, trzeba posłużyć się przełącznikiem zainstalowanym w uchwycie, pod prawą ręką.

Spróbuj się przewrócić

Skąd pojazd wie, co ma robić? W jego podwoziu znajduje się skomplikowany system czujników. Kiedy pochylamy się do przodu, system rejestruje większy nacisk w miejscu palców stóp. Można jechać do przodu. Przenosząc ciężar ciała bardziej na pięty, uruchamiany czujniki odpowiadają za ruch wsteczny. Podobnie jest przy skręcaniu w prawo lub w lewo. Osobny czujnik sygnalizuje zamiar zatrzymania pojazdu. Do zachowania całego układu w równowadze służy pięć żyroskopów. Dwa z nich pełnią funkcję urządzeń zapasowych na wypadek awarii któregoś z trzech żyroskopów podstawowych.

Mózgiem tego systemu jest 10 mikroprocesorów, których moc w sumie odpowiada trzem typowym pecetom. Mikroprocesory pracują wspólnie, ale działają niezależnie od siebie. Gdyby w jednym doszło do defektu, pozostałe zwolnią ruch pojazdu, aby uniknąć ewentualnego wypadku.

Segway na pierwszy rzut oka sprawia wrażenie pojazdu mało stabilnego, ale system kontrolny nie dopuszcza do wywrotek. Spróbuj się wywrócić – okaże się, że to nie takie proste, zapewnia twórca pojazdu.

Każde z kół napędzane jest osobnym silnikiem o mocy dwóch koni mechanicznych. Zasilanie całości zapewniają umieszczone w spodniej części podwozia akumulatory. Można je ładować z każdego zwykłego gniazdka w ścianie. Pojazd jest energooszczędny. Kamen twierdzi, że użytkowanie go podniesie rachunek za prąd tylko o ok. 5 centów dziennie.

Segwayem można jeździć z prędkością do 27 km na godz.

Komu segwaya

„Samochody są wspaniałe w podróżach na duże odległości” – mówi Dean Kamen. „Nie ma jednak sensu, aby w miastach wszy-

scy ludzie używali 4000-funtowych (1800 kg) kawałków metalu”.

Segway to pierwszy pojazd dopasowany rozmiarami do ciała ludzkiego. Można nim wjechać wszędzie tam, gdzie nie dostanie się nie tylko samochód, ale nawet motocykl czy skuter – wszędzie, gdzie może zawędrować w ściebie pieszy.

Zanim za rok pierwsze segwaye trafią do powszechnej sprzedaży (po ok. 3000 dolarów), wejdą wcześniej do użytku w licznych przedsiębiorstwach i instytucjach. Jako jedni z pierwszych będą z nich korzystać od stycznia przyszłego roku – na początek w ramach testu – listonosze w miastach Concorde (New Hampshire) i Fort Myers (Floryda). Następnie przewiduje się wykorzystanie pojazdów w dużych zakładach produkcyjnych i magazynach, w obsłudze ruchu turystycznego. Segwaye otrzymają do dyspozycji pracownicy ochrony różnych firm i osoby poruszające się w obrębie kampusów uniwersyteckich.

Sukces czy klęska?

Kamen przekonuje, że jego wynalazek przyczyni się do zwiększenia ludzkiej mobilności, pozwalając lepiej wykorzystywać własny czas. Twórca segwaya podkreśla też jego korzystny wpływ na jakość życia w aglomeracjach miejskich. Jeśli ten rodzaj transportu upowszechni się, z ulic znikną korki samochodowe, a wszyscy mieszkańcy odniosą korzyść dzięki uwolnieniu powietrza od znacznej części zanieczyszczeń produkowanych przez silniki spalinowe.

Z punktu widzenia użytkownika problemy może jednak stwarzać parkowanie tego typu pojazdu. Co prawda zmieści się on na każdym skrawku jezdni czy chodnika, ale pozostawiony na ulicy łatwo padnie łupem złodzieja. Ważące blisko 30 kg urządzenie nie nadaje się zbyt do wnoszenia do domu (szczególnie, gdy ktoś mieszka na trzecim piętrze w budynku bez windy), a dla rabusia ciężar pozostawionego poza domem pojazdu nie stanowi przeszkody.



WYNALAZCA I ZAŁOŻYCIEL PAŃSTWA

DEAN KAMEN bywa porównywany do Edisona. Posiada ponad 150 patentów, które przyniosły mu wielomilionową fortunę i doktorały honorowe różnych uczelni, choć jest samoukiem. Wśród jego najważniejszych wynalazków wymienia się strzykawkę, która umożliwia osobom chorym na cukrzycę samodzielne wstrzykiwanie sobie insuliny, przenośny aparat do dializy nerek, wózek inwalidzki potrafiący wspinać się po schodach i stenty do udrażniania naczyń krwionośnych (których użyto w tym roku w leczeniu amerykańskiego wiceprezydenta Dicka Cheney).

Kamen nie przywiązuje wagi do ubioru i na najważniejszych uroczystościach potrafi pojawić się w dżinsach i drelichowej kurtce. Mieszka w zaprojektowanym przez siebie domu, który zasilany jest energią wiatru, ale posiada też prywatną wyspę u wybrzeży stanu Connecticut, której nadał status samodzielnego państwa z własną flagą i walutą. Podstawową jednostką monetarną jest... liczba pi. Kamen, jako „głowa państwa”, podpisał z prezydentem Bushem seniorem pakt o nieagresji między North Dumpling a Stanami Zjednoczonymi.

Inny problem to brak zabezpieczeń na wypadek kolizji. Segway rozwija prędkość szybko biegnącego człowieka. W przypadku zderzenia dwóch osób jadących z naprzeciwka skutki mogą być więcej niż bolesne. Jeśli powtórzą się niebezpieczne wypadki, początkowy entuzjazm dla nowego środka transportu może opaść.

O sukcesie lub klęsce wynalazku zadecyduje ostatecznie rynek.

Jeśli zdobędzie masową klientelę – przejdzie do historii jako osiągnięcie na miarę żarówki, samochodu czy komputera osobistego. W przeciwnym wypadku jego kariera zakończy się tam, gdzie spotyka się dziś wózki akumulatorowe, które kiedyś miały w miastach wyprzeć tradycyjny samochód. I może jeszcze stanie się atrakcją parków rozrywki.

LEŚLAW PETERS



Sennik zwierzęcy

Ptak jednym okiem śpi, drugim czuwa. My też tak kiedyś wypoczywaliśmy.

– Mojemu jamnikowi śni się polowanie – mówi dr Andrzej Kruszewicz, ornitolog z warszawskiego zoo. – A czy sen zwierząt różni się od ludzkiego? – Nie ma na to jednoznacznej odpowiedzi. Jak różny bywa wygląd i obyczaje zwierząt, tak odmienne mogą być długość i przebieg ich snu. Dotąd przebadano pod tym kątem blisko 200 gatunków.

Sny śniętej ryby

Wydaje się, że zasypiają wszystkie kręgowce. Jak długo oddają się błogiej drzemce – zależy od rozmiarów ciała, tempa metabolizmu oraz tego, czy zwierzę jest łowcą, czy ofiarą. Leniwiec olbrzymi śpi 20 godzin na dobę. Krowy, słonie, osły, owce czy konie, zadowolają się ok. 2-4 godz. snu. Tak długo jak człowiek – średnio osiem godzin – lubią spać króliki, świnię, kolczatki i świnki morskie.

Nawet zimnokrwiste gady i płazy co jakiś czas zapadają w stan odrętwienia podobny do drzemki. U pewnych gadów, np. żółwi czy kajmanów, zmienia się w tym czasie kształt fal mózgowych, co można zaobserwować w badaniu EEG. Niektórzy naukowcy wysnuwają z tego wniosek, że żółwie śnią. Inni uważają, że to jedynie wynik obniżenia temperatury ich ciała.

Hodowcy gadów muszą tu wykazywać się wyjątkową czujnością. Znane są przypadki pochowania żywcem śpiącego żółwia, bo wyglądał, jakby zdechł. Wydaje się, że zasypiać potrafią także niektóre ryby (np. ryba papuzia otacza się na noc słusową kopertą).

Owady przynajmniej raz w ciągu dnia zamierają na chwilę bez ruchu. Sen jest wśród zwierząt zjawiskiem dość powszechnym.

– U większości ssaków, tak jak u człowieka, podczas snu zmieniają się fale mózgowe – opowiada dr Kruszewicz. – Może to świadczyć, że przechodzą przez dwie fazy snu: klasyczną i tzw. paradoksalną – wtedy pojawiają się marzenia sennie. Takich zmian nie zarejestrowano jednak ani u owadów, ani u ryb, ani u płazów. Być może pewne gady oddają się marzeniom sennym – z całą pewnością śnić potrafią ptaki, które przecież pochodzą od gadów – tłumaczy naukowiec.

Oczy szeroko zamknięte

Wyśmiewany przez ludzi ptasi mózdzek zdolny jest do rzeczy nieosiągalnych dla człowieka – potrafi czuwać podczas snu. W tej dziedzinie – co trzeba przyznać z pewną dozą zazdrości – ptaki to prawdziwe... półgłówki.

Można to sprawdzić, podchodząc drzemiące w parku kaczki. Śpią, jednym okiem czujnie obserwując świat. I, jak wykazali naukowcy z Indiana State University, ptakom wcale nie jest obojętne, które to oko. Opierzone śpiochy potrafią precyzyjnie sterować powstawaniem stanów snu i czuwania w różnych regionach mózgu. Kiedy jedna półkula zasypia, druga czuwa i reaguje na bodźce. Sen, w który zapada pół mózgu, przypomina przedłużone mrugnięcie – oko połączone z drzemiącą połową zamyka się, podczas gdy drugie czujnie łapie.

Przyczyną takiego zachowania jest strach przed atakiem drapieżnika. Naukowcy sprawdzili to w prostym doświadczeniu. Ustawili cztery bardzo śpiące kaczki jedna obok drugiej, dzięki czemu dwa ptaki pośrodku czuły się bezpiecznie, mając po bokach sąsiadów. Pozostające na skraju zaś musiały być czujne – spędzały one 2,5-krotnie więcej czasu w śnie jednopółkulowym niż te w środku. Ich oczy zwrócone w nie osłoniętą stronę pozostawały otwarte przez 86 proc. czasu snu. Gdy półśpiącym kaczkom wyświetlano na wideo obraz skradającego się drapieżnika, ptaki natychmiast podrywały się gotowe do ucieczki.

Naukowcy uważają, że inne zwierzęta prawdopodobnie też umiały tak spać, ale utraciły tę zdolność dawno temu. Gdy ptaki doskonalili

czujny sen, pierwsze ssaki spędzały większość dnia śpiąc bezpiecznie zagrzebane w norach. Jednak o tym, że i my byliśmy kiedyś śpiącymi półgłówkami, świadczy zmiana wzoru naszych fal mózgowych w ekstremalnych warunkach, np. po ciężkich urazach. Aktywność naszego mózgu przypomina wtedy jednopółkulowy sen u ptaków. Być może jakaś bardzo stara część naszego mózgu przypomina nam, że zawsze trzeba mieć oczy szeroko otwarte.

Aaa, kotki dwa

Każdy widział zapewne, jak pies podczas snu przebiega łapami czy powarkuje. Koty też „biegną”, miauczą, prychają, udając się na oniryczne łowy. Zwierzęcy mózg testuje w ten sposób sieci neuronalne odpowiedzialne za zachowania ważne dla przetrwania gatunku. Podczas wyjątkowo intensywnego snu ruchy kocich łapek są bardziej gwałtowne. Jednak rzeczywistości polowaniu na wyśnione myszy zapobiega niemal całkowita blokada mięśni szkieletowych, która założona zostaje przez organizm zaraz po zapadnięciu w drzemkę. Chodzi o to, by aktywny mózg nie miał władzy nad ciałem, by zwierzę co chwila nie zrywało się z posłania, podążając za marzeniami sennymi.

Przekonał się o tym francuski neurofizjolog Michel Jouvet. Przeciął on u kota nerwowe „przewody hamulcowe” blokujące mięśnie. W efekcie zwierzę wchodziło w fazę snu paradoksalnego, nie tracąc władzy w kończynach. Zrywało się, tropiąc, atakując i uciekając przed niewidzialnymi wrogami. Nie reagowało przy tym ani na odgłosy, ani na błyski światła, ani nawet na podtykane mu pod pyszczek jedzenie.

Badania ptaków prowadzone przez naukowców z uniwersytetu w Chicago pokazały, że podczas drzemki doskonałą one swoje umiejętności

wokalne. Jako model posłużyły uczonym małe ptaszki australijskie – zeberki. Samczyki zeberek zdobywają damy swojego serca pięknym śpiewem, którym steruje wyspecjalizowana część ich mózgu. Naukowcy badali jej aktywność, gdy ptaki spały. Okazywało się, że ptasi mózg odtwarza podczas snu różne wersje melodii, których uczył się przed zaśnięciem – eliminuje gorsze i wybiera lepsze. Świadczyła o tym aktywność neuronów czołowego płata mózgu, odpowiedzialnego u ptaków za kontrolę śpiewu. No i to, że po obudzeniu się rano ptak śpiewał piękniej niż wieczorem.

Bogate marzenia sennie nie zależą jednak od urody zwierzątka. I brzydalom może śnić się coś przyjemnego. Dowodem są szczury, a świadkami neurobiolodzy z Massachusetts Institute of Technology, którzy rejestrowali aktywność elektryczną ich mózgów podczas dnia, zmuszając zwierzęta do poruszania się w labiryncie. Gdy szczury, zmęczone próbami znalezienia wyjścia, zasypiały, aktywność ich mózgów nie zmieniała się – szukały drogi w labiryncie nawet przez sen. Zwierzęta, tak jak ludzie, w czasie snu rozwiązują problemy, które zaprzętały ich umysł przed zaśnięciem.

Stary niedźwiedź mocno śpi

Fenomen zapadania w sen zimowy występuje (niestety) tylko w świecie zwierząt. Gdy temperatura spada, a na dworze śnieg i zawierucha, brunatne misie nie tracą czasu na snucie się po lesie. Zaszywiają się w zacisznych norach czy jaskiniach i ucinają sobie kilkumiesięczną drzemkę. Wtedy temperatura ciała zwierzęcia znacznie spada, maleje tempo przemiany materii, szybkość bicia serca i oddychania, zwierzę nie je, ale zużywa zapasy tłuszczu zgromadzone w ciele. Naukowcy twierdzą jednak, że niedźwiedzi sen nie jest prawdziwym snem zimowym, a tylko spoczynkiem. Jest dość płytki i często przerywany

SEN PORY LETNIEJ

W naturze istnieje także zjawisko będące przeciwieństwem snu zimowego – tzw. estywacja, czyli sen letni. To stan odrętwienia, w jaki zapadają zwierzęta latem, gdy brakuje pokarmu i wody z powodu suszy. Estywacja jest typowa dla wielu organizmów pustynnych oraz tropikalnych – tam gdzie występują pory deszczowa i sucha.



– np. samice niedźwiedzia często w styczniu budzą się, by... urodzić młode.

Poważnie zasypiają natomiast niektóre gryzonie: susły, wiewiórki, myszy, chomiki. Nietopere ucinają sobie drzemkę trwającą nieraz i sześć miesięcy. Zapadają w sen na początku października – i wtedy jeszcze czasem budząc się na chwilę. Gdy przyjdzie wiosna opóźnia się i temperatura nie sprzyja przebudzeniu, wycieńczone zwierzę może zginąć z głodu w czasie snu.

Ale nawet czując ssanie w żołądku, nietoperz nie miałby co liczyć na posiłek. Owady, stanowiące podstawową pozycję w jego menu, również zapadają w odrętwienie. Budzą je dopiero pierwsze ciepłe promienie słońca.

W podobny do snu zimowego stan zapadają też niektóre zwierzęta zmiennocieplne – głównie płazy i gady.

Sen zatem nie jest umiejętnością typowo ludzką – następstwem przerostu półkul mózgowych człowieka czy dużej aktywności jego mózgu. Nie da się go też powiązać ze zdolnościami intelektualnymi. Jak pisze Anthony Smith w książce „Umysł”, przy próbie oceny inteligencji poszczególnych zwierząt (choć kto może wiedzieć, czy leniwiec jest mądrzejszy od osła albo czy jest w ogóle mądry?), nie stwierdzono zależności pomiędzy zdolnościami umysłowymi a zapotrzebowaniem na sen. A jednak śpią i karaluchy, i myszy, i żyrafy, i rekiny. Pięciotonowy słoń śpi przeciętnie cztery i pół godziny, a ważąca 30 gramów nornica – dziesięć.

Nie budźmy ich. Przechodźmy obok na paluszkach. Bo kiedy zwierzę śpi, pewnie coś mu się śni. Co? Nie wiem tego ja. Nie wiesz tego ty... Dobranoc. Pchły na noc.

OLGA WOŹNIAK
rys. OLAF CIRUT



- *Posłuch w stadzie
- *Żałoba wśród słońi
- *Szlaki ptasich wędrówek
- *Kogo kocha kogut
- *Małpy – feministki
- *Pijany jak...



Zwierzę, a swój rozum ma

Krowy nie są głupie. Im krowa starsza, tym większy ma autorytet – stwierdzili prof. Heinz H. Sambraus i dr Klaus Osterkorn z Niemiec. Porządek hierarchiczny w jednym stadzie – choć ludziom na łące trudno to zauważyć – często latami jest ściśle przestrzegany. Zwierzęta maszerują z pastwiska do obory w niezmienną kolejność. „Szełowa” nie dostrzegalnie dyryguje zawsze stadem, często np. grożąc choćby uniesieniem głowy.

Doświadczenie w cenie

Z miłością i ufnością młode słońie garną się do starego przewodnika, bo od jego doświadczenia zależy przetrwanie całej grupy. Kiedy więc „szeł” czuje, że umiera i – chcąc słońiowym zwyczajem dokończyć żywota w samotności – ostatkiem sił próbuje odłączyć się od sta-

da, młodsze słońie głaszczą go trąbami, próbując włożyć choćby kępę trawy do pyska umierającego. Gdy zdechnie – zdarza się, że przez kilka godzin trzymają nad nim straż, a potem niepewnie ruszą dalej. Żal po utracie starego przewodnika trwa czasem parę tygodni.

– To prawda, że wiele gatunków zwierząt szanuje sędziwy wiek – mówi dr Andrzej Kruszewicz, ornitolog z Ogrodu Zoologicznego w Warszawie. – Najstarszy osobnik dominuje w stadzie i bez jego zgody młode często nie mają nawet prawa się rozmnażać. Tak dzieje się np. u wilków, surykatk czy niektórych ptaków, choćby południowoamerykańskich tanger.

Im wyższa inteligencja ssaków i ptaków, tym więcej mają różnorodnych, czasem wręcz ludzkich, zwyczajów. O nawykach każdego spośród 9 tys. ptaków świata można

by napisać gruby tom. Np. nasze pocziwe wróble jako jedyne w Polsce ptaki budują gniazda przed nadejściem zimy. Ich ożywienie podczas budowy „M-2” graniczy wręcz z podnieceniem seksualnym – bywa, że wtedy kopulują, składają nawet jajka. Zimą doskonale wiedzą, jak i inne ptaki, że pożywienie muszą zdobywać minimalnym nakładem energii. Napuszone, chodzą powolutku i zjadają to, co znajdują w pobliżu. Instynktownie wiedzą, że gdyby zaczęły się szybciej poruszać, nie przeżyłyby mrozów.

Ptasi mózdek?

Gdy nadchodzi zima, ludzie odżywają się bardziej kalorycznie. Dwa miliardy ptaków Europy,

które zimą nie mogą tak łatwo jak człowiek zmienić diety, z końcem lata odlatują do Afryki.

Bociany, nie mając kalendarza ani zegarka, wiedzą, że wszystkie równocześnie wystartować muszą z Polski w upalny popołudniowy dzień w połowie sierpnia.

– W takim dniu powietrze ogrzewa się i unosi, tworząc kominy. Zwykle dzieje się to w sierpniu, właśnie wczesnym popołudniem – wyjaśnia ornitolog. – Ptaki wyczuwają



powietrze pod skrzydłami tak, jak człowiek wyczuwa ziemię pod stopami. Bociany właśnie wtedy mogą swobodnie szybować, wykorzystując owe kominy powietrzne i – kierując się ku Afryce – swobodnie z jednego do drugiego się prześlizgują.

Niektóre ptaki nawigują według położenia gwiazd i linii pola magnetycznego Ziemi. Bociany wybierają zawsze trasę przez Bosfor albo przez Gibraltar, nigdy nie ryzykując lotu nad Morzem Śródziemnym. Skąd wiedzą, że nad nim nie tworzą się kominy powietrzne? Z powodu słabych prądów piersiowych nie mogłyby przelecieć nad morzem tzw. lotem czynnym.

W Afryce lecą wzdłuż prastarego szlaku karawan, wiedząc, że co sto kilometrów znajdują się tam oazy, gdzie mogą się napić wody. Ale też korzystają ze zdobyczy cywilizacji. Od siedmiu lat Saharę pokonują nocą, choć nigdy wcześniej tego nie robiły, gdyż po zachodzie słońca nad pustynią nie występują prądy wznoszące. Ale odkryły pola naftowe i płonące pochodnie gazu ziemnego. To one wskazują ptakom drogę, a ciepło spalanej gazu wywołuje wznoszące prądy powietrza.

Kierując się pamięcią geomagnetyczną, do swego gniazda w Afryce trafiają bezbłędnie, podobnie jak do gniazda w Polsce.

Trudne związki

O tym, że ptak potrafi cierpieć i nie tracić nadziei, świadczą losy pewnej pary gęsi. Gdy niemieccy naukowcy pochwycili samiec, by poddać ją badaniom w laboratorium, zrozpaczony gąsior przez cały rok co dzień przeszukiwał okolicę jeziora, gdzie zniknęła jego towarzysza. Po upływie roku uczeni wypuścili samicę, a on w ciągu dwóch dni ją odnalazł.

Liczne doświadczenia z ptakami wykazały, że samotnicy żyją krócej niż małżeństwa. Dobrana para mew trójpalczastych potrafi przeżyć razem 26 lat, mewki-samotnice nie dożywają ośmiu. Jeśli samica nie znajdzie idealnego partnera, tuż przed okresem godowym wstępuje „z rozsądku” w przypadkowy związek. Kłótniom i sprzeczkom nie ma wtedy końca, a ich dzieci nawet padają z głodu.

O „równouprawnienie” skutecznie walczą niektóre gatunki małp. W stadach makaków samice często maltretowane są przez swych partnerów bez powodu. Część z nich zbuntowała się i wywalczyła akceptowane przez samców prawa. Inne samice po osiągnięciu dojrzałości postanowiły, że będą nadal zależne od matki – tworzą coraz liczniejsze wspólnoty, do których samiec ma wstęp tylko w celach prokreacji i pod warunkiem, że zna reguły dobrego wychowania.

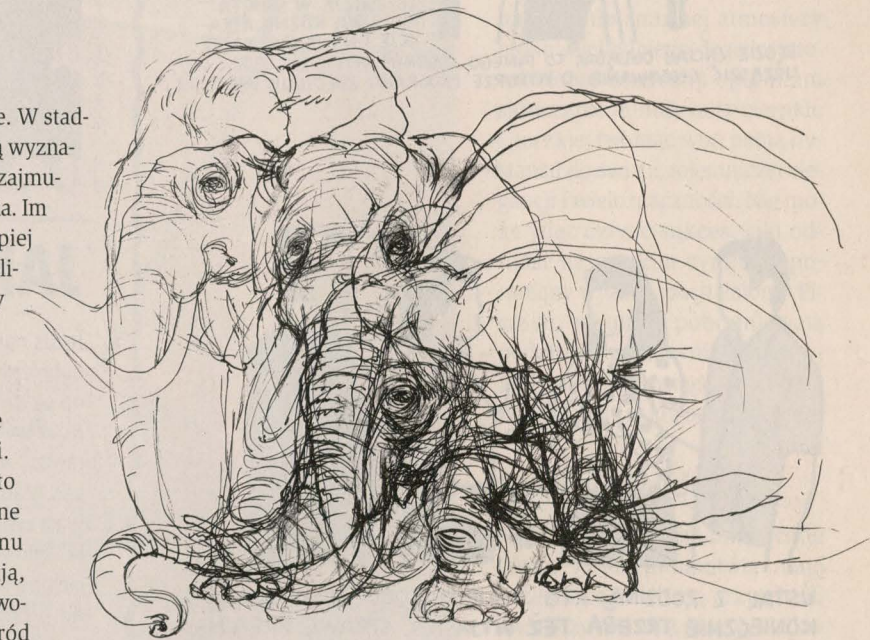
Pijany jak...

Kogut woli brzydule. W stadku hierarchię społeczną wyznacza pozycja, jaką kura zajmuje w kolejności dziobania. Im znajduje się wyżej i lepiej jest umięśniona, tym bliżej jej do koguta, który jednak wyraźnie lekceważy wysoko stojące „damy” i niechętnie spełnia wobec nich swe „męskie” obowiązki. Względami darzy za to kury z klasy niższej, one bowiem najchętniej mu się podporządkowują, otwarcie demonstrując swoje wdzięki i tylko wśród nich może się czuć władcą, choć właśnie owe niechciane przez koguta „damy” mają więcej piskląt.

Świnie, dziki i jeże lubią alkohol. – Eksperymenty wykazały – mówi dr Kruszewicz – że jeśli świniom dać niskoprocentowy alkohol z dodatkiem soku pomarańczowego, z lubością litrami go spożywają. Po

pierwszej libacji wszystkie są tak pijane, że ignorują też uczestniczącą w pijatyce szełową. Zataczają się i zasypiają, głośno chrapiąc.

Na drugiej libacji z opilstwa „na umór” rezygnują osobniki stojące najwyżej w hierarchii danej grupy, które są w jej środku, oraz te na samym dnie. Wiedzą doskonale, ile mogą wypić, by się nie upić. Szełowa stada na „drinka” nie daje się skusić, jakby pamiętając, że gdy była pijana, całe stado ją lekceważyło.



Na umór za to znów piją osobniki znajdujące się tuż poniżej szczytu drabiny społecznej i tuż powyżej dna. Piją osobniki najsilniej zestresowane – które połknęły „bakcyła władzy” i mają ambicję szybkiego wspięcia się na szczyt, oraz te, które obawiają się, że stoczą się na dno.

Jedne i drugie nie znają umiaru. Świnie znajdujące się najniżej w hierarchii piją dużo mniej, jakby godziły się z faktem, że nic ich pozycji nie polepszy.

Coś mocniejszego lubią także małpy i słońie. Po alkohol zawarty w sfermentowanych owocach sięgają prawdopodobnie od tysięcy lat. Widać, że i w świecie zwierząt istnieje potrzeba odurzania się. Przylatujące do nas na zimę jemiotuski chętnie zjadają fermentują-

IBO

rys. OLAF CIRUT

Zobacz, co słyszysz

99.40 FM 91.30 FM
RADIO ECHO
93.80 FM
ul. Wałowa 6
33-300 Nowy Sącz
tel. (0-18) 443-73-21

98.10 FM
Radio MAKS
Tarnów
Biuro reklam Radio MAKS tel./fax (014) 621-29-29

RADIO PARADA
96.00 FM

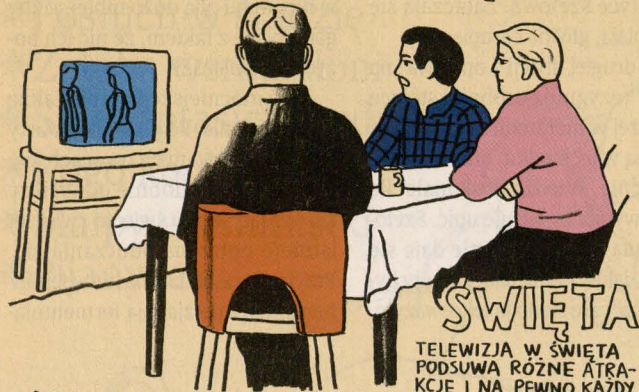
ŚLUPSK 91.50 FM
KOSZALIN 99.70 FM
LEBORK 102.90 FM
Vigor
RADIO

radio Merkurs
POZNAN
Reklama: tel. (0-61) 885-83-73
91.1 FM
91.9 FM
100.9 FM
102.7 FM
103.6 FM

RADIO KRAKOW
Małopolska
Krośnice: 101.4 FM
Tarnobrzeg: 101.0 FM
Nowy Sącz: 90.0 FM
Zakopane: 100.0 FM
Krynica: 102.1 FM
Białka: 87.4 FM
Sucha Beskidzka: 87.4 FM
Święto: www.radio-krakow.pl

Ostrołęka
RADIO OKO
106.7 MHz

JAK W ZGODZIE SPĘDZIĆ



BĘDZIE CHCIAŁ OGŁĄDĄĆ CO INNEGO. DOBRYM WYJŚCIEM BĘDZIE URZĄDZIĆ GŁOSOWANIE. O WYBORZE PROGRAMU ZDECYDUJE WIĘKSZOŚĆ.

TEKST NA PODST. PORADNIK DOMOWY



USTAL Z RODZINĄ KTO I KIEDY KOGO ODWIEDZA. KONIECZNIE TRZEBA TEŻ WYJAŚNIĆ SPRAWĘ PREZENTÓW. TYLKO DLA DZIECI, CZY TAKŻE DLA DOROSŁYCH? Z KARTECZKĄ INFORMUJĄCĄ OD KOGO JEST PREZENT, CZY Z ZACHOWANIEM WERSJI O ŚWIĘTYM MIKOŁAJU?

GDY PRZY ŚWIĄTECZNYM STOLE TEŚĆ ZACZNIE ZBYT CZĘSTO WSPOMINAĆ O WYNIKACH TEGO-ROČNYCH WYBORÓW, SPRÓBUJ ZMIENIĆ TEMAT LUB POWIEDZ MU WPROST:



RYŚ. MARCIN MACIEJOWSKI



ILUSTRACJA BOGNA OTTO-WEGRZYN

JAK SIĘ RODZIŁ JEZUS?

Jezus narodził się najprawdopodobniej w skalnej grocie, w której na co dzień trzymano zwierzęta. Józef wybrał tę kwaterę jako najtańszą, zresztą nie było czasu szukać, Maria coraz wyraźniej odczuwała zwiastujące bliski poród bóle.

Było zimno, ciemno i brudno. Przybyłe z Nazaretu młode małżeństwo spało na słomie przykrytej derką. Wiał zimny wiatr, co jednak, zgodnie z odwiecznym prawem natury, nie miało żadnego wpływu na kondycję i matki, i przyszłego dziecka.

Nowo narodzone i wykąpane w pobliskim potoku dziecko złożono najprawdopodobniej we wnęce skalnej. Poród młodzieńkiej, 12–15-letniej Marii odbierał sam cieśla Józef. Obecność medyka wśród nędzarzy należy wykluczyć – nie wolno było mu hańbić się odbieraniem porodu. Zresztą bardziej interesowałby go układ gwiazd w momencie narodzin niż stan rodzącej. Jeśli w Betlejem była akuszerka, to też za darmo nie przyszłaby.

Maria nie miała też – bo i skąd – w nieznanym sobie, obcym miasteczku – żadnych służących pomocą kobiet. Pozostawał mąż – serdeczny, opiekuńczy i zapewne ogromnie stremowany, bo nigdy – zgodnie z ówczesnym obyczajem – ani nie odbierał, ani nie widział porodu.

Ale Maria – mimo że okrutnie zmęczona podróżą z Galilei do Judei – urodziła na garści słomy zdrowe, piękne dziecko. Maria była przyzwyczajona do wszelkich niewygód.

Podobnie jak tysiące jej siostr nauczona była, że dziecko urodzić musi szybko, bo wędrujące plemię nie będzie długo czekać. Żydz, podobnie jak niektóre dzisiejsze kobiety afrykańskie czy południowoamerykańskie ludy koczownicze, nie dawali położnicom zbyt wiele czasu i niezbyt się o nie troszczyli. Kobiety rodziły często same, w lesie, na łące, nad strumieniem, by po krótkim czasie dotrzeć do swych współplemieńców.

(LM)



RYŚ. JANUSZ STEFANIAK

Kiedy Thierry Mugler postanowił sygnować perfumy własnym nazwiskiem, zapragnął, żeby były w nich zawarte zapachy jego dzieciństwa – aromat waty cukrowej, czekolady i karmelu. Perfumiarze byli zaskoczeni jego żądaniem, jednak zrealizowali zamówienie. Doznali jeszcze większego szoku, kiedy okazało się, że pełen smakowitych woni Angel udanie rywalizuje we Francji z perfumami wszech czasów – Chanel No 5.

Sukces pachnidła Muglera, wprowadzonego na rynek w roku 1992, zrewolucjonizował sposób kreowania kompozycji zapachowych. Wybitny nos, Pierre Boudron, twórca m.in. Cool Water, mówi wprost, że nowoczesne perfumy starają się oddziaływać na podświadomość ludzi poprzez odwołanie się do wspomnień z dzieciństwa. Pachną więc coraz częściej śmietanką, grządką z pomidorami, cukierkami toffi, przypalonym mlekiem itp.

Nurt wspomnieniowy istniał w świecie perfum na długo przed powstaniem Angela. Już kilkadziesiąt lat temu angielski przedsiębiorca i producent perfum Alfred Dunhill zauważył, iż synowie dobierają zapachy, kierując się gustami ojców. I wcale nie miał na myśli faktu, iż niektórzy młodzi ludzie chcą zrobić przyjemność tacie, a tym samym zachęcić go np. do spłaty ich długów, lecz dostrzegł fakt, że gust zapachowy w dużej mierze kształtują właśnie wspomnienia, jednak nie wspomnienia aromatu łakoci, lecz zapachu perfum.

Kiedy mama jest ideałem

Teorię powyższą zdają się potwierdzać życiorysy osób związanych ze światem perfum. Pierwszym pachnidłem, z którymi zetknęła się Paloma Picasso, było szyprowo-korzenno-owocowe Mitsouko jej matki, malarki François Gilot. Po latach córka słynnego malarza zadebiutowała na rynku zapachów kompozycją, której szyprowo-kwiatowy akord zasadniczo korespondował z klasycznym zapachem firmy Guerlain.

Słabość do perfum matki ma również dyrektor kreatywny domu

Zapachy ?
dzieciństwa

FOT. KUBA DĄBROWSKI

Jakie pachnidła wybieramy? – decydują o tym m.in. wspomnienia.

mody Gucci, Tom Ford. W swoim biurku ukrywa jej ulubione orientalne pachnidło – Opium, w którym silnie zaakcentowana jest woń paczuli. Jak przyznaje sam kreator mody, to dlatego w zapachu Rush jedną z dominujących nut jest właśnie paczula...

Zapach Polski

Wspomnienia zapachowe kształtują gust nie tylko jednostek, lecz całych społeczności. Na przykład w krajach Europy Środkowej i Wschodniej bardziej niż w innych częściach świata cenione są wyjątkowo wyrafinowane zapachy okre-

ślane przez perfumiarzy jako szyprowe. Warto więc zapytać, jakie pachnidło dominowało w polskich domach 20–30 lat temu, kiedy dorastały obecne klientki perfumerii? Odpowiedź może być tylko jedna – perfumy „Być może...”, szyprowa kompozycja z roku 1963, której sprzedaż w latach siedemdziesiątych przekraczała 11 000 000 (jedenaście milionów!) flakoników rocznie, bijąc światowe rekordy.

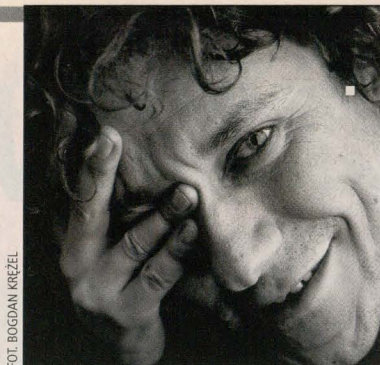
Ten firmowany przez warszawską Urodę zapach idealnie pasował do smutnej atmosfery bloku wschodniego. Jego kwiatowe ciepło i radosny optymizm skutecznie tłumiły nuty cierpkie i gorzkie, tworząc woń pełną dystansu do świata, tajemniczej elegancji i wieloznaczności. Nie może więc dziwić sukces, jaki odniósł na polskim rynku wspomniany wyżej zapach Palomy Picasso, w którym pobrzmiewają podobne nuty. Równie dobre wyniki sprzedaży osiąga on jedynie w Meksyku i w krajach arabskich.

Freud by się ucieszył

O tym, iż psychoanalityczne teorie w perfumiarstwie mają przed sobą świetlaną przyszłość, świadczy również niezwykle kariery męskiego zapachu Le Male sygnowanego przez Jeana Paula Gaultiera. Francuski projektant mody reklamuje swoje pachnidło, które od miesięcy wiedzie prym w rankingach sprzedaży jako zapach identyfikujący się ze wspomnieniami dzieciństwa – wonią starych salonów fryzjerskich i ciasteczek babuni. Duża popularność tej wody toaletowej wcale jednak nie musi świadczyć o tęsknocie za starym golibrodą. Gaultier kusi mężczyzn również obietnicą, że jego zapach wydatnie podkreśli ich atrakcyjność, z freudowską fantazją nazywając tę kompozycję zapachową Le Male (samiec).

Coraz większa popularność psychoanalizy w perfumiarstwie dobrze wróży dziennikarzom piszącym o perfumach... Jakże atrakcyjny będzie na przykład wywód wyjaśniający, zgodnie z duchem nauk wiedeńskiego psychiatry, przyczyny ogromnej popularności „Płynu ogórkowego”...

AGATA WASILENKO



FOT. BOGDAN KRZEL

1.12.01

Występ pisarza polega z reguły na tym, że pisarz czyta swoje utwory – co już samo przez się jest kwintesencją nudy. Występ pisarza zagranicznego to nuda do kwadratu – czyta on bowiem swoje w języku obcym, czyni zatem rzecz nudną w sposób dodatkowo niezrozumiały i trudny w odbiorze. Rozmowa z takim pisarzem – nawet za pośrednictwem tłumacza – nie wchodzi zupełnie w rachubę, gdyż nowoczesna publiczność polska nie ma zwykle do pisarza żadnych pytań. Pisarz przyjeżdża, czyta swoje do pustej (lub w najlepszym razie milczącej) sali, po czym wraca do domu – lepiej więc, żeby nie przyjeżdżał wcale.

Piszę te słowa, bo właśnie wczoraj odbył się w Willi Decjusza wieczorek poety rosyjskiego Dymitra Kuźmina (gay poety z Moskwy, rewelacja!), na którym byli oczywiście głównie rusycyści; poetów polskich reprezentowaliśmy we trójkę z Markiem Wawrzyńskim i Łukaszem Maraszkim (o ile Łukasz rzeczywiście pisze jakieś wiersze), no i co? No i wynudziliśmy się jak mopsy. Słuchanie poezji jest jednak diabelnie nudne.

2.12.01

Podczas tegorocznych Europaliów, z racji odbywającej się tam wystawy Irreligia, dało się zaobserwować wzmożone zainteresowanie Kościoła najnowszą sztuką polską. Wypowiadali się na jej temat najwyżsi dostojnicy kościoła. Były to co prawda wypowiedzi niechętnie, krytyczne i wręcz potępiające, niemniej mam wrażenie, iż jest to krok w kierunku normalizacji, pewnego w każdym razie ożywienia stosunków między Kościołem i artystami, przełamania tego kompletnego désintéressement, jakie Kościół przez ostatnią dekadę wobec sztuki prezentował i które odbijało się, niestety negatywnie, na jakości estetycznej wszystkich organizowanych przezeń uroczystości. Być może artyści, zwróciwszy już na siebie uwagę Kościoła swoimi bluźnierczymi bądź tylko prześmiewczymi pracami, otrzymają teraz wreszcie poważne propozycje stworzenia dzieł niebluźnierczych, religijnych po prostu (bo widać, że coś ich w tym kierunku ciągnie), dzięki czemu, ku obopólnej korzyści, podtrzymana zostanie ponadtyścioletnia tradycja kościelnego mecenatu...

3.12.01

Właściwie to mam ciekawe życie i mógłbym na nim poprzestać, ale znalazłem właśnie na stole notatkę z zeszłego tygodnia i bardzo mnie ona rozbawiła. W zeszłym tygodniu, jak wiadomo, jeden polityk ob-

raził drugiego z wysokości swojej marszałkowskiej łaski (ach, ale kto mu ją dał? i po co?), wywołując tym jakąś straszną aferę, szum (jak to mówią) wokół swojej osoby. Ale chodzi mi o to, co powiedziało radio. Otóż polityk pierwszy (nazwijmy go L.) określił drugiego mianem „kanalii” (właśnie tak: „określił”), po czym go wszakże przeprosił, dodając, iż określenie to dotyczyło „funkcji ministra, a nie jego osoby”. Już to samo w sobie jest dość zabawne, że funkcja może być „kanalią”, mimo iż sprawuje ją porządny w sumie człowiek. Ale jeszcze zabawniejszy jest komentarz drugiego polityka (nazwijmy go C.); stwierdził on mianowicie, że przeprosiny te „były

Czego mi ostatnio na wystawach brakuje, to dzieł sztuki. Te fotografie Gudzwatego z Afryki świetne, tyle że tak naprawdę nie są to fotografie, tylko jakieś niedobrej jakości wydruki, zwykle reprodukcje, żadnego poczucia obcowania z czymś unikatowym, równie dobrze mógłbym sobie kupić kalendarz i miałbym w nim to samo, tyle że trochę mniejsze. Z kolei u góry Zuzanna Janin ze swoją „przestrzenią walki”, dla mnie to dosyć ciekawe, bo nigdy nie widziałem na oczach boksera ringu, a to jest właśnie ring, wokół którego na ścianach puszczane są filmiki przedstawiające „walkę”, jaką Zuzanna (po trzech miesiącach treningu) stoczyła z bokserem wagi ciężkiej.



równie łajdackie jak to, czego dotyczyły”. A czego właściwie dotyczyły? Niechże każdy w cichości ducha sobie na to pytanie odpowie.

4.12.01

Potrójny wernisaż w Bunkrze Sztuki; ludzi tyle, że się nie mieszczą w przedsionku i na korytarzu, a przemówień musi być co najmniej sześć, stoimy na zewnątrz, paląc papierosy i wymyślamy, że można by wszystkie wernisaże z całego roku zgrupować w jeden dzień, to by dopiero była wielka, oszczędna impreza, w końcu już prelegenci wycofują się i tłum rusza, na salę, do ciepłego. Wpadamy tam i nagle znajdujemy się w obliczu innego tłumu, są to antylopy gnu, które pierwszego dnia pory deszczowej ładują się do jakiejś wyschniętej dotychczas rzeki, a tam już na nie czekają krokodyle z rozdziawionymi paszczami, nieźle pandemionium, i tylko gdzie jest winko? Już wypite?

ADAM WIEDEMANN

... dla wrażliwych

Z właściwościami należy się zapoznać przed zastosowaniem.

Skład: Substancja publiczna: Program 1 (polityka i Enrique), Program 2 (biesiada i ballada), Program 3 (skład nieznany). Substancje pomocnicze: TVN, Polsat, TV4, RTL, Canal+, Wizja Sport i inne.

Opis działania: wspomaganie redundancji („Monitor Wiadomości”), łagodni ból istnienia (obradę sejmową w „Dwójce”), zmniejszanie zdolności kojarzenia („Pegaz”). Nie usuwa przyczyn stanu zapalnego lub gorączki („Tygodnik Polityczny Jedyński”). Wskazania do stosowania: można stosować w krótkotrwałym leczeniu następujących dolegliwości:

- zmęczenie umysłu („Rozmowy w toku”),
- bolesne miesiączkowanie („Rodzina Kiepskich”, „Adam i Ewa”),
- ograniczenie ruchów w stawie barkowym (komentarze sportowe w Wizji Sport),
- pomocniczo w ciężkich, bolesnych zapaleniach uszu, nosa lub gardła (zespół „Ich Troje”, koncerty prowadzone przez Agatę Młynarską).

Przeciwwskazania: w czasie świąt i wakacji (powtórki).

Zalecane środki ostrożności:

nie stosować podczas ciąży i karmienia piersią.

Stosowanie u dzieci:

tylko powyżej 14. roku życia

w małych dawkach. Konieczne

odstawienie „Rowe-

ru Błażeja”.

Stosowanie u osób

w podeszłym wieku:

tylko z ciśnieniomie-

rzem pod ręką. Jest

wskazane, aby pacjenci

w podeszłym wieku natych-

miast zawiadamiali lekarza, jeżeli

przeżyją programy pani Jaworowicz

i pana Kwiatkowskiego.

Wpływ na zdolność prowadzenia pojazdów, obsłu-

gę maszyn i sprawność psychofizyczną: może wystąpić senność i za-

burzenia widzenia.

Interakcje z innymi używkami: dobra reakcja z alkoholem podczas relacji pani Pień-

kowskiej z ataku terrorystycznego na WTC.

Dawkowanie: kilkugodzinne dawki w przypadku psychoz.

Pominięcie dawki: należy przyjąć dawkę możliwie najszybciej w postaci „Gościa

Jedyński” z Gembarowskim lub „Piątki u Semki”.

Sposób postępowania przy przedawkowaniu: nie przejmować się.

Działania niepożądane: zaburzenia słuchu, dzwonięcie w uszach, mrowienie koń-

czyn, drażliwość, depresja, świszczący oddech.

Przechowywanie: niestety w domu.

Nazwa i adres wytwórcy: Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji, Warszawa.

WŁAJERKA

... dla twardzieli

Telewizja jest na niby. Papierosowy smród jest realny.

Kupiłeś nowy telewizor? W promocji? I to ze stolikiem gratis? Super! Ale zanim go włączysz, zapoznaj się z instrukcją. Oto specjalna wersja dla twardzieli. Tych sprytnych, co kupują w promocji. Oczywiście wersja skrócona, bo wiadomo – szkoda oczu na czytanie.

1. Przed użyciem nie korzystaj z ulotek, programów drukowanych w prasie, przewodników po stacjach polskich i obcych. Tylko mięczaki słuchają „dobrych rad”. Twardzieliom wystarczy instrukcja obsługi telewizora.

2. Nie kombinuj przy wyborze kanału. Strzelaj. Pamiętaj, że masz duże szanse, bo prawdopodobieństwo trafienia na któryś z kanałów Zygmunta Solorza jest dwa razy wyższe niż na każdy inny. Jeśli w lewym górnym rogu pojawi się napis „Polsat” lub TV4, to znaczy, że trafiłeś. Jeśli nie, strzelaj dalej, do skutku. W końcu prawdziwego twardziela poznaje się nie po tym, jak zaczyna, lecz jak kończy.

3. Możesz czasem włączyć dźwięk, choć nie jest to konieczne.

Pamiętaj, że kultura twardzieli, to kultura obrazkowa.

4. Jeśli przegapisz swój ulubiony serial, nie wpadaj w panikę, nie upijaj się i nie oddawaj domowej przemocy. Weź głęboki oddech i policz do dziesięciu, to przejdzie. A rano będzie powtórka.

5. Podczas powtórki zachowaj spokój bez względu na okoliczności. Nawet gdy Milagros nie będzie w stanie zdjąć z palca pierścionka zaręczynowego, otrzymanego od Martina. Musisz się trzymać. Pamiętaj: chłopaki nie płaczą.

6. Nosi cię po chałupie, nie możesz sobie znaleźć miejsca, nerwowo zerkasz na zegarek... Stało się. Jesteś uzależniony. Skoro już wpadłeś w ciąg, uważaj, żeby nie przedawkować. Zdecyduj się: albo „Po prostu miłość”, albo „Cud miłości”. Prawdziwy twardziel musi być jednak bezwzględny także wobec siebie.

7. Ale bez przesady. Czasem podaruj sobie też odrobinę luksusu.

Na przykład godzinę dziennie w świecie „Łysych i Blondynek”. Rozsiądź się wygodnie, pociągnij tyk browaru i zanuć: „Tak się bawi, tak się bawi, re-zer-wa...”

8. Jeśli strzelasz z strzelasz (pilitem), a goli na ekranie nie widać, to wcale nie znaczy, że przesadziłeś z browarem albo że spirytus do herbaty był bez akcyzy. Po prostu, jeszcze nie wykupiłeś dekodera.

9. Nie wychodź z siebie, gdy przerywają twoje ulubione reklamy głupimi filmami. Niestety, telewizja musi też uwzględniać potrzeby masowego odbiorcy.

10. Uwaga zasadnicza – bez jej uwzględnienia absolutnie nie wolno włączać odbiornika. Choć to bardzo trudne – zachowaj dystans wobec tego, co oglądasz. Nie dzwoń do programu „Zerwane więzi” tylko dlatego, że żona nie może znieść smrodu papierosów, które palisz. To wszystko jest na niby. To znaczy telewizja jest na niby. Smród jest jak najbardziej realny.

WŁAJER



FOT. BOGDAN KRZEL

POKOŁĘDUJMY RAZEM



WIECZÓR
Z KOLEKCJI
HOFFLANDU.

Autor: HOFF
Fotografował:
ROBERT KULESZA
Stylizacja:
Urszula Krzyżanowska
Modelka:
Ewa Skłodowska
Fryzury:
Tomek

Na wyłączność:
Galeria Centrum
Warszawa, Szczecin,
Wrocław.

Czekają nas niewątpliwie dni życia towarzyskiego, a właściwie towarzysko-rodzinnego. Będziemy się dość intensywnie przemieszczać pod hasłem „my do Was”, „Wy do nas”. Zobaczymy się z rodziną, bardziej lub mniej chcianą, ze starymi przyjaciółmi, posylwestrujemy z dalszymi znajomymi. Będziemy się mniej lub więcej starać, żeby sobie nie nadeptywać, prowadzić rozmowy na zasadzie slalomu, ale przeszkody nie zawsze dadzą się ominąć, bo tak straszliwie odmienne poglądy, jakie prezentujemy na każdy prawie temat, podlane nieco alkoholem, z trudem dają się stłumić.

No dobra, przy pewnej wielkiej chęci, przy ogromnej tolerancji i miłości bliźniego posuniętej do granic – możemy zawsze zmienić temat. Ale co robić, kiedy już sam wygląd pewnych osób jakoś nie daje się zaaprobować?

Wszyscy ci tysi ogromni nadludzie o potrójnych bicepsach, chodzie pośredniego ogniwa i okrutnej twarzy też siadają do stołów wigilijnych czy świątecznych ze swymi krewnymi czy znajomymi rodziców i na pewno nie zmieniają się na uroczystą chwilę w kogoś innego. Ostre panienki ukostiumowane na co dzień na typ pt. dziewczyna gangstera z natury rzeczy jako kobiety są bardziej elastyczne i za pomocą nawet małych trików potrafią przerobić się na tylko trochę może zbyt seksowną młodą mamusię. Ale faceci? Młodzi mężczyźni o przerażającym wyglądzie, poczuciu supersily i bezkarności, ze specjalnie wyćwiczonym wyrazem twarzy, który ma wzbudzać w patrzącym lęk.

Jest to ciekawe i w sumie dość nowe zjawisko. Ludzie, którzy chcą

wyglądać na złych, niedobrych, gorszych, niż są.

Jest to zupełnie sprzeczne z całą wielowiekową tradycją naszej cywilizacji, w której starano się wyglądem podnosić nieco w górę, wydawać się lepszym pod różnymi względami.

Samo straszenie wyglądem, które teraz widzimy w Polsce, jest rzeczą nową. Złodziei samochodów, napadające gangi młodzieżowe, bandytów różnego autoramentu poznajemy po wyglądzie z daleka, choć są to zajęcia, które na logikę powinny być zakamuflowane właśnie strojem.

Przysłowiowy złodziej brylantów w dawnych filmach był zawsze bardzo elegancki. Nasz rodzimy dresiarz, jeśli nawet nie ma złych zamiarów, już się „robi” na groźnego. Jest brzydki w tej poetyce, niezbyt pociągający dla kobiet, ale słodki dla kolegów. Groźny – tak ma być!

Wyrostki udają młodych bandytów, bardzo lubią, żeby się ich bać. Powiecie, że to są młodzi bandyci, lub zaraz będą, więc tak wyglądają. Ale jest to nieco dziwne zjawisko, że tak to manifestują stylem.

Jest to podkreślanie przynależności do grupy. Oczywiście.

Ale grupa chce wyglądać groźnie, właśnie chce mieć na czole napisane: „Ja jestem przestępcą!”, nawet ci młodzi, mali, którzy snują się wokół domów, a jeszcze nawet nie wybili żadnej szyby, już chcą wyglądać na złych chłopców.

W pewnych sferach jest moda na złego chłopca.

On się bardzo stara, żeby być odbierany jako zły, niedobry, groźny. Czy wzbudzi nasze ciepłe świąteczno-rodzinne uczucie?





FOT. BOGDAN KRĘŻEL

Większe porcje i częstsze patyczki

Mam na oknie dwie roślinki – jedna z nich ma mocny miętowy zapach i meszek na liściach, nie wiem, jak się nazywa, drugą nazywają „angina”. Na wiosnę jakoś tam obie ciągną, w lecie – a, jakoś się wegetuje, na jesieni mają depres, za to zimę wielbią. Jedna i druga zielone, wypuszczają nowe listki, prężą się, turgor jak w orkiestrze wojskowej, miło patrzeć.

Ciekawe, myślę sobie, co im się tak podoba. Stoję sobie przy oknie – okno jest wysoko, bo to, jak na warszawskie warunki, stary dom, lata trzydzieste zeszłego wieku (z którego wszyscy jesteśmy), parapet na wysokości klatki piorsowej – i patrzę w ten zimowy pejzaż miejski. Lubię tę porę – teraz to jest po trzeciej – kiedy szybko zaczyna zapadać zmierzch. Jeszcze jest popołudnie, choć światło jakby wieczorne, i palą się wszystkie światła.

Wszystko widzę zamglone, przyćmione, jakby oddalone, nie tylko dlatego, że od drugiej strony ulicy dzieli mnie wysadzony drzewami placik zwany Placem, ale też dlatego, że w powietrzu wisi zimowa mgła, z której z czasem pewnie opadnie śnieg, a na razie mgła przyjemnie wyucisza i zmiękcza światła; tramwaje i autobusy suną jako oświetlone okienka nad ziemią, a kiedy jeszcze trochę ściemnieje, wtedy zerwie się alarmujące kra-kra!!! i chmary wron i innych ptaków polecą gdzieś za miasto, żeby się tam przespać. Całkiem mi się podoba taka miejska przyroda. Lubię też choinkę, która za jakiś czas stanie na dalszym placu, niedaleko urzędu dzielnicowego, bo jest coś sympatycznego, co się nieczęsto zdarza, w tutejszej obyczajowości, kiedy na ulicy pojawia się coś, co jest wspólne, oznacza jakoś szczególnie uwspólnioną przestrzeń i życiową dla wszystkich atmosferę, a nikt tego nie połamie, nie ukradnie i nie napisze na tym sprayem

„Satan” czy „Legia król” – no, bo to ani Satan, ani Legia, tylko choinka i nie da się jej zasprejować.

Myślę więc sobie, kiedy tak patrzę w tę miejską mgłę, co by tu kupić Moim Kochanym, dwu- i czteronożnym, i czuję też, że wiem, co moja pies (akurat nie chcę mówić o niej „suka”, więc wychodzi na „moja pies”) miałaby do powiedzenia, gdyby rzeczywiście mogła się od serca wypowiedzieć w noc wigilijną. Powie: Pragnę większych porcji i proszę mi częściej rzucać patyczki!

Lubię, że Państwo reagują na moje reakcje. I ogromnie za te reakcje dziękuję.

Myślę też sobie, tak patrząc w ten coraz ciemniejszy i coraz bardziej kontrastowo świecący we mgle placik, że jeśli chodzi o „Przekrój”, to lubię moje tu porcje i patyczki, miło mi się snuje refleksje, podżega, prowokuje i rozlirycznia. Lubię, że Państwo reagują na moje reakcje. I ogromnie za te reakcje dziękuję – czy się Państwo zgadzają ze mną, czy nie, każdy (nienapastliwy) głos jest jak to światelko po drugiej stronie placiku (zwanego Placem).

Niemniej, żeby był postęp, sobie i Państwu życzę większych porcji i częściej rzuconych patyczków, tych, za którymi najprzyjemniej jest biegać.

BOŻENA KEFF

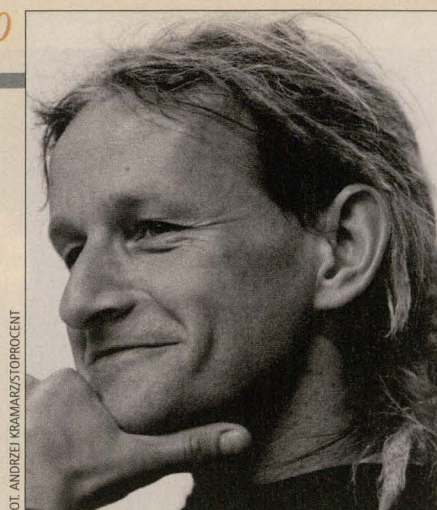
Owieczki, osioł i sępy

Pracowałem kiedyś w środku masowego przekazu. Radio to było. Ponieważ (jak twierdzi Marcin Pawełekiewicz) miałem irokeza, dali mi program dla młodzieży. Program podobał się i młodzież pisała do mnie listy. Czytałem je na antenie, a potem przełożony wzywał mnie na dywanik. Ciężka na mnie wielka odpowiedzialność. Lubiałem ten dywanik. Jego deseń na zawsze zostanie w mej wdzięcznej pamięci. Tyle razy, rugany przez prezesa, wbijałem weń wzrok, gdy nie było dokąd uciec z oczami! Przedstawiał zielone wzgórza nad Soliną, upstrzone spalonymi, żółtymi kalendarzami. Gdzieś tam walały się też krokodyle łzy moich poprzedników na tym dywaniku.

Dziś, świadom ciężkiej na mnie nieodpowiedzialności, pragnę jednak zająć się nie ważkim tematem estetyki wnętrza biurowych, a tematem Świąt Bożego Narodzenia. Parę lat temu młoda słuchaczka mojej audycji napisała przed świętami list, w którym okrutnie narzekała na ten czas; i czas przedświątecznej gorączki, i czas świątecznej konsumpcji kielbasiano-telewizyjnej. Dowaliła rodzicom i ciotkom, przejechała się po księdzu, raz albo dwa rzuciła kurwą. W świątecznym wydaniu audycji przeczytałem jej epistolę, po czym oczywiście miękko wyładowałem na dywaniku prezesa. Nic go nie obchodziła wolność wyrażania przekonań, a fakt, że obok listu zbuntowanej dziewczyny przeczytałem też parę ciepłych listów o promieniującym ze żłóbka ciepła, nie był w jego dobrotliwych oczach okolicznością łagodzącą. Po prostu burzyć uroczystego nastroju świąt tudzież obrażać uczuć religijnych nie wolno i kropka, a może nawet wykrzyknik.

Minęło z pięć lat, a problemu dwójakiego rodzaju przeżywania świąt nie rozwiązałem nawet na własny użytek. Z jednej strony klęczy ogromny katolicki naród z potężnym zapleczem tradycji i potęgą świątecznego biznesu, z drugiej stoi ateistyczna lub innowiercza mniejszość, na ogół milcząca, czasem hałaśliwa, często nadwrażliwa.

Tej pierwszej strony nie lekceważmy, wśród dziewięćdziesięciu, nie pamiętam ilu, procent zdeklarowanych chrześcijan jest na pewno parę procent lu-



FOT. ANDRZEJ KRAMARZ/STOPCENT

Im większym kto jest grzesznikiem, tym bardziej pcha się do bożonarodzeniowego żłobu. Wiadomo, chodzi o siano.

dzi, dla których Boże Narodzenie to przeżycie naprawdę głębokie i mistyczne.

Dla drugich też mamy wyrozumiałość, bo presja wywierana przez wszechobecną retorykę świąt i żałosny nastrój pseudożyciowości bywa niezwykle dotkliwa. Od połowy grudnia nie można usiąść w żadnej kawiarni, żeby nie być zmuszonym do słuchania kolęd. A śpiewanie kolęd w adwencie to nawet z chrześcijańskiego punktu widzenia występki. Zastanawiam się, czy ten nowy zwyczaj obraża moje uczucia i czy są to uczucia religijne. Ale coś trzeba zrobić z lawiną kolęd naprędce nagrywanych przez gwiazdy estrady, zarówno przez słowiki PRL-u, jak i sępy III RP (chyba tylko zespół „KAT” jeszcze się nie przełamał). Im większym kto jest grzesznikiem, tym bardziej pcha się do bożonarodzeniowego żłobu. Wiadomo, chodzi o siano.

Nie jestem synodem metropolitalnym ani nawet diecezjalnym, i mój głos w tej sprawie nie musi wiele znaczyć, ale większe zagrożenie dla religijnego ducha widzę w kręcącym się wokół Bożego Narodzenia biznesie niż w jawnej wrogości wobec świąt. Bo to, co jawny wróg w nas umacnia, wróg przeфарbowany rozmywa. Kiedy więc „pasterze śpiewają, bydła klękają”, uprzejmie proszę zwrócić uwagę na jedno z bydła. O, tam, między wołkiem i osiołkiem, ten w owczej skórze.

JACEK PODSIADŁO



FOT. PAWEŁ KLEIN

Talerz dla zmarłych

Niebezpieczna, bo – nie daj Boże – zjawi się nagle u nas i za stołem zasiądzie, zupy sobie zażyczy, dajmy na to, jakiś poseł. Albo inny polityk. I mam z kimś takim przełamywać się opłatkiem nadziewanym miłością i przebaczeniem? Mam z nim później przy stole dysputy toczyć? A niby o czym z takim klientem rozmawiać?

Dlatego też postanowiłem w tym roku na własny użytek lekko zmodyfikować świąteczną tradycję. Ten pusty talerz na moim wigilijnym stole nie czeka na nieznajomego. On niecierpliwie czeka na moich zmarłych. Tych, za którymi tęsknię. Czekają na Tomka, na Alicję, na Andrzeja, na Wiktora. I na wielu innych.

Odchodzili różnie. Nagle lub po długich i ciężkich chorobach. Odchodzili kilka tygodni temu lub przed laty. Odchodzili w pustkę i pustkę mi pozostawiali. Choć oprócz pustki także i garść wspomnień, które czynią życie łatwiejszym i lepszym. Nigdy nie wykreślałem z notosu ich telefonów i adresów, wierzyłem, że mogą się jeszcze przydać. I przydały się. Ten pusty talerz dziś na nich czeka. Na nich wszystkich. Niech przyjdą, zasiądą. Porozmawiamy sobie, pożartujemy, jak to wśród

przyjaciół. A na początku rozmowy damy sobie słowo, że nie będziemy narzekać – na zimną pustkę, która ich otacza, na zimną pustkę, która mnie otacza, na kiepskie czasy i małe zarobki, na to, że nikt już nie czyta naszych książek, na to, że powoli wszyscy o nas – żyjących i martwych – zapominają.

Puste nakrycie przy wigilijnym stole – to widok, jaki pamiętam od dziecka. Talerz dla strudzonego, nieznajomego wędrowca. To piękna, choć dziś dość niebezpieczna, tradycja.

Wypijemy trochę wódki. Tylko trochę, bo – jak mówią – wódka źle robi umarłym. Przełamiemy się opłatkiem, wybacząc sobie wzajemne zapomnienia – rzadkie wizyty na grobach, coraz rzadsze odwiedziny we śnie. Weźmiemy się za ręce i zaśpiewamy. Najpierw „Wśród nocnej ciszy”, a potem „Yellow Submarine”. Żeby i tradycji stało się zadość, a i by wesoło było.

ANTONI PAWLAK



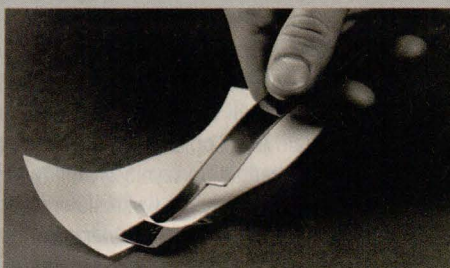
Dla MARKA KRÓLA projektowanie jest sposobem na życie. Mówi, że to coś na pograniczu pasji i choroby.

Bez recepty na pomysł

MARTA SOBOLSKA



Opakowania-zabawki dla dzieci – „Statki”. „Dziecko może schować do nich ulubione rzeczy, a potem puszczać je na wodzie”.



Nóż-nożyczki „Fala”. „Gdy przyciska się narzędzie do podłoża, dwa ostrza schodzą się i tną jak nożyczki”.

Szczupły, drobny nauczyciel z Zakopanego. Bardzo lubiany przez uczniów. Lubią go również Japończycy. Wykłada na Wydziale Form Przemysłowych krakowskiej ASP. Marek Król ma dopiero 32 lata, ale w swym zakopiańskim domu ma już kolekcję nagród z kilkunastu międzynarodowych konkursów. Jest wizytówką polskiego dizajnu, choć na razie głęboko schowaną w polską kieszeń – niewiele osób poza kręgiem projektantów wie o jego istnieniu. W PRL-u o takich jak on mówiło się „nasz towar eksportowy”.

Podbój Japonii

Pierwszy konkurs wygrał jeszcze na studiach. Była to nagroda główna na konkursie w Sakai za projekt nożyczek dla dzieci. Jest to właściwie misternie wygięty kawałek sprężystego drutu. Japończyków poruszyła ascetyczność projektu, pozbawionego jakichkolwiek ozdóbek, wykonanego przy minimum środków, a równocześnie bardzo zaawansowanego technologicznie. Dzięki tej nagrodzie otrzymał stypendium ministra i skrócono mu o rok studia.

Rok później w Osace otrzymał nagrodę burmistrza miasta – tym razem za „Studium przełączników elektrycznych”. To jeden z bardziej skomplikowanych projektów, chociaż jego forma, tak jak wspomnianych nożyczek, jest czysta i oszczędna. Naturalnie ukształtowane, białe, dyskretne urządzenia „zapraszają do gestów eleganckich, łagodnych, pełnych szacunku” – jak komentuje autor pomysłu. W finale owego konkursu znalazł się jeszcze jeden jego projekt – „Bajkowy telefon”.

Marek został zaproszony wraz z żoną do Osaki na otwarcie wystawy i uroczystość wręczenia nagród, a ponieważ termin wyjazdu pokrywał się z datą ich ślubu, pobrali się dwa tygodnie wcześniej. Dobrej passy u Japończyków dopełnił nóż-ryba, za który dostał nagrodę specjalną, w Sakai.

Czasem coś się uda

W Polsce pierwsze wyróżnienie spotkało go dopiero w tym roku podczas IV Biennale Sztuki Projektowania w Krakowie. Dostał nagrodę za puzzle z plastra drewna i koszulkę „Gimnastykę”. „Na każdy konkurs przygotowuję kilkadziesiąt pomysłów, a wybieram tylko kilka. Znajomi śmieją się, że pracuję hurtowo. Wymyślałem różne rzeczy, od zupełnie przyziemnych do całkiem zwariowanych, skaczę po tematach. No i czasem coś się uda. Nie mam recepty na dobry pomysł. Im wyżej sobie stawiam poprzeczkę, tym większa szansa, że nawet najgorsza praca będzie ciekawa”. Większość projektów Marka łączy niebywałą prostotę z oszczędnością materiału. Dotyk jest często inspiracją dla rozwinięcia pomysłu. Tak było z przełącznikami, telefonem i klockami. Są tak wymyślone, by mogli z nich korzystać również niewidomi.

Góralski stół

Nowatorska, ascetyczna forma i zaawansowana technologia projektów Marka dalekie są od stylu zakopiańskiego. A jednak ma on poczucie, że Zakopane i liceum Kenara, które ukończył i w którym teraz uczy, zostawiły mocny ślad w jego pracy. „Być może gdzieś w podświadomości wychwytyuję to, co najlepsze w kulturze góralskiej. Na pewno i w nożyczkach, i w przełącznikach jest jakiś ślad gór i tutejszej atmosfery. Kocham to wszystko”. Nieznajomi, odwiedzający Marka w jego mieszkaniu, często dziwią się, sądząc, że powinno ono być tak zwariowane i nowatorskie, jak jego projekty. Właśnie skończył robić stylowy stół. Mieszkanie urządził wspólnie z żoną Anną. Najważniejsza dla nich jest funkcjonalność. Nie są zwolennikami gotowych projektów – uważają, że każdy powinien sam urządzić własny dom.

Pieniądze i idee

Marek nie ma kompleksów wobec zachodnich projektantów. Nie biadoli i nie narzeka na polską mizериę. Akceptuje, że żyje w takim, a nie innym kraju i nie zastanawia się, na jakim poziomie powinien żyć zdolny projektant. „Nie do końca chcę egzystować jak Philippe Stark, chociaż cenię go i podziwiam. Bardziej zależy mi na tym, by zrobić coś mądrego po to, by zaistnieć. Nie wszystko robi się dla pieniędzy. Projektowanie jest dla mnie pasją, sam nawet nie wiem, czy to nie jest rodzaj choroby”.

Kiedyś nie myślał nawet o studiach. Po maturze pojechał do Francji i tam pracował przez półtora roku. Wrócił do Polski, przygotował się do egzaminu i zdał na Wydział Form Przemysłowych. Szlak przetarł mu brat Stanisław, który studiował tam wcześniej. Teraz Stanisław jest krakowskim lutnikiem, tak więc musimy się zadowolić tylko jednym Królem w dizajnie.

Marek nie narzeka, że został nauczycielem – w końcu to najszlachetniejsze liceum plastyczne w Polsce. Lubi pracę z uczniami. Uczy się od nich otwartości – nie znają jeszcze ograniczeń konstrukcyjnych czy ekonomicznych, więc myślał odważniej niż doświadczeni projektanci.

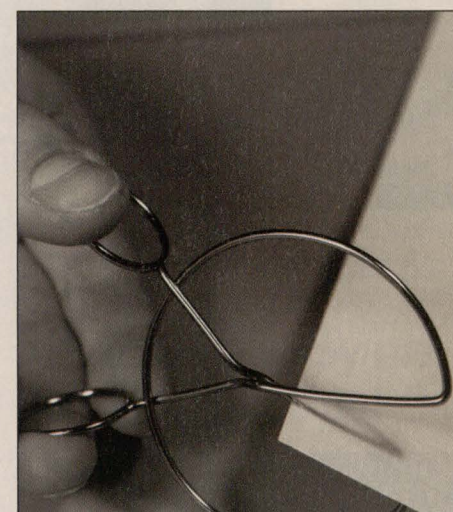
Gdzie to wszystko kupić?

Nigdzie. Zaprojektowanych przez niego przedmiotów nie można na razie nigdzie dostać. Mało tego, on sam większości z nich już nie posiada. Konkursowe projekty przechodzą zazwyczaj na własność organizatorów. Profesor Czesława Frejlich, opiekun Marka z Akademii, potwierdza, że „nie ma on w Polsce odbiorcy. Jedynym jego odbiorcą może być konkurs projektowy. Zazwyczaj na Zachodzie bogaty konsern ma dwie linie produkcyjne: jedna tworzy markę firmy i to są krótkoseryjne, drogie przedmioty znanych projektantów. Za nimi stoi długoseryjna produkcja, która buduje firmę materialnie. Marek mógłby projektować dla tej pierwszej grupy, ale Polska nie jest jeszcze na takim etapie rozwoju. Jego wizje wybiegają bardzo do przodu, jest niebawem kreatywny. Nasz przemysł pozostaje wciąż w powijakach, aby móc przyjąć takie wizje”.

Dzisiaj wiadomo już, że nożyczki będą produkowane przez Japończyków. Do nich też należy patent. Wykupienie patentu międzynarodowego to koszt kilkudziesięciu tysięcy dola-

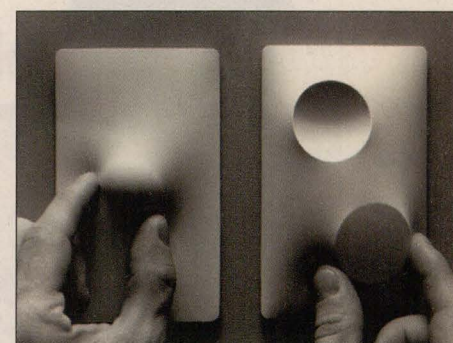
rów. Na opatentowanie projektu można sobie pozwolić dopiero wtedy, gdy znajdzie się już producent. Wdrożenie go do seryjnego wytwarzania to jeszcze większy koszt. Nóż do obierania ryb również jest własnością organizatorów konkursu. „To bardzo pracowity projekt i nie chciałoby mi się robić jeszcze jednego egzemplarza. Na Wigilię dalej obieram rybę własnym nożem” – kwituje Marek.

Nożyczki dla dzieci



„Nożyczki wymyśliłem na mój pierwszy w życiu konkurs, jeszcze na III roku studiów. Podchodziłem do niego bardzo nieśmiało, a już na pewno nie myślałem, że można wygrać z Japończykami. To jeden z moich najlepszych pomysłów. Pojawił się znienacka. Nożyczki są zrobione z jednego kawałka sprężystego drutu, to trochę ręczna, jubilerska robota. Nie mają żadnego łączenia, a krzyżujące się elementy są tak dopasowane, że w momencie cięcia klinują się nawzajem. Nie wymagają odwodzenia palców. Dopracowywałem je metodą prób i błędów. Teraz projektuję nowe nożyczki”.

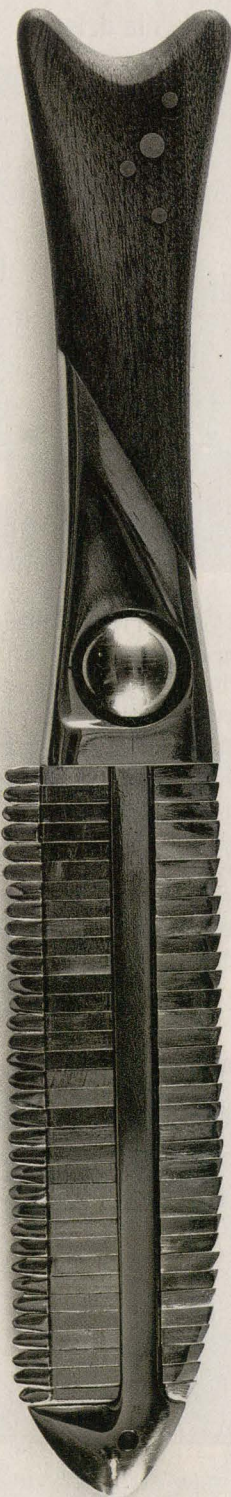
Przełączniki czasowe



„To też praca na konkurs, którego temat pokrył się z tym, co akurat robiłem na studiach. Zaprojektowałem tych przełączników około 15 rodzajów. Chciałem, aby oddziaływały zarówno za zmysł wzroku, jak i dotyku.

Część z nich jest powleczone gumą, dzięki czemu są wodoszczelne. Nowością jest tu wykorzystanie poduszki powietrznej. Przycisk ma kształt pustej półkuli – gdy go przyciskamy, powietrze zasysa się do jej wnętrza, a potem powoli wraca do poprzedniego kształtu. W zależności od przekroju półkuli może to trwać kwadrans, pięć minut albo pół godziny, a więc tyle może trwać włączenie światła”.

Nóż – ryba



„Człowiek często zastanawia się, jak sobie uprościć jakąś czynność. Nie łowię ryb, ale na wigilię sprawiam je sam. Chyba stąd ten po-

mysł. Przesuwając ostrza tego noża maksymalnie w jedną stronę, otrzymujemy hak do rozprucia ryby i jej wypatroszenia. System małych ostrzy ma z jednej strony specjalne zakończenia do zdjęcia łuski, a z drugiej można je ustawić w piłkę do odcięcia głowy czy pokrojenia ryby w dzwonka. Cały ten układ jest ruchomy, więc można go dostosować do kształtu ryby”.

Krzesło „Tron”



„To krzesło wygląda bardzo dziwnie, bo wydaje się zbyt wąskie i niewygodne. A tymczasem ono istnieje dopiero wtedy, gdy na nim siadziemy – wtedy rozszerza się. Ten przedmiot właściwie nie istnieje „sam dla siebie”, zaczyna być dopiero wtedy, gdy pełni swoją funkcję. Współgra z osobą, która na nim siedzi. Im jest cięższa, tym bardziej krzesło się rozszerza. Rzecz jasna, inaczej reaguje na osoby niewiele ważące. W ten sposób zawsze dopasowuje się do użytkownika”.

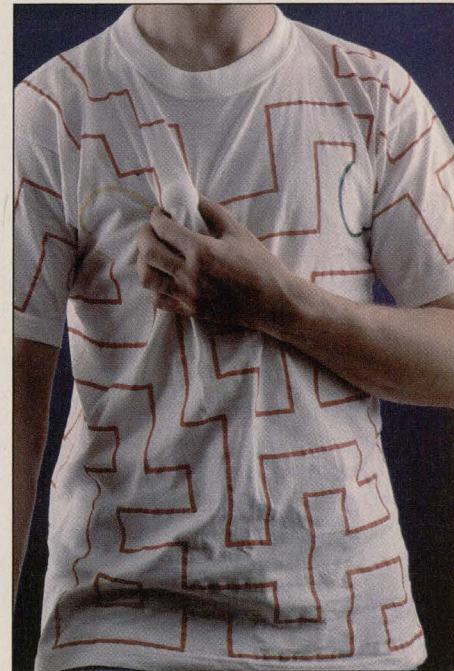
Klocki „78 kawałków”



„Najtrudniej wpaść na bardzo proste pomysły. Ten odnosi się dodatkowo do natury. To zwykły plaster drewna. Miękkie

i twarde przyrosty roczne, tzw. słoje, układają się w nim różnie, ale tworzą precyzyjną całość. Wbrew pozorom, ułożenie tych klocków nie jest łatwe, podobnie jak puzzli – mnie samemu zajęło około godziny. Po wypiskowaniu powierzchni uzyskałem dodatkowy efekt wybrzuszeń i wgłębień. Wydaje mi się, że klocki nadają się również dla niewidomych”.

Koszulka „Gimnastyczka”



„Dzieci nie lubią się gimnastykować, a tu następuje to poprzez zabawę. Starałem się połączyć aspekt gry z trochę „rehabilitacyjnym” charakterem koszulki. Przepychając kulkę przez labirynt, dzieci ze schorzeniami stawów masują się i gimnastykują. Dodatkowo można do kulki włożyć lekarstwa. Można ją umieścić na sercu, nerkach albo brzuchu. Można też bawić się samemu albo we dwoje i przepychać ją, idąc po ulicy albo na wycieczkę”.

Telefon bajkowy

„Idea była następująca – przekazać dotyk na odległość, tak by mogli się połączyć ze sobą ludzie głuchoniemi. Trzeba by było wymyślić i dopracować szczegóły techniczne. Rozmawiałem już z inżynierami. Uważają, że jest to do zrealizowania. Jak by to miało funkcjonować? Muszą być dwa takie same telefony i powinny działać na tej samej zasadzie, co naczynia połączone – gdy w jednym coś się naciska, to w drugim coś się wybrzusza. Należałoby opracować specjalny kod uciskowy. Niekonwencjonalnym wykorzystaniem telefonu mogłoby być przekazywanie na odległość pocałunków”.

MARTA SOBOLSKA

Zdjęcia przedmiotów TOMASZ KALARUS

Już 12 grudnia wyjątkowy podwójny numer!

Aż 156 stron!

Tylko 2,99 zł

PODWÓJNE ŚWIĄTECZNE WYDANIE
Program tv na święta
aż 156 stron!
2,99 zł

przyjaciółka

14 – 26 XII 2001 NR 50/51 (2788/89)

Wielki horoskop 2002

PIERWSZA DAMA RP
Co pan prezydent ugotuje mi na Wigilię

STYPENDIA OD „PRZYJACIÓŁKI”
Dzięki wam możemy dalej studiować, mówią Lidka i Wiesiek

4 pomysły
Udekoruj stół pięknie jak nigdy

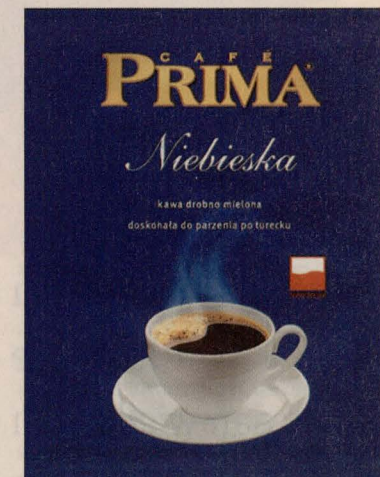
ROZRYWKA DLA RODZINY
Czekają na was 784 nagrody

Z gwiazdkową wizytą u Miss Polonii 2001

PREZENTY
WITRAŻYK Z KUBUSIEM PUCHATKIEM
AROMATYCZNA KAWA
KSIĄŻECZKA Z PRZEPISAMI NA ŚWIĘTA



Specjalny dodatek
– przepisy na świąteczne dania

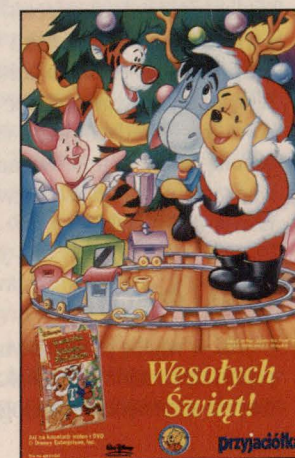


Saszetka aromatycznej kawy Prima

Podarunek dla dzieciaków

Witrażyk z Kubusiem Puchatkiem
Do wyboru jeden z trzech wzorów

Rozdajemy prezenty dla całej rodziny!





FOT. POTR BOKKO (8). POTRAWE PRZYGOTOWANO W RESTAURACJI "CHŁOPSKE ŁADZO" W KRAKOWIE

Pośród powtarzanych
rokrocznie
dań wigilijnych
warto znaleźć miejsce
na coś nowego,
niekonwencjonalnego.

Szalona dekadencja

Po śledziach, po karpniu w galarecie i po zupie proponuję zatem kulebiak, lecz nie taki jak zwykle, czyli nadziany kapustą z grzybami. Proponuję kulebiak szalony i dekadentki, z farszem z łososia i przepiórczych jaj.

W takich żyjemy czasach, że warto spróbować.

23 grudnia wyrabiamy ciasto drożdżowe tak, jak potrafimy naj-
lepiej, czyli z sześciu żółtek i trzech całych jaj na kilogram mąki. Ale zaczynamy, rzecz jasna, od drożdży, suchych, których cztery łyżki rozpuszczamy w ośmiu łyżkach ciepłej wody. Rozpuszczone drożdże umieszczamy w dużej misce, dodajemy cztery łyżki cukru, dwie łyżeczki soli, pół szklanki ciepłego mleka, sześć żółtek i trzy całe jaja. Mieszmamy i dodajemy trzy szklanki mąki (około 750 gramów) oraz niecałe pół kostki masła. Wyrabiamy ciasto na stolnicy przez kwadrans, w miarę po-

trzeby dosypując mąkę. Kiedy ciasto nie będzie się już lepić do palców, umieszczamy je w misce i trzymamy w piekarniku (zimnym!) przez około półtorej godziny, aż jego objętość podwoi się. Wtedy dajemy ciastu mocną fangę w nos, wkładamy z powrotem do miski i odstawiamy na noc do lodówki.

Łosoś i dziki ryż

Już w wigilię przygotowujemy pozostałe elementy kulebiaka. Potrzebne nam będą: dwa kilogramy



filetów z łososia, ćwierć kilo dzikiego ryżu, tuzin przepiórczych jaj, 30-40 dekagramów pieczarek, kilogram masła, kilka szalotek, natka pietruszki i inne, świeże zioła, na przykład estragon lub tymianek, jak również cytryny, naleśniki z mąki gryczanej i wywar warzywno-winny. To wywar szybki: posiekaną grubo marchew, cebulę i kawałek selera naciowego gotujemy w mieszaninie pół litra wody i pół litra białego wina, z dodatkiem liścia laurowego, kilku ziarenek pieprzu i dwóch ły-

żeczek soli. Po dwudziestu minutach odcedzamy i... wywar gotowy. W nim to ugotujemy łososia, co też nie potrwa długo, bo tylko pięć minut. Do wywaru, który delikatnie wre, wkładamy rybę, po wskazanym czasie wyjmujemy, zdejmujemy z niej skórę i usuwamy ości, a następnie widelcem dzielimy na spore platy. Topimy osiem łyżek masła i polewamy nim łososia. Solimy, pieprzymy, skrapiamy sokiem z cytryny i odkładamy do lodówki.

Dziki ryż przygotowujemy zgodnie z instrukcją na opakowaniu. Powinien jednak być całkiem miękki. To indyjski przysmak, właściwie czarna trzcina, a nie znany nam ryż. Kiedy już nieco przestygnie, mieszamy go z ośmioma łyżkami stopionego masła, solimy, pieprzymy i odstawiamy.

Przepiórcze jaja

Tuzin przepiórczych jaj gotujemy na nie całkiem twardo – niech żółtko będzie miękkie, lecz nie płynne. Obieramy jajka, zawijamy w ściereczkę i odkładamy do lodówki.

W czterech łyżkach stopionego masła szklimy szalotki, dodajemy drobno posiekane pieczarki i gotujemy na małym ogniu przez pół godziny, często mieszając. Przekładamy do miski i dodajemy pęczek posiekanej natki pietruszki oraz garść innych ziół. Solimy, pieprzymy.

Smażymy sześć 20-centymetrowej średnicy naleśników, używając do ciasta dwa razy tyle mąki pszennej co gryczanej. Następnie wyjmujemy ciasto drożdżowe z lodówki i rozwałkowujemy na grubość pół centymetra i kształt podłużnego prostokąta. Układamy na wytłuszczonej blasze do pieczenia. Pośrodku ciasta kładziemy trzy naleśniki, na nich zaś umieszczamy połowę ryżu. Wyjmujemy z lodówki łososia, polewamy go kolejną porcją stopionego masła. Połowę łososia układamy na ryżu. Również przez sam środek tej konstrukcji puszczamy ciurkiem przepiórcze jaja i otaczamy je pieczarkami. Na wierzch dajemy resztę łososia, ryż i naleśniki. Zawijamy farsz w ciasto, szczególnie je



zalepiając. Ze ściniek możemy upleść ładny warkoczyk i przyzdobić nim wierzch kulebiaka. Środkowe spojenie ciasta posmarujemy jednak jajkiem, zanim przymocujemy element dekoracyjny.

Niech kulebiak postoi przez pół godziny. Tymczasem piekarnik nagrzejemy się do temperatury 175 stopni, my zaś lekko ubijemy żółtko z łyżką słodkiej śmietanki i wysmarujemy ciasto tak, żeby wyszło na glanc. Piecze się kulebiak ze trzy kwadransy, zaś użyte tu proporcje poszczególnych ingrediencji zapewnią niebo w gębie



dziesięciorgu biesiadnikom. Potem już tylko kompoty i nocne, eklezjastyczne spacerki.

Kaczka à la prosiak

Nazajutrz czeka nas nie lada zadanie – przebicie wigilijnej wyczekiwanej uczty. Dlatego proponuję Państwu danie o niezwyklej nazwie: kaczka à la prosiak. Lecz to jest danie główne. Na początek podamy różną przystawkę oraz zupę z włoskiej kapusty. Trudno o coś prostszego: szklimy posiekaną cebulę w oliwie, dodajemy poszatowaną kapustę włoską, zalewamy wrzącym wywarem wołowym i gotujemy na małym ogniu, aż kapusta zmięknie, około 20-30 minut. Tymczasem kawałek sera rokopól rozrzedzamy kilkoma łyżkami słodkiej

śmietanki, tak żeby powstała łańcucha do rozsmarowania pasty. W piekarniku lub opiekaczu przyrządzamy grzanki z chleba. Podajemy zupę wraz z grzankami posmarowanymi pastą rokopolową. Jest to jedna z niewielu zup, do której powinno podawać się wino, i to nie byle jakie.

Kaczkę nadziejemy farszem z mielonej wieprzowiny (150 gramów), nieco mniejszej ilości (około 100 gramów) szynki parmeńskiej lub wędzonki krotoszyńskiej (należy nabyć ją w kawałku i pociąć na drobne kostki), liścia laurowego, łyżki suszonego rozmarynu, wrzuconego na chwilę do wrzątku i odcedzonego, pęczka świeżej szalwii, podobnie jak liść laurowy – posiekanego, czterech ząbków czosnku, również posiekanych, dwudziestu ziaren pieprzu, a także czterech łyżeczek soli i łyżeczki pieprzu zmielonego. Wszystko razem mieszamy i kaczkę nadziewamy, po czym zaszywamy. Pieczemy ją w temperaturze 175 stopni przez dwie i pół godziny, przewracając dwukrotnie w trakcie pieczenia. Po upieczeniu niech postoi 10 minut, zanim ją rozbierzemy na części, które ułożymy wokół farszu na półmisku.

Do takiej kaczki najlepiej podać jakąś zieleńinę, choćby rukolę, bądź surówkę z cykorii i jabłek. Na deser zaś – sernik i owoce: mandarynki, pomarańcze, kiwi, kumquaty.

W Szczepana coś zjeść trzeba...

Lecz to przecież nie koniec. Spójrzmy prawdzie w oczy: czy w drugi dzień świąt będziemy mieć siłę, by cokolwiek przebić? Bardzo w to wątpię. Jednakowoż coś zjeść trzeba, a z kaczki przecież nic nie zostanie. Istnieją dwa podejścia do dnia św. Szczepana: dać organizmowi odpocząć po obfitych posiłkach minionych dni lub przeciw-

nie – eskalować żądania, jakie mu stawiamy. Dlatego możemy upiec udziec z sarny, który zabejcowaliśmy jeszcze w Wigilię, bądź ograniczyć się do zupy, sałaty i sera. Bejce robimy z białego wina, oliwy, suszonych ziół – najczęściej tymianku, mniej oregano, najmniej majeranku – soli i pieprzu. Zawijamy nasmarowaną sarnę w folię przeźroczystą i odkładamy do lodówki. Sarnę pieczemy obłożoną cienkimi plasterkami słoniny, najlepiej zaś – szpikujemy ją słoniną. Jest to dosyć trudne, ponieważ trzeba cienkie paski słoniny nanizować na igłę, tę zaś wbijać w mięso. Lecz efekt jest lepszy niż w przypadku



ku zwyczajnego obłożenia mięsa tłuszczem. Z tym że szpikujemy zanim zabejcowujemy. Rozpoczynamy pieczenie w temperaturze 225 stopni, po dziesięciu minutach zmniejszamy ją do 160. Trzeba liczyć 25 minut pieczenia na każdy kilogram mięsa. Sarnę podaje się na półkrwisto lub krwisto. Jeśli naszpikowaliśmy mięso, należy je regularnie polewać tłuszczem z brytfanny. Po upieczeniu udziec powinien poleżeć kwadrans, zanim go potniemy na plasty. Borówki (albo gogodze – jak chcą lwowiacy), żurawiny oraz ziemniaki purée zapiekane z parmezanem to najprostsze z potraw, jakie mogą towarzyszyć sarnie.

Zwolennikom łatwiejszego podejścia do drugiego dnia Świąt proponuję sałatkę Paula Bocuse'a, którą opisałem w pierwszym z artykułów o sałatkach zimowych. To właściwie cały posiłek. Urozmaicenie faktur i smaków – mięski, lekko orzechowy w smaku szwajcarski ser, słone, soczyste oliwki, słodkie, chrupiące orzechy oraz obfitość liści i ziół spełniają wszystkie potrzeby podniebienia i zuchwa. Skrawki kaczki również mogą znaleźć się w tej sałatce. Życzę Państwu Wesołych Świąt.



TADEUSZ PIÓRO

W Botswanie,
skąd pochodzi
krakowianin
Joseph,
Boże Narodzenie
wypada
w środku lata.
Tam też siadają
do uroczystej
kolacji.

Joseph Seeletso urodził się 30 lat temu w Mmadinare, niewielkim mieście w południowoafrykańskiej Botswanie. Jest członkiem Bangwato – największego plemienia w tym kraju.

Poznajmy się

Jego korzenie sięgają rodu królewskiego. Jest kuzynem absolwenta Oksfordu, sir Seretse Khama. Ten niezwykle zasłużony polityk zrzekł się tronu i został pierwszym prezydentem niepodległej Botswany. Sir Khama wywodzi się w prostej linii od pierwszego króla Botswany – Kgari, który miał trzech synów. Jeden z nich posiadał 10 żonek, piąta dała początek rodzinie Seeletso.

Krakowski potomek tej rodziny wyjechał do Londynu, gdzie ukończył z wyróżnieniem renomowaną Westminster College – szkołę hotelarstwa, turystyki i cateringu. W angielskiej stolicy poznał krakowiankę Karolinę Radwan – córkę Stanisława Radwana, kompozytora i wieloletniego dyrektora Starego Teatru. Miłość przywiodła go do Krakowa, gdzie mieszka od trzech lat. Tu szefował w kuchniach kilku restauracji, tworzył menu, szkolił młodych kucharzy itp.

Nasz bohater zazwyczaj przedstawia się jako Józek i woli, by tak się do niego zwracano. Co prawda, nie mówi jeszcze po polsku jak nadwiślański Józek, ale porozumiewa się bez problemu. Lubi Kraków, jego historię, atmosferę i wyjątkowość, ale ponad wszystko przedkłada gotowanie. Jest niezwykle ambitny –



FOT. BOGDAN KRZELIŃSKI

Wigilia ze szczypta Afryki

prawdziwy entuzjasta i wytrwały eksperymentator. Codziennie rano sam chodzi na Rynek Kleparski, bo musi pomacać i powąchać warzywa i owoce, kupowane dla restauracji Balzac, której kuchnią zarządza.

Jego plany związane z kuchnią są niezwykle rozległe, ale na razie nie chce ujawniać, co też pichci w swoim osobistym garncu.

Co by tu zmienić?

Poprosiłem Josepha, by przedstawił kilka propozycji innowacji i przeróbek dań polskiej wigilii. Zgodził się z ochotą.

W wielu polskich domach na stole wigilijnym pojawia się najpierw barszcz z uszkami. O ile jest on codziennością w jadłospisie Polaków, to jego pływające wspaniałości z farszem grzybowym są zazwyczaj zarezerwowane na tę jedną kolację w roku. Jadanie barszczu z uszkami nie w Wigilię to jakby perwersyjna przyjemność sięgania

po „zakazany owoc”. Ale nigdy nie smakuje jak w ten wieczór. Bynajmniej nie dlatego, że jest gorszy...

Kozie uszy i czerwone pierogi

Józek zostawił barszcz w spokoju, uznając, że niełatwo przyjdzie zmienić coś w tak tradycyjnej recepturze. Jest to tym trudniejsze, bo gotowany jest na wiele sposobów. Za to czarnoskóry kucharz zdecydował się na ingerencję w uszka – tradycyjnie przyrządzane z farszem grzybowym – proponując uszka... kozie. Wybrał kozi ser dla jego wyraźnego smaku i zapachu.

Ciasto wykonuje się tak samo jak do zwyczajnych uszek czy pierogów. Do farszu potrzebne są: biały ser kozi, który należy doprawić solą i pieprzem, oraz bułka tarta. Ser uformować w małe kuleczki i otoczyć w bułce tartej. Później pozostaje tylko opatulić w ciasto i gotować. Jeśli ktoś nie chce

się narażać na sprzeciw rodziny lub jest tradycjonalistą czy po prostu obawia się, że mogą mu nie wyjść, choć to danie proste, warto zaryzykować przy innej okazji.

Bez problemu Józek wel Josepha sprokurował inną wersję tak kochanych przez Polaków pierogów. Było to o tyle proste, że pieróg ma tę właściwość, iż przyjmie chętnie prawie wszystko, czym się go wypcha, i przemieni się w smakowite danie. Dość powiedzieć, że oprócz tych powszechnie znanych pierogów są także m. in.: z farszem drobiowym, nerkami, płuckami, suszonymi sliwkami, słodką kapustą, powidłami, pomarańczami i wieloma innymi owocami. Ostatnio jadłem bardzo smaczne z kaszą gryczaną. Wreszcie pierogi niezwykle trudno zepsuć, jeśli tylko przestrzega się podstawowych pierogowych zasad.

Propozycja naszego zamachowca to czerwone pierogi z kapustą i grzybami. Ingerencja dotknęła tak ciasta, jak i farszu. Ciasto robi się

jak każde pierogowe, z tym że należy dodać rozpuszczony w wodzie koncentrat pomidorowy. Zapewni on nie tylko nowy kolor, ale i smak. Do farszu, oprócz suszonych grzybów, dodać trzeba kapusty kiszzonej (nieco mniej niż kapeluszykowych darów lasu). Kapustę z grzybami oraz z cebulą gotować około 1,5 godziny, a następnie wystudzić i zmielić.

Fasola i ryby

Na Podhalu, gdzie Józek jadał wilię, podaje się fasolę jasek ze sliwkami. Jako że nie jest to danie popularne w całej Polsce, przepis przytaczamy w całości.

Fasolka ma się moczyć w wodzie przez 12 godzin, sliwki także muszą sobie popływać, ale w herbacie, mniej więcej dwie godziny. Następnie należy ugotować fasolę, roztopić masło i dodać pokrojone chili, lecz – uwaga! – tylko jedną sztukę.

Na dodanie tej pikanterii nasz Afrykańczyk zdecydował się, by rozgrzać nieco zziębniętych biesiadników. Zresztą polskie słoty, chłody i mrozy są jedną z niewielu rzeczy, które mu się w Polsce nie podobają. Jeśli komuś bardzo zimno, można wrzucić więcej chili, ale ostrożnie, by nie wywołać pożaru w jamie ustnej. Następnie dodaje się jasek i sliwki. Całość wymieszać dokładnie i odstawić do wystygnięcia lub pałaszować na ciepło. Serwować z ostrzeżeniem!

Święta Bożego Narodzenia bez karpia to dla większości Polaków nie święta. Pomimo że nie jest to ryba najsmaczniejsza, wielu pozostaje mu wiernymi. Karp panierowany to obok karpia po żydowsku najczęstsza propozycja na wigilijnym stole. Joseph jest wielbicielem ryb zarówno jako szef kuchni, jak i konsument. Schlebając naszej tradycji, ale i pokazując nieco swojego kunsztu, zaproponował karpia pieczonego w bazylii. To danie łatwe, a może być sympatyczną innowacją, wręcz niespodzianką dla tych, którzy tej ryby nie lubią.

Na sześć filetów z karpia potrzeba tylko: 100 g masła i tyleż samo bułki tartej, pokrojoną świeżą bazylię, sól i pieprz. Filety należy obtoczyć w roztopionym masle i bułce tartej z posiekaną bazylią, solą i pieprzem. Piec w piekarniku nagrzanym do temperatury 180 st. C około 10–12 minut. Podawać z szerokim włoskim uśmiechem, bo bazylia z rybą to sposób z Italii! Listki te dają wyraźny ziołowy smak i dodają wartości zdrowotnych.

Druga ichtiologiczna propozycja: łosoś z sosem imbirowo-cytrynowym. Ma on mniej ości i smak o niebo (w gębie) lepszy od karpia, piękny kolor, wreszcie świetnie się prezentuje na stole. A sos jest boski i bardzo łatwy do przyrządzenia.

Oto przepis: na rozgrzanej patelni usmażyć na oleju cztery filety z łososia. Sos wymaga obsmażenia małej cebulki z imbirem (40 g) na maśle, na brązowy kolor. Dodać 90 ml białego wina (można się bez niego obyć, jeśli ktoś nawet w tej formie odrzuca alkohol na wigilię) i smażyć, aż się zacznie karmelizować. Na ko-

niec dodać śmietanę (60 g śmietany 36-procentowej) i gotować na małym ogniu przez 8 minut. Dodać solą, pieprzem i sokiem z cytryny.

Na koniec na słodko

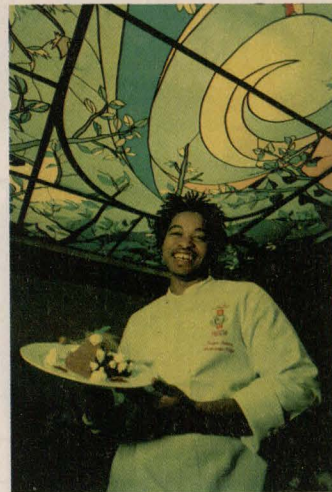
Usilnie nakłaniałem Józka, by zaproponował coś nowego w murzynku. Na próżno, Józek zna to ciasto od początku swojego przyjazdu do Polski. Był wniebowzięty, jedząc je i nie poczuł się jak kanibal, gdy powiedziano mu, jak się ono nazywa.

Zamiast murzynka udostępnił przepis na coś zbliżonego w kolorze, ale już nie w smaku, a co można śmiało zaryzykować na wigilię. Zresztą wachlarz słodkości na tę okazję jest w polskich domach tak duży, że znajdzie się miejsce dla gorącego ciasta czekoladowego. Składniki to zaledwie: 4 jajka, 4 żółtka, po 175 g czekolady i masła, 75 g cukru i 75 g mąki. Czekoladę trzeba rozpuścić z masłem w kąpieli wodnej. Następnie jajka z żółtkami i cukrem ubić na pianę, dodać mąkę oraz rozpuszczoną czekoladę. Pojemniki (najlepiej ceramiczne) wysmarować masłem i oprószyć mąką. Wyłożyć masę do pojemników i piec w piekarniku w temperaturze 190 st. C około 10 minut.

Ważną rolę w naszych wigiliach odgrywa mak. Joseph nie chciał ingerować w kutię (pszenicę z makiem i miodem), twierdząc, że to doskonała, oryginalna receptura – nic dodać, nic ująć. Za to nie podarował makowcowi, dokonując aż czterech zmian. Zamiast miodu użył syropu klonowego, gdyż nie jest on tak zaborczy jak miód i pozwala wyczuć inne subtelności. Obok tradycyjnie dodawanych rodzynek zaproponował suszoną papaję (jego ulubiony, mało znany przez Polaków owoc) i orzeszki pistacjowe. Wreszcie zastąpił zwykły cukier zdrowszym i bardziej naturalnym cukrem brązowym.

To tylko niektóre innowacje, o jakich opowiedział mi Józek z Botswany. Kilku z nich kosztowałem i jestem pewien, że gotowanie – nawet jeśli nie jest sztuką, to nią bywa.

ŁUKASZ DZIATKIEWICZ



ŚWIĘTA W BOTSWANIE

Ojczyzna Józka była protektorem brytyjskim. W 1966 r. odzyskała niepodległość, ale pozostaje w ścisłych kontaktach ekonomicznych i kulturowych z Albionem. Także Święta Bożego Narodzenia obchodzone są podobnie. Na kolację wigilijną gospodynie gotują rybę w pomidorach i marchwi, do której podaje się pieczone ziemniaki albo tradycyjną mamałygę.

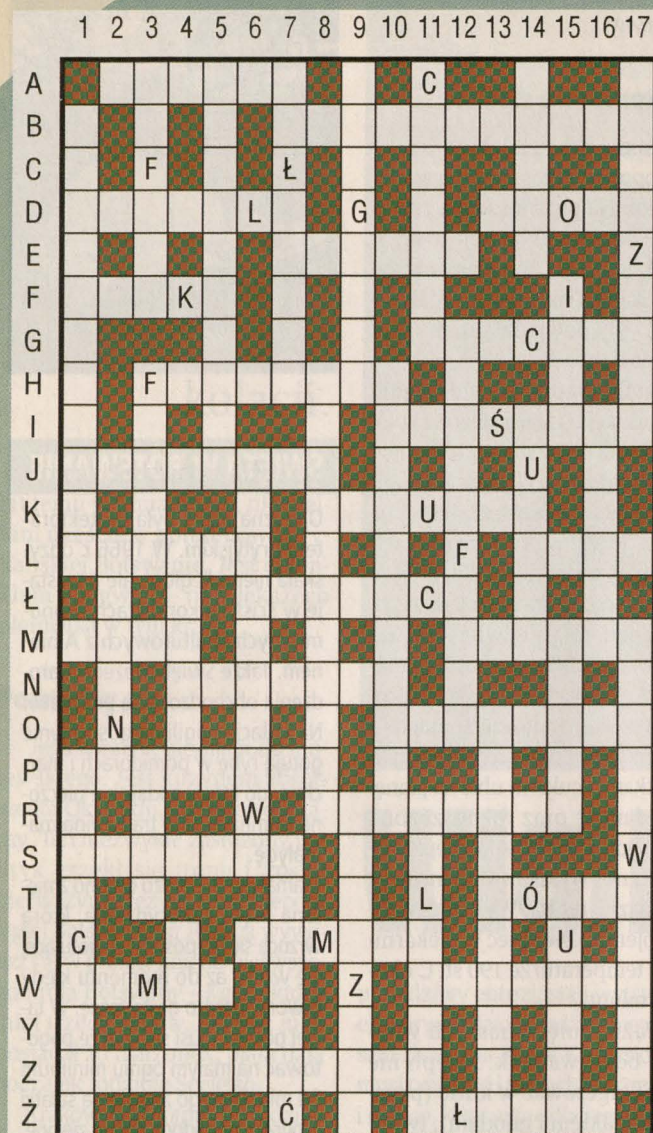
Mamałyga to bardzo drobno zmielona mąka kukurydziana, którą wrzuca się do posolonej, gotującej się wody, aż do momentu kiedy utworzy bardzo gęstą masę. W takiej postaci musi się jeszcze pogotować na małym ogniu minimum 30 min. Do tego zawsze są sałatki – buraki, pomidory, ogórki zielone, kukurydza.

Bardzo popularne są placki chlebowe przygotowywane w domu – polskie podplomyki. Po wigilijnej kolacji dzieci dostają prezenty. Wieczorem wierni idą na mszę.

W pierwszy i drugi dzień świąt je się pieczonego indyka z ziemniakami, gulasz z kozy, ryż, sałatki. 25 i 26 grudnia to dni wolne od pracy. 26 po południu organizuje się w miastach i miasteczkach mecze piłki nożnej, z darmowym wstępem.

Grudzień w Botswanie to początek lata, dlatego też z powodu wysokich temperatur nikt nie siedzi w domu, zwłaszcza wieczorami rodziny spotykają się na wspólnym grillu w ogrodzie.

Określenia podano w innym szyku niż kolejność wyrazów w diagramie (wyrazy podzielono na grupy według liczby liter, a wewnątrz grup ułożono je alfabetycznie). W diagramie ujawniono niektóre litery. Po wypełnieniu diagramu należy rozszyfrować następujący fragment pewnej kolędy...:



M10 – J7 / J2 – E14 / L2 – Y9 – B5 – G5 / K10 – W12 – F11 – R13 – Ż16 – P4 / H10 – P1 – Y11 – K14 – S4 – B12 – Y15 – Ł12 / N2 / D17 – Ł9 – H15 – D3 – Ż13 / P17 – I8 – S9 – N7 – L14 – W2 / F1 – W15 – U6 – O11 – L4 – E11 – M13 – D13 – O8 – J16 – A17 – Z2 / T9 – M17 – D16 – C1 – W13 – H6 – T16 – M8 – E10 / Z6 – S11 – A9 – B10 – K3 – M1 – I11 / O6 – A14 – Z3 – U10 – K9 – U4 – R9 – A4

Wyrazy 11-literowe:

• Wielki Brat zarazków • dziecięce lata Sienkiewicza • zawodowy grymas • z muszką na polowanie się wybiera • zwroty do wymiany • nie żałuje bata, gdy żyłuje brata

Wyrazy 10-literowe:

• z Zoli się szkoli • fach, który w szopie budzi strach • walczył najsukuteczniej • ten, co się na roli mozolił

Wyrazy 9-literowe:

• uzależniona od traktora • schody mu psują interes

Wyrazy 8-literowe:

• na zachód od Portugalii • podkute wojo • czarny charakter, któremu w niejednej twarzy do twarzy • spytaj Greene'a, czy z masłem ją wcina • obręcz dla fryg • zazwyczaj nie wtrąca się w dialogi • proceder z flagą bez hologramu • reskładana • bolączka Latającego Holendra • producent mitu

Wyrazy 7-literowe:

• przybytek z carskimi wrotami • rodak grypy, bródki i tabaki • wierni z Salt Lake City • leń ma do pracy • pan ściągacz • Bardzo

Mały Kubusia Puchatka • chętnie wnika w strukturę rozgałęźnika • kabała z zamawianiem • malinowy chruśniak bez muzy

Wyrazy 6-literowe:

• Wenus • na pewno gdzieś coś ma • pieszczotliwie o leukocycie • zawiąż mężowi • makijaż pączka • prenatalne stadium bałwanka • strefa międzystrofowa • czerwonego stara garaż • weźmie kawę na wyprawę • z Mazurami za pan brat • ogłoszony przez gwiazdę • solny VIP

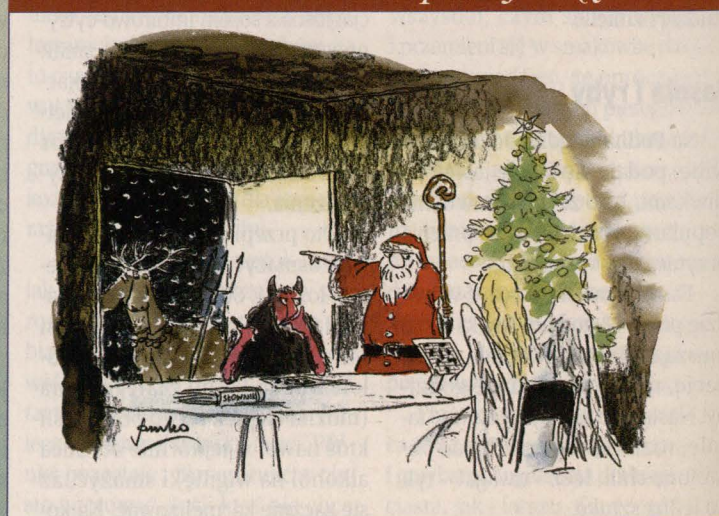
Wyrazy 5-literowe:

• podkreślają prowincjonalizm dziury • śpiewa dla nas z głębi swojego ptasiego serduszka • aluminiowa szata lunchu • z gatunkiem, wymiarem i ceną • Gałczyński muzie całował • gdy śnieg i mróz, skorzystaj z ich płóz • frajda dla klucznika • kaligraf w masce

Wyrazy 4-literowe:

• magnetyczna tańczy sama • cztery ściany pamięci • ujada w lesie, w który poszedł • ostatni zimowy przystanek Słońca

STEFANIAK pod jolką



● Pomiedzy Czytelników, którzy nadesłali poprawne rozwiązanie „Jolki” do **nie-dzieli 30 grudnia** (decyduje data stempla pocztowego), zostanie rozlosowanych pięć upominków-niespodzianek ufundowanych przez „Przekrój”. Rozwiązania prosimy nadsyłać do redakcji „Przekroju”, 30-960 Kraków, skr. poczt. 533, z zaznaczeniem „Jolka 51-52”.

Rozwiązanie JOLKI nr 49

Z ROKU NA ROK PLANETA OBRACA SIĘ CORAZ SZYBCIEJ, A ROZKAZ SIĘ NIE ZMIENIA (słowa latarnika z „Małego Księcia”).

● **Rzędami:** defekt, duby smalone, melodia, taktak, myszy, osoba, szpunt, kurant, ironia, trener, coach, Grimm, śmieci, odludek, kropliemierz, strefa.

● **Kolumnami:** Adam, eksperyment, Abel, odbębniecie, osąd, Kirgizka, kalambur, Robinson, wodostan, niemowlę, dentysta, lump, fajka pokoju, dżez, krzyknienie, koza.

● Za poprawne rozwiązanie Jolki nr 48 pięć upominków ufundowanych przez redakcję „Przekroju” wylosowali: Kazimierz Siemianowicz, Kalisz; Danuta Czworodon, Ostrów Wlkp.; Teodozja Matysiak, Konin; Romualda Gołąbek, Poznań; Władysław Król, Trzcianka. **Gratulujemy!**

Bursztynowym szlakiem po zdrowie i piękno ciała i włosów



jantar

F a r m o n a

Jantar do ciała:

kremy: nawilżający, półtłusty, tłusty, pod oczy, emulsja dwufazowa do demakijażu, tonik nawilżająco-odświeżający, balsam brązujący, balsam odżywczo-nawilżający, krem regenerujący do rąk i paznokci, żel-piling myjący oraz sól mineralna.

Jantar do włosów:

szampon, odżywka wzmacniająca, balsam odżywczy i mgiełka nawilżająco-ochronna.

Specjalistyczna receptura serii Jantar zawiera aktywne wyciągi z bursztynu, zielonej herbaty, pestek czerwonych winogron, melisy i nagietka oraz kompleks nawilżający hydroderm®, ekstrakt z roślin morskich matrixyl®, d' pantenol i witaminy.

Seria dostępna w aptekach, zielarniach i wybranych sklepach kosmetycznych.

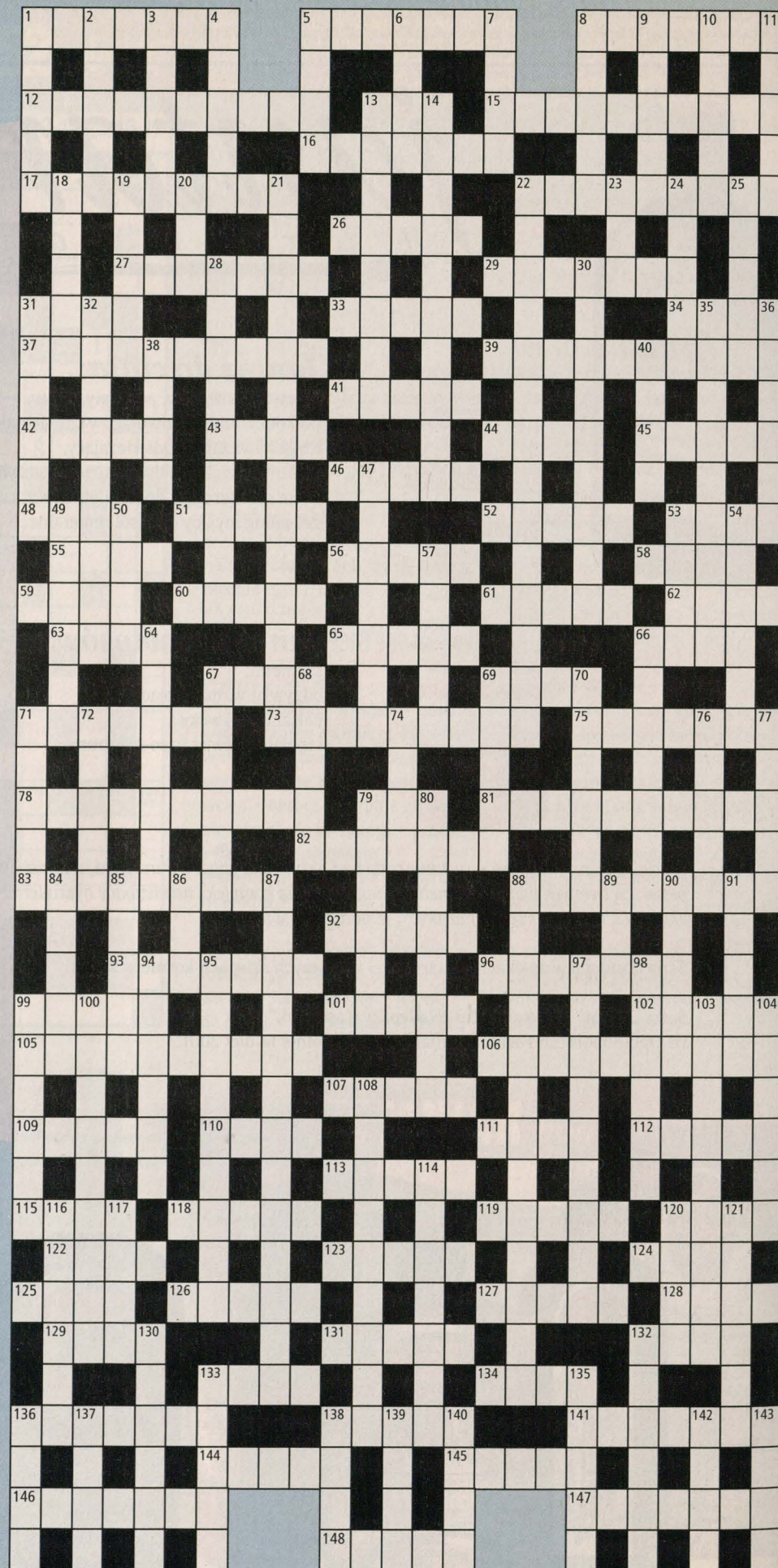
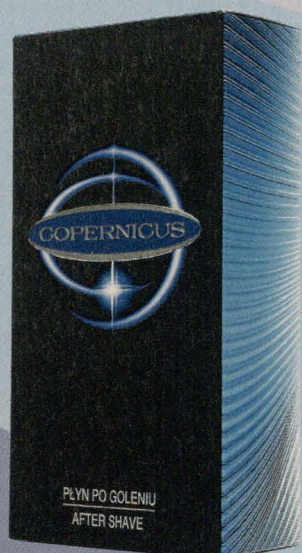
Seria „Jantar” uzyskała tytuł „Najlepszy Kosmetyk” na Ogólnopolskim Forum Profilaktyki Zdrowotnej Kobiet 2001.



FARMONA

Naturalna

Laboratorium
Kosmetyków Naturalnych
30-016 Kraków, ul. Łokietka 26
tel. (012) 292 66 03, 292 66 02
fax: (012) 633 51 22
www.farmona.com.pl
e-mail: farmona@post.pl



KRZYŻÓWKA nr 51-52 z Polleną Ewą

POZIOMO:

- 1 pokraczny dzikus z „Burzy”
- 5 doświadczony, zna się na rzeczy
- 8 umiera i nie poddaje się (słowa spod Waterloo)
- 12 czego brak odczuwa jedynie
- 13 książkowy
- 15 następny po parasolce gubliwy przedmiot
- 16 elegancki damski strój
- 17 najstarszy chordefon uderzany klawiszowy, praszczur fortepianu
- 22 pi
- 26 małżonek Rzepichy
- 27 błazen
- 29 senna zmore
- 31 przeciek w niej uratował łokieć żony Noego
- 33 na górze skrzyni
- 34 fachowiec
- 37 czerwony i zielony to dla niego ten sam kolor
- 39 ozdóbki zbędne dobrane bez smaku
- 41 na termometrze
- 42 poematem opisał ją Gałczyński
- 43 pokój z kratami i judaszem
- 44 cztery mile za niego
- 45 koturnowa wzniosłość
- 46 cienia
- 48 nawala reumatykowi
- 51 brat Rozalki z Prusowej nowelki
- 52 powód
- 53 zostać dłużej!
- 55 kumpel Portosa i Aramis
- 56 zły doradca
- 58 poszła w gwizdek
- 59 stolica Ghany
- 60 przepustka na spektakl
- 61 rzucił jabłkiem w najpiękniejszą
- 62 kawior
- 63 poślizgowy prosek
- 65 okazały sufit
- 66 karciana gra ulubiona przez Ślązaków
- 67 muza ze zwojem papirusu
- 69 twierdza Kozaków zaporoskich
- 71 adeptka Melpomeny
- 73 dążenia do osiągnięcia wytkniętych celów
- 75 sprawdzacz jakości
- 78 ty w krzywym zwierciadle
- 79 z o.o.
- 81 iks w równaniu
- 82 nalewka dla b. cierpliwych
- 83 ekscentryczność
- 88 guzdrze się
- 92 nadęty i próżny
- 93 dzieło będące świadomym naśladownictwem
- 96 serce metropolii
- 99 niemiłosiernie łapie kurz w twoim telewizorze
- 101 nie każdy jest dozwolony
- 102 czego było brak Adamowi
- 105 Kazik
- 106 układ cyrkulacji powietrza występujący w wyżu
- 107 nadupał
- 109 winne i pedagogiczne
- 110 ślepy
- 111 miękki do lepienia
- 112 oszustwa do robienia
- 113 punca
- 115 współczesny nieżyjący kompozytor włoski
- 118 gród nad Skamandrem
- 119 towarzystwo wzajemnej adoracji
- 120 w towarzystwie peluski
- 122 łatwo znajdziesz w Peru
- 123 armatni wiwat

124 cumownicza

- 125 policzki
- 126 od pewnego czasu stało się zabijaczem ciszy
- 127 surowiec na ulubione kotlety
- 128 żywa z ognia
- 129 Marlena Dietrich
- 131 górna granica
- 132 posada nie do pogardzenia
- 133 pierwsze słowo
- 134 logiczność + trafność
- 136 suito zakrapiana balanga
- 138 młoda
- 141 wyrósł z pisklecia
- 144 opustowa stolica
- 145 karzący rekwizyt św. Mikołaja
- 146 dostarczyciel przyprawowej gałki
- 147 starodruk całkiem nowy
- 148 ułatwia obrót bezgotówkowy

PIONOWO:

- 1 Jalu
- 2 27 marca powinien złożyć jej życzenia
- 3 5 w przód, szósty w tył
- 4 niewielkie miasto nad Sanem
- 5 kulą wen
- 6 nagi w bajce Andersena
- 7 drobiowa rzeka
- 8 kastyljski magnat
- 9 duch powietrzny z 1 poziomo
- 10 zamknięcie otworu komunikacyjnego w ścianie budynku
- 11 damskie imię, bez którego nie obejdzie się żadna krzyżówka
- 13 trafiła nań Alina
- 14 językoznawca
- 18 rzeka od zamków
- 19...Wojsko, ...Lud, ...wszystkie Stany!
- 20 meldyjnę gwizdze w pierzu
- 21 tej rycerskości niestety brak naszym panom
- 22 odwadnianie żywności celem dłuższej przydatności do spożycia
- 23 pierwiastek chemiczny, twardy metal
- 24 teraz = kasa
- 25 zarabia na mokrej robocie
- 28 cacanki
- 30 wstęp do małżeństwa
- 31 piękny młodzieniec, ukochany Afrodyty, zabity przez dzika
- 32 gdyby jej nos był krótszy, inne byłoby oblicze świata
- 35 Grażyna Rabsztyń
- 36 babka
- 38 przysmak 7 złodziei
- 40 fujara
- 47 do zwinienia i udania się na swoje podwórko
- 49 napoleońska cechą obdarzony
- 50 przezroczyta cienka tkanina
- 53 nie zawodowiec
- 54 syzyfowe miejsce pokuty
- 57 z własnymi celami
- 64 z bystrym okiem do wyłapywania byków
- 66 sylabowa zgadywanka, która wyszła z mody
- 67 chuligańska broń
- 68 rycerz z mieczem na cokole owiniętym taśmą filmową
- 69 akwarelowa odmiana ochry
- 70 ocala
- 71 ważny w hiszpańskim mieście
- 72 czym Poznań się szczyci
- 74 prawica
- 76 ateński rynek
- 77 duch

79 wielkie oczy ma

- 80 pani Hefajstosowa
- 84 nad Loarą
- 85 po to idzie redyk na hale
- 86 nutowe drzewo
- 87 stamtąd blisko do gwiazd
- 88 mroczna epoka dziejowa
- 89 berliński pobił chiński
- 90 w drzwiach
- 91 turystyczna i uzdrowskowa miejscowość przy ujściu Rostki do Popradu
- 94 kwiat Adonisa
- 95 w sklepie blawatnym
- 97 przyrząd laboratoryjny służący do wydmuchiwania cieczy z kolby (przy zmianie jednej litery – popularny owoc)
- 98 kawa
- 99 ciągnie się w ognie
- 100 zalatana pszczołka
- 103 bohaterka niewybrednych dowcipów
- 104 Świtezianka
- 108 królestwo Dydony
- 114 brudnopis
- 116 tłuste owoce
- 117 przywidzenie
- 120 grali w to pradziadkowie przy zielonym stoliku
- 121 z kalendarza wyrwana
- 130 rządzą tłustym czwartkiem
- 132 przejechała się na byku
- 133 bohaterka powieści Orzeszkowej
- 135 karzeł Alberik pilnuje go
- 136 wielbłądzia płująca krewniaczka
- 137 lwi obszar
- 138 sekretarz
- 139 świetliście reklamuje
- 140 rzeka Pizy
- 142 biała dama na zamkowych komnatach
- 143 powód lisiej dumy

● **Pomiędzy Czytelników,** którzy nadesłały poprawne rozwiązanie krzyżówki do niedzieli 30 grudnia (decyduje data stempla pocztowego), zostanie rozlosowanych dziesięć zestawów kosmetyków ufundowanych przez POLLENĘ EWĘ SA. Nasz adres: PRZEKRÓJ, 30-960 Kraków, skr. poczt. 533, z zaznaczeniem „Krzyżówka 51/52”.

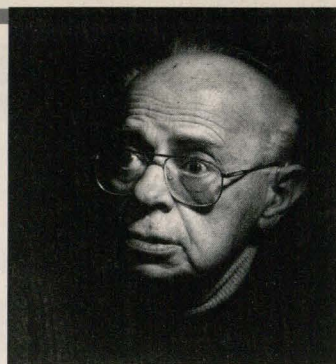
● **Za poprawne rozwiązanie** krzyżówki nr 48 – pięć zestawów kosmetyków ufundowanych przez Laboratorium Kosmetyków Naturalnych FARMONA wylosowali: Anita Wiśniewska, Wrocław; Teresa Spakowska, Opole; Agata Leśniewska, Wiskitki; Andrzej Peszkowski, Koszalin; Maria Kaczmarek, Rawicz. Gratulujemy!

Rozwiązanie krzyżówki nr 49

				W	I	E	L	O	R	Y	B	N	I	K		
				R				A		O		U			A	
O	G	R	Ó	D	E	K		P		K	W	A	D	R	A	T
G			B			A	N	U	S	I	A		Z			A
A			E		A			C			T		I			B
R	E	P	L	I	K	A		H	E	R	A	L	D	Y	K	A
E			E		T		A				H		ł			K
K	O	N	K	L	A	W	E		S	Z	A	L	O	T	K	A
			A		I			T		P			U			R
			P	R	Z	Y	P	O	W	I	A	S	T	K	A	
			A		O			L		E			E		W	
K	A	R	O	L	I	N	A		K	I	E	R	M	A	S	Z
O			P		D			J			L		I			W
M	A	L	O	W	I	D	ł	O		B	A	L	E	T	K	I
P			Z		O			A		M			R			T
A			Y		T	A	R	C	Z	A			N			E
S	P	E	C	J	A	ł		H		Z	A	R	O	B	E	K
			J		U		I		O				Ś			
			A	N	O	N	I	M	O	W	O	Ś	Ć			

Niespokojny świat

FOT. BOGDAN KRZEL



Co Pan na to,
Panie LEM?

Powszechną medialną sensację wzbudził fakt dostrzeżenia wokół tej planety atmosfery. Jednakże astrofizykom z dawien dawna wiadomo, że wszystkie planety, konсолidujące się okołośłonecznie z rozżarzonych erupcji gwiazdowych, początkowo są w posiadaniu gazowej atmosfery. Planety małe, jak Mars, swoją atmosferę po prostu później tracą albo na odwrót - Wenus, podobna do Ziemi, stłacza swoją atmosferę, pełną chmur, z których pada kwas siarkowy.

Ziemia miała wprawdzie zrazu trującą, beztlenową atmosferę, lecz po milionoleciach generacje organizmów oceanicznych zmieniły jej gazowy skład tak, że obecnie mamy dość tlenu, by żyć. Orzeczenie to jest zresztą o tyle trywialne, że jeśli by nie było tlenu, to i nas by nie było. Natomiast domniemana obserwacyjnie atmosfera na odległej planecie życiu raczej sprzyjać nie może. Podobnie jak sto lat temu było z odwrotną stroną Księżyca - wszyscy wiedzieli, że jest, chociaż jej nikt nie widział - tak astrofizycy już od dawna przewidywali, że planety spoza Układu Słonecznego przeważnie mają atmosferę. Ot i wszystko.

Spieszę wyznać, że nękają mnie najnowsze wiadomości, nie mające nic wspólnego z planetą odległą o sto pięćdziesiąt lat świetlnych. Do studia telewizji niemieckiej zaproszono specjalistę od zjawiska terroryzmu, który wydał właśnie książkę poświęconą owemu tematowi, ale nie ograniczył się tylko do rekonstrukcji wydarzeń, które od jedenastego września są nam znane z relacji środków masowego przekazu.

Ów rzeczoznawca całej swojej książki oczywiście streścić nie mógł, lecz podał bardzo konkretne, groźne dane. Zgodnie z jego wiedzą Osama bin Laden wraz z Jed-

nookim Mułłą to tylko upowszechniony symbol przywództwa globalnego terroru. Jeśli by nawet te postacie udało się wyeliminować, zostaną zastąpione przez nowych przeciwników cywilizacji Zachodu.

Ekspert wymienił właściwie wszystkie państwa arabskie jako miejsca, gdzie zlokalizowane są ośrodki szkoleniowe terrorystów, którzy ponadto osiedli w innych krajach, przede wszystkim europejskich i prowadzą tam spokojny

życie, jako tak zwane „uśpione komórki” terroru. Owa sieć jest rozproszona nierównomiernie, ale na całym świecie i miała do tej pory wykształcić ponad sześćdziesiąt tysięcy terrorystów, wśród których tysiąc gotowych do samobójczego ataku. Poszczególne rządy krajów islamskich wspierają terrorystów również pieniędzmi i bronią, usiłując często ukryć tę pomoc przed Ameryką. Saudyjczycy nawet odmówili Amerykanom dostępu do

bankowych kont, na których mają być ulokowane finansowe zasoby światowego terroru.

W Niemczech znaleziono wideokasetę ukazującą jedną z piękniejszych gotyckich katedr. Dopiero dzięki przetłumaczeniu arabskojęzycznego komentarza, tworzącego filmowi, dowiedzieliśmy się, że katedra jest diabelskim schronieniem niewiernych, które należy, wraz z tymi niewiernymi, unieścić.

Jeśli zaś ktokolwiek śledził końcowy przebieg kampanii antyterrorystycznej w rejonie Tora Bora, to powinien się dowiedzieć, że szczególnie trudne do zdobycia, fachowo ukształtowane sztolnie i korytarze jaskiniowe, ostatnie bastiony oporu talibów, powstały dzięki aktywnemu instruktażowi i pomocy CIA, kiedy to Sowietci walczyli z Afganami. Tak zatem amerykańscy żołnierze z Marine Corps szturmują umocnienia i fortyfikacje skonstruowane przez ich rodaków, ponieważ fronty niejako odwróciły się o sto osiemdziesiąt stopni.

Prezydent Bush znajduje się w porządnym opałach, gdyż w jego doradczym gronie działa zarówno frakcja „jastrzębi”, jak i „gołębi”. Ci pierwsi uważają, że im później zostanie zaatakowany Irak Saddama Husajna, tym będzie gorzej, albowiem jego ekipa majstruje - nie bez powodzenia - przy broni nuklearnej i biologicznej. Drudzy obawiają się dosyć zasadnie, że cała wieloskładnikowa budowla państw - wyznawców islamu - może pod wpływem ciosów wymierzonych w Irak zatrzęść się w posadach, a nawet runąć.

Skutki takiej destabilizacji na Bliskim Wschodzie byłyby katastrofalne dla światowego systemu bezpieczeństwa i gospodarki.

STANISŁAW LEM
12 grudnia 2001



rys. DMITRI SZEVIKOW-KISIELOW

WIELKI KONKURS! WYGRAJ
EKRAN PLAZMOWY
marki Pioneer



Święta przy stole



Dom: łącząc pasje i potrzeby



DOM & WNETRZE

NR 12/2001 GRUDZIEŃ CENA 7,50 zł (z wst. PVST)

PREZENTY
POD CHOINKĘ
ozdobią mieszkanie
i sprawią przyjemność

WIELKI KONKURS! WYGRAJ
EKRAN PLAZMOWY
marki Pioneer



BOŻE NARODZENIE

3 ŚWIĄTECZNE STOŁY
czerwono-zielony, z domieszką
czekolady, ze złotem w tle

ZIMOWY OGRÓD
zaczarowany w szkło

NIEZWYKŁY DOM
na miarę rodziny

Inspiracje: szopki



PROSIMY NIE POWTARZAĆ

Ludzie kochani! A może byśmy tak odrobnie tego świętecznego nastroju przetransfuzowali na pozostałe 363 dni?



O WACUSIU

– Jodelki przed świętami są pod specjalną ochroną. Zeby uniknąć kary, Fałczak nie wychodził na miasto w swojej jodelce.

DZIAŁO SIĘ W ZAKOPICU

Piękna polska proza z numeru 43 „Angory”. Pan Marek przyjechał wraz z kilkoma przyjaciółmi do Zakopanego w niedzielę, 39 września. Kilka dni spędził na zwiedzaniu miasta i wycieczkach w góry. Wyjechali po jatkach dwóch tygodniach, czyli około 53 września.

(Nadesłał: H. Korsak)

SZERMIERKOM GĘSIEGO PIÓRA

W salonie na ten temat zeszła raz rozmowa, Czy słusznie, by dzierżyła pióro białogłowa? Na to ozwie się jakaś satyryczna dusza: „Pióro dobre dla kobiet, lecz u kapelusza”...

(Franciszek Konarski, 1857–1907)

LECI KABARECIK

„Słowo Ludu” (19 października) wspominało o Oldzie Lipińskiej: „...do 1090 była dyrektorem Teatru Komedia w Warszawie. Zamówiła m.in. musical u Galla Anonima.

(Nadesłał: W. Sieczko)

O WACUSIU

– W tygodniku przedświątecznym jedną wykapaną istotą w domu Fałczaków był karp.

Rys. Janusz STEFANIAK



– Obawiam się tylko, czy jedzenie karpia nie zestresuje rybek Jerzego.

GRUNT TO PROMOCJA

Zwięzłe ogłoszenie z numeru 271 „Gazety Olsztyńskiej”. KOMINKI – solidno. Nu, nada pakupit.

(Nadesłał: W. Czerniak-Nowina)

JEST ROBOTA

W rubryce „Dam pracę”, „Gazeta Wyborcza” z 19 października zamieściła groźnie brzmiące ogłoszenie. Drobne! Rewolwerówka na zlecenie (nr tel.) Nic, tylko zlecać!

(Nadesłał: P. Pyszyński)

GAZETA W FILHARMONII

9 listopada warszawska edycja „Gazety Wyborczej” popisała się takim podpiśmem pod zdjęciem przedstawiającym dwóch współczesnych facetów fundujących sobie grabule: Z okazji jubileuszu w gmachu filharmonii odsłonięto pomniki Chopina i Moniuszki. Z grubsza wiemy, kto to był ten Chopin, ale kto zacz Moniuszek, Moniuszko czy Moniszka, za cholere nie mamy pojęcia.

(Nadesłał: E. Fojara)

Ojcem bakterii był Ludwik Pasteur.

Lektury dzielimy na: szkolne i te do czytania. Szkolne się filmuje. * Metropolia to miasto, w którym jest metro. * Na podstawie opowiadań Konopnickiej możemy porównać bledę XIX w. z dzisiejszą.

HUMOR ZESZYTÓW wybrałszy z kolekcji: H. Janowski z Miłcza, T. Firkowski z Olsztyna, J. Jurkowski z Wrocławia i A. Kozarzewskiego z Putniska. Dziękujemy.

Ludwik Jerzy Kern

SZKODA...

Kiedy choinka, leśna dama, Włoży już swoje stroje, A w kuchni ciasto piecze mama, Aż pachnie na pokoje, Wszystkich ogarnia podniecenie, Nas i sąsiadów z bloku... Szkada, że Boże Narodzenie Jest tylko raz do roku.

Śnieg za oknami leży wszędzie, Wielki, puszysty orzeł, W domu się robi, jak w kołędzie, Że lepiej być nie może. Z daleka słychać dzwonków brzmienie Płynące z głębi mroku... Szkada, że Boże Narodzenie Jest tylko raz do roku.

A pod choinką dobry święty, Co ma brodzisko mleczne, Podarki składa i prezenty Dla dzieci, tych co grzeczne. Dzieci radują się szalenie Wśród pisków i podskoków... Szkada, że Boże Narodzenie Jest tylko raz do roku.

I kiedy w końcu mama prosi Do stołu, bo nakryte, To jakby anioł się unosił Nad nami pod sufitem. Za gardło chwytła nas wzruszenie I leżkę mamy w oku... Szkada, że Boże Narodzenie Jest tylko raz do roku.

AŻ NIEŚMACZNE

Na prace nad szczeniarką przeciw małarw i lalaczkach 70. i 80. – jak pisze „Polityka” w numerze 45

wydano steki milionów dolarów... wiadomo, kuchnia amerykańska nie jest

(Nadesłał: W. Lucjanski)